

# ERICA SPINDLER



Rozpoczęło się odliczanie...

# ERICA SPINDLER



PRZEŁOŻYŁ  
Jacek Żuławnik



EDIPRESSE  
KSIĄZKI

*Licznym aniołom w moim życiu*

# Prolog

NOWY ORLEAN, LUIZJANA  
SOBOTA, 6 LIPCA 2013 ROKU  
GODZINA 2:43

Angel Gomez przebiegła przez kampus Uniwersytetu Tulane'a. Nie powinna była dać się namówić. „Będzie ekstraimpreza – mówiła Fran. – Nie możesz nie pójść”.

No i co – Fran zmyła się z jakimś podejrzanym typem i zostawiła Angel samą z naprutymi chłopakami z korporacji studenckiej. Ich błazeństwa drażniły ją i nudziła się jak mops.

Potem zaczęło ją kłuć w boku. Poczwała nie tyle ból, ile raczej pieczenie, z lewej strony, tam gdzie miała tatuaż, który niedawno sobie zrobiła. Pobiegnęła do łazienki obejrzeć się w lustrze.

Nic nie wskazywało na to, żeby działo się coś złego.

Po co w ogóle próbuje się dopasować? Nigdy jej się nie udało i nigdy się nie uda. Nawet zakonnice tak twierdziły. Znadto odstawała od normy.

Nadal piekło ją w boku. Przyłożyła dłoń do bolącego miejsca. Dezercja Fran oznaczała, że Angel została bez transportu. Zatrzymała się na chwilę, żeby pozbierać myśli.

Mogłaby złapać tramwaj linii St. Charles na przystanku przy ulicy Broadway i podjechać nim aż do śródmieścia. Stamtąd miałyby już dwa kroki do Dzielnicy Francuskiej – i do domu.

Angel przeszła z kampusu Uniwersytetu Tulane'a na teren College'u Newcomb. Pusto. Ciemno. Jeśli nie liczyć słabego blasku latarni.

Nie była jednak sama.

Poczwała, jak włosy jej się jeżą. Zerknęła przez ramię. Omiotła wzrokiem otoczenie, przyjrzała się rosnącym na obrzeżu czworokątnego dziedzińca

drzewom i zaroślom. Nic. Poza ciemną sylwetką statui pośrodku placyku. Skierowany na postument reflektor punktowy sprawiał, że posąg rzucał cień o osobliwym kształcie.

Wygląda jak potwór z horroru klasy B, pomyślała, wpatrując się w postać na cokole, jakby ta mogła w każdej chwili ożyć.

Weź się w garść, Angel. Pewnie paru chłopaków z korporacji poszło za tobą i chce cię przestraszyć.

Niedojrzałe gnojki.

Mimo to przyspieszyła, zmierzając ku skrajowi dziedzińca i jednemu z budynków. Nagły poryw wiatru sprawił, że zadrżała i dostała gęsiej skórki. W lipcu taki chłodny wiatr? Niemożliwe. A jednak – zimno zmroziło ją niemal do kości.

Pewnie bierze mnie choroba, uznała, kładąc dłoń na czole. Wcześniej ni to ból, ni pieczenie w boku, teraz dreszcze. Może grypa? Oby nie, pomyślała. Nie miała ani czasu, ani pieniędzy, żeby...

Kątem oka wychwyciła ruch. Zatrzymała się i odwróciła.

– Kto tam?! – zawołała. – To nie jest zabawne, tylko głupie!

W odpowiedzi zaszeleściły zarośla. I zajęczały konary. Ból w boku stał się intensywniejszy.

Angel jęknęła i raz jeszcze spojrzała na posąg, na jego cień.

Coraz dłuższy. Coraz bardziej nieprzenikniony. Sięgał po nią...

Ponownie położyła dłoń na czole. Naprawdę kiepsko się czuję, pomyślała. Kręciło jej się w głowie. Czowała mrowienie, jakby coś wciągało ją do środka naelektryzowanej bańki. Mrowiło ją na całym ciele, z wyjątkiem tatuażu. Rysunek, otoczone siedmioma gwiazdozbiorami, trawione od środka ogniem serce, przyśnił jej się etapami. Kazała wytatuować sobie to serce na lewym boku. Dołączyło do pozostałych obrazów.

Szybko zamrugwała. Spróbowała oczyścić myśli. To nie grypa. Ktoś jej coś podał. Na imprezie. Pewnie razem z colą. Goście z korporacji nie przepuścili okazji do ponaśmiewania się z tego, że nie chciała alkoholu. Ale przecież szklaneczkę z napojem cały czas trzymała w ręce. Miała na nią

oko. Chyba.

Nagle sobie przypomniała – to musiało się stać wtedy, kiedy poszła do łazienki spojrzeć na tatuaż.

Znowu ruch, gdzieś na skraju pola widzenia. Poruszenie. I jakieś dźwięki.

– *Biegiem!*

Posłuchała głosu, który zabrzmiał w jej głowie. Puściła się pędem i biegła zygzakami z dudniącym w piersi sercem. Śmignęła nad nią czarna chmura. Pewnie ptak, pomyślała. Prehistoryczny. Ogromne skrzydła, skrzekliwy głos, jak dźwięk tarcia styropianem o szybę.

Podążał za nią, w którąkolwiek stronę pobiegła. Wisiał nad nią jak drapieżnik.

– *Tędy!*

Skręciła raptownie i wpadła na klomb. Zobaczyła parking. Przyciągał ją blask stojącej tam latarni.

Załkała z ulgą i pognała ku światłu. Już prawie była w jego bezpiecznym kręgu, gdy nagle lampa zgasła.

– Nie! – krzyknęła. – Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże!

Otworzyły się drzwi jednego ze stojących w drugim końcu parkingu samochodów i z kabiny w blasku światła wysiadł mężczyzna.

– Tutaj! – zawołał i zamachał do Angel.

Pobiegła do niego. Kiedy mijala zepsuta latarnię, ta zamigotała i odżyła. Angel przyjrzała się mężczyźnie: był młody, miał dwadzieścia kilka lat i jasne włosy.

Poczuła taką ulgę, że nogi się pod nią ugięły.

– Ktoś za mną idzie! – krzyknęła.

– Gdzie on jest?

– Tam, obok drzew – odparła. – Nie widziałam go, ale słyszałam.

Sięgnął do wozu i wyjął latarkę. Włączył ją i omiół drzewa snopem światła, po czym przesunął nim po dziedzińcu.

– Nic nie widzę. Zaczekaj tu, pójdę...

– Nie! – złapała go za rękę. Była przerażona za ich oboje. – Proszę. Nie chcę tu zostać. Chcę do domu!

– Okej. – Obszedł samochód i otworzył drzwi od strony pasażera. – Wsiadaj.

Po chwili sam zajął miejsce za kierownicą. Wtedy przyszło jej do głowy, czy aby nie popełnia błędu.

Objęła się rękami, jakby było jej zimno.

– Podrzucić mnie na przystanek przy Broadwayu. Tam już dam sobie radę.

Spojrzał na nią. Miał osobliwe, nietypowo jasne oczy, niezwykle frapujące. Nigdy takich nie widziała.

– Odwiozę cię do domu.

– Nie trzeba, naprawdę. Pojadę tramwajem.

– Jest prawie trzecia w nocy. Lepiej cię odwiozę.

Wrzucił wsteczny i wyjechał z miejsca parkingowego. Zwróciła uwagę, że latarnia znowu zgasła.

Splotła palce i położyła dłonie na kolanach.

– Wiesz co, pewnie coś mi się przywidziało. Umysł często płata mi figle. Koleżanka zostawiła mnie na lodzie, bo zmyła się z jednym gościem i...

Zatrzymał auto. Przeszyło ją spojrzenie jego jasnych oczu.

– Odwiozę cię do domu – powtórzył z naciskiem.

Wsiąść do samochodu obcego człowieka, a potem jeszcze podać mu swój adres to szczyt głupoty.

Ale było w jego wzroku coś takiego, co docierało głęboko do jej wnętrza.

– *Możesz mi zaufać* – zdawało się mówić. – *Zaufaj mi, Angel.*

Jego głos w jej głowie. Wyraźny. Ten sam głos kazał jej uciekać i podpowiedział, którędy biec.

To jakieś wariactwo, uznała. Dosypali jej czegoś do coli i teraz ma zwidy. Albo majaczy w gorączce.

– *Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Ze mną jesteś bezpieczna.*

Czy to się dzieje naprawdę?, pomyślała.

– *Owszem, Angel, dzieje się.*

Zacisnęła usta. Kim jesteś?

– *Mam na imię Eli. Jestem jednym z twoich braci.*



# Rozdział 1

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 6:25

Detektyw „Micki” Dee Dare odebrała telefon, kiedy już miała wchodzić pod prysznic. Szefostwo wzywało ją do śródmieścia. Na jednej nodze, powiedzieli. Ograniczyła się więc do szybkiego mycia, które jej przekłeta rodzinka nazywała „kąpielą dziwki” – bo prostytutka między klientami nie miała czasu na porządną toaletę – i związała niesforne ciemnoblonde włosy w niedbały koński ogon.

„Rodzinka”. Śmiechu warte. Mama, babcia Roberta, ciotka Jo – trzy wariatki. Tak naprawdę wcale nie chore umysłowo. Po prostu stuknięte baby, jak to na Południu. Spieczone słońcem, nażłopane herbatą z cukrem i zalane tarninówką.

I jeszcze ten brutal, wuj Beau. W milczeniu skradał się korytarzem, zdradzała go woń tanich cygar i bourbona. Na wspomnienie tego zapachu nadal kręciło ją w żołądku.

Nic dziwnego, że sama była tak cholernie... no, taka bez ładu i składu.

– Wybacz, Hank – mruknęła, a głos przyjaciela z silnym teksańskim akcentem wypełnił jej głowę: „Wcale nie jesteś porąbana, mała. Jesteś niedokończonym dziełem, tak jak my wszyscy”.

Hank... pokonała go awaria pikawki. Zawsze uważała jego śmierć za okrutnie ironiczną. Zabiło go to jego wielkie dobre serce, które czyniło z niego jedyne porządnego człowieka, jakiego Micki znała.

Wjechała chevroletem nova 396 V z 1971 roku na policyjny parking przy ulicy Broad. Auto należało wcześniej do Hanka. Kiedy przyprowadził je ze szrotu, było zaledwie zepsutym kadłubem, ale Hank miał marzenie przywrócić mu dawną świetność.

Nie udało mu się go spełnić, ale Micki zrobiła to za niego. Zarazem odbudowała własne życie, mając za przewodnika i pocieszyciela głęboki, pewny głos przyjaciela. Z powodu Hanka wstąpiła do policji.

Jej chevrolet był czymś więcej niż tylko środkiem transportu, był dumą i radością, był jej dzieckiem. Uwielbiała to auto, przepadała za nim.

Zaparkowała i wysiadła. Przez telefon szef sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Oby tylko nie wpadła w sidła zastawione przez Wydział Etyki Zawodowej, który zajmował się przypadkami nadużyć w szeregach policji, skargami na postępowanie policjantów i tym podobnymi sprawami. Nie to, żeby miała coś do ukrycia, ale wiadomo, człowiek nie zna dnia ani godziny, kiedy się do niego dobiorą.

Weszła do budynku komendy i wjechała windą na drugie piętro. Major Nichols powiedział, że będzie czekał w biurze kapitan Patti O'Shay. Recepcjonistka pokazała jej drogę do sali konferencyjnej. Micki poszła korytarzem we wskazanym kierunku, coraz bardziej zaniepokojona nietypowym obrotem spraw.

Nacisnęła kławkę i weszła do środka. Zdecydowanie coś jest na rzeczy. Zbyt wielu garniaków. Niektórzy patrzą na nią dziwnie. Nawet bardzo dziwnie.

Namierzyła przełożonego.

- Przepraszam, szefie, że nie dałam rady wcześniej dojechać.
- Nie szkodzi. Zjawiasz się w samą porę. Znasz kapitan O'Shay?
- Oczywiście. – Micki przywitała się skinieniem głowy.

Nichols przedstawił pozostałych: Krohn, zastępca komendanta policji; Richards, szef komórki współpracy ze społecznościami lokalnymi; oraz Roberts, szef biura FBI w Nowym Orleanie.

Agent pokiwał głową.

- Miło panią poznać, pani detektyw.

No dobrze, nie ma WEZ, jest FBI, pomyślała. Co jest grane?

Poczuła się, jakby na dnie jej żołądka zaległ ciężki kamień.

- Nawzajem, agencie Roberts.

Nichols, nie patrząc jej w oczy, pokazał na krzesło stojące po drugiej stronie stołu.

– Usiądź, Micki. Za chwilę przyjdzie Howard.

Usiadła. Nikt się nie odezwał. W sali zapanowała dziwna atmosfera. Micki czuła na sobie ich dociekliwe spojrzenia.

Co się, u diabła, szykuje?

Wszedł komendant Howard, jak zawsze elegancki i pewny siebie – i wyjątkowo rozentuzjzmowany.

– Gdzie detektyw Dare?

– Tutaj, panie komendancie – odezwała się, wstając.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ach, tu pani jest. Doskonale. – Podeszedł do niej i podał jej rękę. – To dla pani ważny dzień. Bardzo się cieszymy. Jesteśmy zachwyceni.

– Dziękuję, panie komendancie – odparła.

Komendant uścisnął jej rękę i zamiast szybko puścić, długo nią potrząsał, a potem jeszcze zamknął w swoich dłoniach. Spojrzał Micki w oczy.

– Proszę pamiętać, że wiele po pani oczekujemy.

– Tak jest, panie komendancie. Gdybym tylko wiedziała, w związku z czym...

Roześmiał się głośno, puścił jej rękę i dał znak pozostałym osobom.

– No, siadajcie, siadajcie.

Jak można było się spodziewać, sam zajął miejsce u szczytu stołu. Spojrzał na Micki.

– Major Nichols dowiedział się oficjalnie przed dwiema godzinami, ale sygnały odbieraliśmy już od kilku tygodni. Otóż policja się zmienia, pani detektyw. I to od dziś. Pani zaś będzie częścią tych zmian.

Zawiesił głos, najwyraźniej czekając na reakcję. Uraczyła go standardowym ogólnikiem.

– Bardzo się cieszę, panie komendancie. Nie zawiodę.

Pochylił się i z nieskrywanym błyskiem satysfakcji w oczach

powiedział:

– Proszę posłuchać, w czym rzecz. Otóż rząd oficjalnie potwierdził istnienie szóstego zmysłu. We współpracy z FBI zainicjowano program o nazwie Szóstki. W skrócie chodzi o to...

– Przepraszam, panie komendancie, ale czy użył pan określenia: „szósty zmysł”? Chodzi o czytanie w myślach, przesuwanie przedmiotów siłą woli i tak dalej?

– Owszem, pani detektyw. O to właśnie chodzi.

Czekała, aż komendant się roześmieje. A pozostali do niego dołączają. Spodziewała się, że robią ją w wielkiego balona.

Nie była przygotowana na coś... takiego. Ze wszystkich sił starała się nie wyglądać jak rażona piorunem.

– Jak zatem mówiłem – podjął wątek – biuro powołało zespół złożony z owych Szóstek, obdarzonych...

Zawiesił się, nie bardzo wiedząc, jak nazwać ich kwalifikacje: darami? Talentami? Supermocami?

– ...zdolnościami – dokończył po chwili. – Następnie wyszkolono tych ludzi w wyspecjalizowanej akademii policyjnej. Pierwszy rzut rekrutów ukończył szkolenie...

– Nie mam dziś urodzin – przerwała mu Micki, przenosząc spojrzenie na swojego bezpośredniego przełożonego. – Wiecie o tym, prawda?

– Słucham?

– Panie komendancie, nie wiem, kto ani jak pana w to wkręcił, ale...

– To nie żart, pani detektyw.

Rzeczywiście, miał śmiertelnie poważną minę, zresztą tak jak pozostali. No, ale przecież nie ma siły, to musi być kawał. Szósty zmysł? Wyspecjalizowana akademie policyjna? Przecież to jakieś brednie!

– Rozumiem, kręcicie *Mamy cię* albo coś w tym guście. Namówili pana. Pewnie obiecali hojny datek na rzecz policji. Przykro mi, że psuję wam zabawę, ale dowcip nie wypalił.

Odwróciła się i rozejrzała za kamerami.

– Możecie przestać filmować. No już, pokażcie się. Spróbujcie z kolejnym naiwnym.

Spodziewała się, że ujrzy uśmiechniętego prowadzącego i kamerzystów. Może nawet zabrzmiał temat z programu i posypie się konfetti.

Stanie się coś, co rozwieje niezręczność. Czowała się, jakby wszyscy poza nią wiedzieli, że do jej buta przykleił się kawałek papieru toaletowego i ciągnie się za nią.

Tym, który przerwał ciszę, był major Nichols.

– Micki, lepiej usiądź. To poważna sprawa.

Zdumiona opadła na krzesło.

– Przepraszam, panie komendancie – powiedziała. – Ale będę szczerą: zaczynacie mnie przerażać.

Zarechotał.

– Zareagowałem podobnie. Długo musieli mnie przekonywać, że nie stoi za tym moja żona. – Pochylił się. Dłonie trzymał złożone na blacie. – Wiem, że to, co pani usłyszy, wyda się pani... osobliwe, ale to wszystko prawda. Pierwszy rzut rekrutów ukończył szkolenie. Cała dwunastka.

Zrobił przerwę dla wzmocnienia efektu. Chciała go ponaglić, ale sama nie wiedziała, czy ma ochotę usłyszeć, co komendant ma do powiedzenia.

– Policję Miasta Nowy Orlean wytypowano jako jedną z tych, do których w pierwszej kolejności trafiają rekruci. Naszego przydzielono do Ósemki. Zatem gratulacje, pani detektyw Dare, będzie pani miała nowego partnera.

Micki patrzyła na niego i nie mogła uwierzyć. Jak to? Chyba nie mówi poważnie...

– Wkrótce go pani pozna. Nazywa się Zach Harris.

Dopiero po chwili dotarło to do niej z pełną mocą. Zerwała się z krzesła.

– Panie komendancie, z całym szacunkiem, ale – do cholery! – nie ma mowy.

– To już postanowione.

Spojrzała na majora, szukając wsparcia, ale nie znalazła go. Była sama przeciw wszystkim.

– Panie komendancie, naprawdę, niech pan znajdzie kogoś innego.

– To oni panią wybrali, pani detektyw, nie ja. Proszę wziąć przykład ze mnie i potraktować to jako zaszczyt.

– „Zaszczyt” – powtórzyła. – Nie rozumiem, w jaki sposób...

– Ma pani okazję przejść do historii – przerwał jej Howard. – Tak jak my wszyscy. Proszę nie utrudniać.

– Dobierają Szóstki do pary z najtwardszymi, najbardziej doświadczonymi policjantami – odezwał się Nichols. – Do twoich obowiązków będzie należało między innymi pilnowanie, żeby twoja Szóstka nie wpakowała się w tarapaty. Rząd zainwestował w niego zbyt wiele czasu i pieniędzy, żeby sprzątnął go na ulicy jakiś oprych albo członek gangu.

Przyszła jej do głowy riposta – że nie będzie niańką – ale spojrzenie Nicholasa wystarczyło, by postanowiła zachować ją dla siebie.

– Co to za gliniarz, ten cały Harris? – zapytała. – Jaki ma przebieg służby?

– Nie ma żadnego.

– Nie rozumiem. Skoro jest detektywem... – Olśniło ją. – Chcecie powiedzieć, że ukończył ten wasz Hogwart od razu w stopniu detektywa?

Z ich min wywnioskowała, że się nie pomyliła. Poczwała rosnącą złość. Sama, tak jak pozostali – szef, komendant i inni – musiała zasłużyć na stopień, spełniać powinność, nadstawiając karku nie raz, nie dwa, ale każdego cholernego dnia.

– Do ciężkiej cholery. Czy on w ogóle potrafi używać broni?

Komendant Howard zignorował pytanie.

– Szóstki to ściśle tajny program. Wiedza o nim nie może się wydostać poza krąg bezpośrednio w niego zaangażowanych. Umawiamy się, że dla wszystkich poza osobami obecnymi w tym pomieszczeniu detektyw Harris to zwyczajny policjant.

Powoli docierał do niej obraz sytuacji. Pokręciła głową.

– Jak mam wytłumaczyć, skąd się wziął?

– Proszę się za to nie brać. Po prostu pani partner został przeniesiony

wyżej, więc sparowano panią z Harrisem – ot, cała historia.

– Czy dobrze rozumiem? Carmine dostał awans, ale zamiast zastąpić go kimś z komendy, sprowadzacie tego całego Harrisa?

– Zgadza się.

Pokręciła głową.

– Niektórzy ostro się wkurzą. Od ręki mogę wymienić z pół tuzina lepszych kandydatów, w samej tylko Ósemce.

– Proszę się tym nie przejmować.

To nie wchodziło w rachubę. Była przecież częścią zespołu.

– Skoro nie mogę powiedzieć prawdy, to co mam mówić? Jaka jest oficjalna wersja? Oby brzmiała przekonująco, bo inaczej wystawicie mojego nowego partnera do odstrzału.

– Już tłumaczę, pani detektyw – odezwała się kapitan O'Shay. – Otóż Zacha Harrisa łączą z nowoorleańską policją więzy rodzinne.

Patti O'Shay rozbiła szklany sufit w policji Nowego Orleanu i stworzyła przestrzeń dla nowego pokolenia policjantek. Na przykład dla Micki. Niektórzy utyskiwali na nepotyzm, wskazując na jej osobiste powiązania w policji, choćby z mężem Sammym, ale zdaniem Micki, krzykaczami kierowała po prostu zawiść. Patti O'Shay bez dwóch zdań zasłużyła na swoje stanowisko.

– Więzy rodzinne? Niby kto miałby być jego rodziną? – spytała Micki.

– Ja.

– Nie rozumiem.

– Sammy miał młodszą siostrę, Erin. Kiedy miała siedemnaście lat, uciekła z domu ze swoim chłopakiem. Rok później urodziła synka.

– Zacha Harrisa?

– Tego się będziemy trzymali. Oddała go do adopcji. – O'Shay podała Micki teczkę z dokumentami. – Zach nieświadomie poszedł w ślady wuja i wstąpił do służby.

– Na razie wszystko się klei. Jak trafiliście na jego trop?

– To on dowiedział się o nas. Szukając korzeni.

- A jego matka?
- Nadal jej nie odnalazł.

Micki otworzyła teczkę. Dobre kłamstwo zawiera pierwiastki prawdy. Im bardziej elementarne są owe pierwiastki, tym wiarygodniejsze staje się kłamstwo. Prawda: Sammy O'Shay był, podobnie jak jego żona, kapitanem; zginął na służbie podczas uderzenia huraganu Katrina. Prawda: miał brata, Seana, który niedługo potem odszedł ze służby i przeprowadził się z żoną na Florydę.

Trzecia prawda, co oczywiste, musiała dotyczyć siostry.

– Sammy naprawdę miał siostrę o imieniu Erin, która uciekła w wieku siedemnastu lat – powiedziała Micki.

Kapitan O'Shay powtórzyła jej gest.

– To była niespokojna dusza. Wiecznie pakowała się w kłopoty. Kiedy uciekła z domu, była już w ciąży. A przynajmniej tak twierdziła.

– Sammy nie próbował jej odnaleźć?

– Próbował, szukali jej razem z Seanem. Bez skutku.

– Co wiadomo o jej dziecku?

– Nic. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście urodziła.

– A adopcja? To też zmyślenie?

– Nie do końca. Detektyw Harris naprawdę został adoptowany. Jedyne, co wie o swojej biologicznej matce, to że była młoda i pochodziła z Południa.

Micki się zastanowiła.

– Awans Carmine'a... Pociągnęła pani za odpowiednie sznurki.

– Tak – odparła kapitan i zamilkła. – Jak zatem pani widzi – dodała – w razie czego to ja będę do odstrzału.

Owszem, ale Harris też. Bez wątpienia. A także Micki – w zależności od stopnia jej zaangażowania.

– Panie komendancie, z całym szacunkiem, ale... do dupy to.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Witamy w programie Szóstek, pani detektyw Dare. Ma pani godzinę



na zaznajomienie się ze swoją rolą. Potem przyjedzie Szóstka, a wtedy: do dzieła!

- Do dzieła – powtórzyła z powątpiewaniem.
- Gratulacje, pani detektyw. Dziś przyszłość ma swój początek.

# Rozdział 2

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 7:40

Kiedy wychodzili z sali, Micki zatrzymała majora Nicholasa.

– Szefie, możemy porozmawiać?

W swoich najlepszych latach Frank Nichols musiał robić onieśmielające wrażenie. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bary zawodowego futbolisty. I choć dziś niewiele brakowało, aby potknął się o własny brzuch, to jednak jego postura nadal budziła respekt.

Do diabła z tym wszystkim. Micki czuła, że krew ją zalewa. A kiedy detektyw Dare wpadała w furję, schodził jej z drogi każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie.

– To jakieś pieprzone brednie! – wybuchła, kiedy zamknęły się drzwi. – Naprawdę pan sądzi, że na to pójdę?

– Myślę, że powinnaś się cofnąć. I to już.

Zawahała się, po czym zrobiła krok do tyłu, nie spuszczać oka z majora.

– Tajniak na naszej komendzie? Nie. Absolutnie nie.

– Przecież słyszałaś: to rozkaz.

Powiedział to lekko rozbawionym tonem, co doprowadziło ją do wściekłości.

– To uderza nie tylko we mnie, lecz także w innych. Wie pan, że traktuję Ósemkę jak rodzinę.

– Micki, jestem po twojej stronie, naprawdę. Ale mam związane ręce. Ta sprawa wykracza poza twoje i moje kompetencje. Chcą ciebie – będą cię mieli. Tyle.

– Do ciężkiej cholery! Dlaczego ja?

– Nie jestem pewien. Z tego co wiem, przeanalizowali przebieg służby wszystkich detektywów Ósemki.

– Czy istnieje jakieś wyjście z tej sytuacji?

– Przecież wiesz.

No tak: tańczyć, jak zagrają, albo ponieść konsekwencje. Degradacja. Zesłanie do najgorszej jednostki. Zadania jak dla pospolitego krawężnika. Micki stała nieruchomo, uświadamiając sobie swoje położenie i trzęsąc się z oburzenia i złości: na arogancję Federalnych, na nielojalność komendanta Howarda, na własną bezradność.

Nie mogła tego znieść. Przyszło jej nawet do głowy, że powinna odejść, tu i teraz oddać Nicholsowi broń i odznakę, a potem, opuszczając biuro, pokazać tym zarozumiałcom środkowy palec.

Ale dokąd miałyby pójść? Nic innego nie potrafiła robić. Służba była całym jej życiem.

– A Carmine? – zapytała.

– Nie przejmuj się Angelem, trafił do sekcji spraw przedawnionych. To jego wymarzone zajęcie.

– Super. Zajebicie. – Wzruszyła ramionami. – Farciara ze mnie. Micki na doczepkę.

– Bywa.

– Nadal nie rozumiem. Czemu właśnie ja? Bez sensu.

Ściszył głos.

– Myślę, że ważniejsze pytanie brzmi: dlaczego tutaj? Dlaczego w Nowym Orleanie?

– Można jaśniej?

– Jeśli program okaże się fiaskiem, wina spadnie na nas, nie na nich – oni powiedzą, że przecież mieli g e n i a l n y pomysł. Spójrzmy prawdzie w oczy: po Katrinie policja nowoorleańska nadal źle się kojarzy ludziom w całym kraju. Strzelanina na moście Danzigera. Chaos w Centrum Kongresowym Moriala. Pogłoski o scenach, do których dochodziło na terenie Superdome<sup>[1]</sup>. Mnóstwo ludzi postrzega Nowy Orlean jako brudne

miasto pijaków, braku norm moralnych i o jednym z najwyższych wskaźników przestępczości w kraju. Takie, które można odwiedzić, ale w którym nikt nie chciałby zamieszkać.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Góra zakłada, że i tak damy ciała.

– Tak sędzę. Biuro o wszystkim pomyślało, ale nie oczekuje po nas zbyt wiele.

To ją zabolalo. Co prawda, Nowy Orlean ma mnóstwo wad, jednak jest też jej domem; z tutejszą policją nie łączą jej więzy krwi, ale Micki nie ma innej rodziny.

– Aha, czyli nawet nie aktorka drugoplanowa, tylko kozioł ofiarny...

– Niekoniecznie. Oczywiście nie zawahają się i poświęcą cię, jeśli będą musieli, ale też zależy im na powodzeniu programu. Z jakiegoś powodu uznali, że dzięki tobie może się udać.

Micki sapnęła. No dobrze. Niech będzie. Przyłoży się i postara, żeby Szóstka świeciła, aż oczy będą bolały.

Przyłapała szefa na próbie opanowania uśmiechu i posłała mu gniewne spojrzenie.

– Wiedział pan, że tak zareaguję.

– A-ha. I sędzę, że oni też wiedzieli – w końcu czytali twoje akta.

Myśli o tym, że jest przewidywalna, nie znosiła prawie tak bardzo, jak świadomości bezsilności.

– Żeby była jasność: jestem niezadowolona.

– Przyjmuję do wiadomości.

Zawibrował telefon, który nosiła w kaburze przy pasku. Zerknęła na wyświetlacz: Jacqui. Odebrała, ale zanim zdążyła się odezwać do słuchawki, usłyszała Nicholasa, który zatrzymał się i odwrócił.

– Nie będziesz stratna, Micki. Widziałem zdjęcie twojego nowego partnera. Chłopak wpada w oko. I to bardzo.

– Super – mruknęła. – Piękniś obdarzony mocami. Boże, dopomóż.

– Micki? Jesteś tam?

Telefon. Jacqui.

– Przepraszam – rzuciła sfrustrowanym tonem do słuchawki.

– Dzwonię nie w porę?

– Sporo się tu dzieje. Wszystko gra?

– Tak, w porządku.

Zmarszczyła czoło. Cztery lata wcześniej nakryła siedemnastoletnią wówczas Jacqui – w dodatku w zaawansowanej ciąży – jak ta włamywała się do domu sąsiadów Micki w poszukiwaniu jedzenia. Dziewczyna skojarzyła się Micki z nią samą w podobnym wieku – też była samotna, głodna i zdesperowana.

Wtedy tym, który ją przyłapał, był Hank. Jej anioł stróż.

Micki zaskoczyła samą siebie i zamiast zakuć nastolatkę w kajdanki, zaproponowała posiłek i miejsce do spania.

– Na pewno? – odezwała się zaniepokojona Micki do słuchawki. – Wszystko dobrze z Alexandrem?

– Zander – tak pieśczośliwie Jacqui nazywała swojego synka – ma się świetnie.

– W takim razie po co dzwonicz?

Jacqui wydała odgłos świadczący o poirytowaniu.

– Nie wiem. Żeby się przywitać? Żeby usłyszeć twój głos? Poza tym myślałam, że będziesz już w domu. Ale chyba się pomyliłam.

Micki się roześmiała, choć był to śmiech świadczący bardziej o zażenowaniu niż o rozbawieniu.

– Przepraszam. Tak jak mówiłam: sporo się wydarzyło. Obiecuję, że odezwę się do ciebie, jak tylko się uspokoim.

Jednocześnie przyznała przed samą sobą, że nie ma pojęcia, kiedy to nastąpi. Nie potrzebowała szklanej kuli, by wiedzieć, że przynajmniej przez pewien czas nie zazna zbyt wiele spokoju.

# Rozdział 3

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 8:05

Zach Harris stał przy oknie w pokoju hotelowym na dwudziestym czwartym piętrze. Patrzył na biegnącą dołem ulicę Canal, pełną samochodów i palm rosnących na pasie zieleni między jezdniami. Dalej, u jej wylotu, znajdowała się piękna w swym upadku Dzielnica Francuska. Rzeka Missisipi obejmowała miasto od południa, tworząc półksiężycowate zakole, od którego Nowy Orlean wziął swój przydomek: Crescent City. Zach widział parowiec przycumowany do kei przy ulicy Toulouse.

Nowy Jork się uwija, Los Angeles dokazuje, a Nowy Orlean – jak przekonał się Zach – kołysze się.

Tak można by zacząć romans.

Uśmiechnął się do siebie. Irytowanie ludzi wychodzi mu koncertowo – udowodnił, że jest w tym mistrzem, zmieniając rezerwację tak, że przyleciał do miasta dwa dni przed terminem wyznaczonym przez FBI. Parker, opiekun Zacha w Szóstkach, wściekł się, kiedy się o tym dowiedział.

Och, to straszne... Ale cóż, Zach nie przybył do Nowego Orleanu dla Parkera, tylko dla siebie.

Parker wyłowił go w klubie i złożył intrygującą propozycję: będziesz członkiem elitarnego oddziału do zwalczania przestępczości, jednego z takich zespołów, jakie ogląda się na filmach. Zostaniesz swego rodzaju... superbohaterem. Zdobędziesz sławę i wszystko, co się z tym wiąże.

Który facet nie marzy o czymś takim?

Tłumaczył sobie, że jeśli mu się nie spodoba, powie *sayonara* i odejdzie w swoją stronę.

Tak jak miał w zwyczaju.

Tym razem jednak niełatwo będzie się wykpić. Uświadomił to sobie w chwili, gdy wyszedł z terminala nowoorleańskiego lotniska prosto na wilgotne nocne powietrze. Usłyszał szum w głowie. I buczenie, jak w radiu pomiędzy stacjami. Im bliżej śródmieścia, tym stawało się głośniejsze i bardziej uporczywe.

To miasto – miasto z nim rozmawia.

Nic nowego. Znał to uczucie. Ale nigdy nie doświadczył go na taką skalę. Był zdezorientowany, wytracony z równowagi. Poczł się upojony, jak po alkoholu. Nie na wesoło – przynajmniej z początku – lecz upodlająco: jakby chodził, trzymając się ścian, i klęczał z głową w sedesie.

Nie próbował jednak stłumić tego wrażenia – ani nie wsiadł do najbliższego samolotu, który zabrałby go z powrotem na Zachodnie Wybrzeże – tylko stawił mu czoła.

Na kaca klin. Niech zapiecze w gardle.

Przy okazji zadurzył się w mieście. Magiczne miejsce, pełne cieni, szeptów, obrzędów, rozpaczy...

...i wielu ludzi takich jak on. Bardzo wielu. Z taką liczbą jeszcze nie miał do czynienia. Odwrócił się od okna. Czy wiedzą, czym są?, zadał sobie pytanie. Czy nauczyli się korzystać ze swoich umiejętności? A może postanowili je ukryć?

Parker przyjechał.

Ułamek sekundy po tym, gdy to pomyślał, telefon poinformował go o nadejściu wiadomości.

*Czekam w holu. Jesteśmy spóźnieni.*

Typowe dla Parkera. Mało słów, wszystkie na temat. Było w nim coś, co sprawiało, że Zach miał ochotę namieszać mu w głowie. Powstrzymał się jednak, biorąc poprawkę na nieznaczną grubość lodu, po którym właśnie stapał. Powstrzymał się... na razie.

Wziął kurtkę i zjechał na dół. Spotkał się z Parkerem przy wejściu do hotelu, razem wyszli przed budynek i podeszli do stojącego tam czarnego lśniącego SUV-a. Agent, który siedział za kierownicą, miał na nosie prawie

identyczne ciemne okulary jak te, które nosił Parker. Zach zachichotał i wsiadł do auta.

– Coś cię śmieszy? – spytał Parker.

– Wóz. Twoje okulary. Jego okulary. – Pokazał na kierowcę. – To takie oklepane.

Parker zdjął okulary i przeszył Zacha lodowatym spojrzeniem.

– Dla ciebie to zabawa?

Zach umościł się na tylnym siedzeniu.

– Zdefiniuj słowo „zabawa”.

– Po numerze z rezerwacją powinienem cię odwołać.

– Śmiało.

Przez chwilę miał wrażenie, że Parker rzeczywiście to zrobi. Ale ten tylko pochylił się i powiedział:

– Słuchaj no, Harris. To my dyktujemy warunki, nie ty. Mówimy: siódmego o czternastej wsiadź do samolotu, to wsiadasz, kurwa, siódmego o czternastej do samolotu. Nie dzień wcześniej. Nie dzień później.

Zach wiedział, że powinien ustąpić. Opuścić, popłynąć z prądem. Ale głos, który podpowiadał mu rozsądek, nie mógł się mierzyć siłą z głosem, który przez całe życie zmuszał go do balansowania na krawędzi.

– To ty posłuchaj, Parker. Nie jestem twoją własnością. Ani programu. W tej chwili potrzebujecie mnie bardziej niż ja was. Owszem, to się może zmienić, ale na razie... możecie mi naskoczyć.

– Inni patrzą. Oceniają. Ciebie o r a z mnie. – Parker zawiesił głos. – Jeśli się nie uda, dostanę po dupie.

To jasne. Zach pokiwał głową.

– W porządku. Skoro chodzi o twoje dupsko, postaram się być delikatniejszy.

Brak reakcji – zero uśmiechu, zero uznania ustępstwa. Tylko gest: wręczenie szarej koperty.

– Tu znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz.

Zach wyjął zawartość koperty i zaczął przeglądać dokumenty. Zatrzymał



się na fotografii blondynki w mundurze policjantki. Patrzyła prosto w obiektyw. Lekko uniesiony podbródek – arogancja albo przewrażliwienie; zaciśnięte usta – poważnie traktuje swoje obowiązki. Przekrzywił głowę. Gdyby lekko rozchyliła te piękne usta, wyglądałaby trochę jak blond wersja Angeliny Jolie.

Stuknął palcem w zdjęcie i zerknął na Parkera.

– Zakładam, że to moja nowa partnerka.

– Detektyw Michaela Dare. Nazywają ją „Micki” albo „Mick”. Czasem też „Podwójne De” albo „Wściekły Pies”.

– „Wściekły Pies”?

– Ma niezły charakterek i nie kryje się z nim.

Zach się roześmiał.

– Atrakcyjna kobieta – zauważył.

– Ma cię chronić, a nie być twoją zabawką.

– Chodząca z ciebie powaga. – Zach ponownie postukał palcem w fotografię. – Czemu ona?

– Zatwardziała glina. Ostra. Lojalna. Musiała walczyć o swoje – dodał Parker.

– Czyli o co?

– O wszystko.

Zach przyjął to do wiadomości, zastanowił się i porównał ze swoim życiem – życiem, w którym wszystko zostało mu podane na tacy.

Prawie wszystko.

– Opowiedz mi o niej – poprosił.

– Nieprzekupna.

– Każdego można przekupić.

– Nie ją.

Zach wbił spojrzenie w zdjęcie. Z prostych brązowych oczu detektyw Dare biła uczciwość. Lojalność, o której wspomniał Parker.

– Dlaczego?

– Żyje pracą. Życie uczuciowe – nie istnieje. Życie towarzyskie – też

prawie nie. Rodzina – nie jest z nią blisko, zastępują ją nowoorleańscy policjanci. Jeśli Dare uzna cię za członka rodziny, odda za ciebie życie.

– Poświęci się dla mnie.

– Tak.

Szum w głowie ucichł. Zach schował dokumenty.

– Niezbyt to bohaterskie z mojej strony.

– Bohaterstwo to jej działka. Ona nie zastąpi cię w tym, co ty potrafisz.

– A co, jeśli uzna, że nie nadaję się na członka jej „rodziny”?

– Dla was obojga będzie lepiej, jeżeli jednak uzna.

– Czy to groźba?

Na ustach Parkera, jak rzadko kiedy, pojawił się cień uśmiechu.

– Ależ skąd, Zach. Po prostu mówię, jak jest.

# Rozdział 4

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 8:35

„Wpada w oko” to mało powiedziane, stwierdziła w myślach Micki, kiedy jej nowy partner wszedł do sali konferencyjnej. „Piękniś” też nie pasowało.

Zach Harris był bowiem powalająco przystojny. Brązowe włosy z przebarwieniami od słońca, lekko pofalowane. Intensywnie niebieskie oczy, jakich jeszcze nigdy nie widziała. Lśniący uśmiech, jak z reklamy gabinetu dentystycznego.

Zupełnie jakby miała przed oczami tego aktora, Bradleya Coopera. Chociaż nie – nawet on nie umywał się do Zacha Harrisa. Jak to możliwe?, pomyślała.

Czy naprawdę nie mógł wyglądać gorzej, na przykład jak troll?

Towarzyszył mu ciemnowłosy mężczyzna w garniturze. Elegancki, przylizany. Chodził, jakby połknął kij od szczotki. Albo jakby ktoś mu wsadził w tyłek kolbę kukurydzy.

Pewnie agent FBI albo wojskowy. Raczej to pierwsze.

Harris podszedł do kapitan O'Shay.

– Ciociu Patti – odezwał się serdecznym tonem i uściskał ją. – Jakże się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać.

Ależ z niego aktor!, pomyślała Micki. Nie uszło jej uwadze, że O'Shay też wyglądała na zaskoczoną jego umiejętnościami. No po prostu geniusz.

Jeśli uda mu się nie wypaść z roli, być może niańczenie go nie będzie aż tak straszne, jak przypuszczała.

Harris odwrócił się i spojrzał prosto na nią. Zobaczyła rozbawienie w jego oczach i wyprostowała się. A niech sobie odgrywa tę swoją maskaradę – Szóstki, czary-mary i tak dalej – ona nie zamierza brać w tym

udziału.

Przykleiła do ust uśmiech, mający świadczyć o pewności siebie, i podeszła do niego, wyciągając rękę.

Poczuła, że jego palce nieco zbyt mocno oplotły jej dłoń. Tak samo spojrzenie – wniknęło nieco zbyt głęboko, było zbyt intymne, choć bez podtekstu seksualnego. Tak jakby n a p r a w d ę dobrze się znali – znali swoje tajemnice, a także przeszłe i obecne lęki oraz nadzieje na przyszłość.

Tak jakby zaglądał prosto do jej duszy.

Micki, na miłość boską! Weź się w garść!, pomyślała.

– Michaelo – odezwał się. – Miło mi cię wreszcie poznać.

Zirytowana uwolniła dłoń.

– Nie nazywaj mnie tak. Jeśli zrobisz to przy moich kolegach, zdemaskujesz się. A jeśli zrobisz to przy mnie, gorzko pożałujesz.

Roześmiał się cicho.

– Podoba mi się pani, pani detektyw. Będzie zabawnie.

– Wiesz w ogóle, Szóstko, czym się tu zajmujemy? Wydaje ci się, że to jakaś gra?

– No jasne, że nie. Zajmujecie się poważnymi, bardzo poważnymi sprawami. – W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. – Jestem do usług... Mick. Gotowy do pomocy w łapaniu przestępców.

– Zostałeś źle poinformowany. Nie potrzebuję niczyjej pomocy w tym zakresie.

Znów się uśmiechnął z niewymuszoną swobodą. Nosi kolorowe soczewki, uznała, nie ma innego wytłumaczenia. Próżność i tandeta.

– Niektórzy mają co do tego inne zdanie.

Widział, że jest wkurzona, i czerpał z tego przyjemność. Sukinsyn pogrywał z nią. Celowo się z nią drażnił. Obserwował jej reakcje.

Przyszła jej do głowy wściekła riposta, ale komendant Howard uciął tę jakże miłą wymianę uprzejmości.

– Usiądźmy – zarządził.

Podeszli do stołu. Harris podsunął jej krzesło.

– Skończ już z tym – wycedziła. – Jasne?

– Jak sobie życzysz, kochanie – odparł i sam zajął miejsce, które jej zaproponował.

– Pani detektyw?

Cholera. Uświadomiła sobie, że wszyscy poza nią już siedzą. Rozejrzała się i usiadła po drugiej stronie stołu na jedynym wolnym krześle.

– Witamy pana na pokładzie, detektywie Harris – zaczął komendant, po czym zwrócił się do ciemnowłosego mężczyzny, który towarzyszył Harrisowi. – Witamy również agenta Parkera.

Usta Micki drgnęły. Kolba kukurydzy na swoim miejscu?

– Będę się streszczał. Każdy z nas wie, na czym polega jego rola. Pamiętajmy, że program jest ściśle tajny i jakikolwiek wyciek informacji skutkuje natychmiastowym zwolnieniem tego, kto do niego dopuści. Pani detektyw Dare, jeśli zdemaskuje pani detektywa Harrisa, pożegna się pani z pracą.

Jej przepustka do wolności.

Spoczął na niej wzrok agenta. Zwróciła uwagę na jego oczy, równie lśniące jak Harrisa, tyle że zielone. Co jest z tą modą na kolorowe soczewki u facetów?

– Agencie Parker, oddaję panu głos.

– Dzień dobry – zaczął, nie odwracając wzroku od Micki. – Witam państwa w programie Szóstek. Rola każdego z was jest oczywiście bardzo istotna, ale najważniejsza przypadła w udziale pani detektyw Dare.

Przerwał na chwilę, aby Micki poczuła wagę słów. Niepotrzebnie. Doskonale wiedziała, że ma przechłapanie.

– Ten program to znacząca inwestycja dla Biura. Pani zadaniem, pani detektyw, jest zagwarantowanie bezpieczeństwa naszemu człowiekowi. Za wszelką cenę. Powodzenie tego projektu może zaważyć na przyszłości służb ochrony porządku publicznego.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– „Za wszelką cenę”. Co to dokładnie oznacza?

- Myślę, że pani wie.
- Proszę powiedzieć, agencie Parker. Jestem dziewczyną z Południa. Wierzę w Boga, mój kraj i mówienie prosto z mostu.
- Ma go pani ochraniać w każdej sytuacji.
- Czyli jeśli on da ciała, to ja mam oberwać po dupie?
- Tak.
- Albo przyjąć kulkę?
- Liczymy, że do tego nie dojdzie.
- Codziennie do tego dochodzi, agencie Parker. Czy mogę o coś zapytać?
- Naturalnie.
- Skąd ta atmosfera tajemnicy?
- Sądzę, że również na to pytanie zna pani odpowiedź. Opinia publiczna nie jest jeszcze gotowa na poznanie prawdy o Szóstkach. Zainteresowanie mediów uniemożliwiłoby działanie naszym agentom, my zaś nie bylibyśmy w stanie ocenić tego, jak sobie radzą.
- Poza tym – dodała łagodnym tonem – jeśli program okaże się fiaskiem, nikt się o niczym nie dowie.
- Kontrola szkód to kosztowy i kłopotliwy proces.
- Dlaczego policja miejska? Nie lepiej trzymać swoich ludzi blisko siebie?
- Nie mrugał – dopiero teraz to sobie uzmysłowiła; nie mrugnął ani razu od chwili, w której nawiązali kontakt wzrokowy.
- Szóstki pracują w strukturach wewnętrznych Biura już od kilku lat. Pora wysłać je na ulice i sprawdzić ich skuteczność z walce z powszednią przestępczością.
- Czyli zmierzacie do tego, żeby... – zrobiła gest, którym omiotła osoby siedzące przy stole – ...żebyśmy zostali bez pracy.
- Roześmiał się aksamitnym, przesłodzonym śmiechem. „Mężczyźni sączący słodkie słówka to węże – mawiała babcia Roberta. – Takie jak ten, który skusił Ewę w raj”.

Micki powinna wiedzieć, uległa niejednemu takiemu facetowi.

– Skądże, pani detektyw. Harris ma wam pomóc.

– Aha, znaczy się Harris wykorzysta swoje „supermoce” i wskaże nam sprawcę, którego my następnie przyskrzynimy, wykorzystując do tego legalne instrumenty.

– Dokładnie tak, pani detektyw. Ściganie przestępców na miarę dwudziestego pierwszego wieku. – Potoczył wzrokiem po zebranych i znów spojrzał na Micki. – Każda Szóstka ma inne mocne strony i słabe punkty. To one zadecydowały o takim, a nie innym przydziale.

– Można jaśniej? Co to za cechy?

– Kierujemy się zasadą, według której każdy dysponuje tylko takimi informacjami, jakie są mu potrzebne do działania. Wkrótce przekona się pani, jak sprawdzają się umiejętności Zacha w praktyce.

Popatrzyła na nowego partnera.

– O czym myślę? – spytała.

– Detektyw Harris nie czyta w myślach – zauważył łagodnie Parker. – Postrzega wydarzenia z przeszłości i przyszłości. Odbiera echo uczynków i uczuć. Urywki myśli z przeszłości i teraźniejszości.

– Czasem obraży – wtrącił Zach. – Migawki, przeważnie słowiałe, od czasu do czasu bardziej jaskrawe i szczegółowe. Nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać.

– „Nie wiadomo, czego się spodziewać” – powtórzyła. – Dziękuję, teraz na pewno będę spała spokojniej.

Agent Parker uniósł brew.

– Pani zajęcie też jest niebezpieczne i nieprzewidywalne. Co takiego sprawia, że jednak sypia pani spokojnie?

Parker złożył dłonie, które trzymał na blacie. Odczytała ten gest jako oznakę rozbawienia, a nawet arogancji. I wkurzyło ją to.

Wyjęła służbową broń z kabury i położyła ją na stole.

– Półautomatyczny glock kaliber czterdzieści. Pełny magazynek, nabój w komorze. Do tego partner, któremu mogę zaufać. Z którym pracowałam,

na którym mogę polegać i który przeszedł takie samo szkolenie jak ja. Partner, co do którego nie mam wątpliwości, że mnie osłoni.

Major Nichols odchrząknął i zabrzmiało to tak, jakby próbował zamaskować rehot, ale po komendancie było wyraźnie widać, że bynajmniej nie jest zadowolony.

– Wystarczy, pani detektyw.

– Nic nie szkodzi – odezwał się Harris. – Podoba mi się jej szczerść. Nie mam też pretensji, że nie jest szczególnie zadowolona z obrotu spraw. Nie zna mnie i nie wie, co potrafię. – Odwrócił się do niej. – Dlatego postanowiłem, że też będę szczerzy. – Wyciągnął rękę ponad stołem. – Proszę podać mi dłoń, pani detektyw.

Zawahała się, ale podała. Oplótł jej palce swoimi. Poczwała delikatne mrowienie, jakby przeszedł ją prąd.

Wyraz twarzy Harrisa nie zmienił się na jotę.

– Jesteś wściekła na zaistniałą sytuację. Uważasz Szóstki za stek bzdur i wnerwia cię, że padło akurat na ciebie...

– To chyba oczywiste – ucięła lekceważąco. – Nie trzeba być jasnowidzem, żeby...

– ...mimo że niezłe ze mnie ciacho. – Lekko unióśł kąciki ust. – Wolałabyś, żebym wyglądał jak troll.

– To jakiś absurd!

Chciała cofnąć dłoń, ale nie pozwolił jej. Ścisnął mocniej.

– I na twoim miejscu nie korzystałbym z tej przepustki do wolności. – Zniżył głos. – To nie przejdzie. Oni grają według innych reguł.

Puścił dłoń Micki. Na chwilę zrobiło jej się słabo. Miała wrażenie, jakby kontakt z Zachem pozbawił ją energii.

W sali zapanowała cisza. Wszyscy wbili spojrzenie w Micki. Niedoczekanie, jeśli spodziewają się, że zaczną wychwalać Harrisa i jego dar. Wyprostowała się.

– Poważnie? To wszystko, co potrafisz?

Harris się roześmiał.



– Podobasz mi się, Mick. Dogadamy się.

Komendant wstał.

– Pani detektyw, uda się teraz pani do swojej komendy. Będzie pani mogła pożegnać się z detektywem Angelo, następnie pani i detektyw Harris zostanieie sobie oficjalnie przedstawieni.

– Co mam odpowiedzieć, kiedy pytają, co o nim wiem?

– Że prawie nic. Został do nas przeniesiony. Ze służbą łączy go koneksje rodzinne. Proszę grać według jego scenariusza. Czy to jasne?

Według j e g o scenariusza? Jeszcze czego! Nie powiedziała tego głośno, tylko pokiwała głową i odparła:

– Tak jest, panie komendancie.

Kiedy wyszli, Harris dogonił ją na korytarzu.

– Na przyszłość, Mick: owszem, jestem.

Rozdrażniona zmarszczyła brwi.

– Co jesteś?

– Dobry w łóżku.

Już chciał odejść, ale go zatrzymała.

– Jeżeli to kolejna żalosna próba czytania w moich myślach, to przykro mi, ale grubo się mylisz. Nawet przez chwilę nie zastanawiałam się, jak sobie radzisz w sypialni.

– Wiem – odparł i uśmiechnął się, powoli i zalotnie. – Dopiero będziesz.

# Rozdział 5

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 9:30

W chwili gdy Zach ujął dłoń Dare, zdał sobie sprawę, dlaczego Parker i spółka wybrali właśnie ją. Uzmysłowił sobie przynajmniej część powodów. Najprostszy był taki, że nie chciała go wpuścić. Opierała się. W niektórych ludzi szybko wnikał i robił rekonesans – naprawdę ich poznawał, ich nadzieje i bolączki, marzenia i rozczarowania. W przypadku Michaeli Dare było inaczej. Mick wzniosła wokół siebie, a zwłaszcza wokół swoich czułych punktów, wysoki, forteczny mur.

Poza tym nie dawała się nabrać na jego teksty. A bez tego, bez potwierdzenia siły własnego uroku, usychał.

Był dla siebie największym wrogiem, od kiedy odkrył, że różni się od rówieśników, i nauczył się wykorzystywać swoje szczególne zdolności. Krok pierwszy: rozpracować czyjś sekret. Krok drugi: wykorzystać zdobytą wiedzę. Nie po to, żeby ranić bądź niszczyć, ale by manipulować i wywierać nacisk – forsować to, na czym mu zależało.

Nie potrafił się powstrzymać. Nie rozumiał, po co miałby stać w korku, skoro znał drogę na skróty.

Zatrzymał się przed komendą ósmego rejonu, zwaną potocznie Ósemką, zadarł głowę i przyjrzał się typowemu dla Dzielnicy Francuskiej budynkowi. Czarny płot z kutego żelaza, wysokie drzwi wejściowe, białe kolumny, tynk w kolorze łososiowym.

Jego nowy dom. Przynajmniej na razie.

Wszedł po schodach. Gdy stanął w drzwiach, policjantka pełniąca służbę w recepcji – kawowa skóra, ciemne oczy o stalowym spojrzeniu – podniosła głowę i popatrzyła na niego. Zach utrzymał kontakt wzrokowy, uśmiechnął

się nieznacznie i podszedł do biurka.

– Dzień dobry.

Brak reakcji. Zero uśmiechu.

– Detektyw Zach Harris. Zgłaszam się do służby.

– Dowód, proszę.

Podał jej dokument. Obejrzała go dokładnie, po czym zwróciła. Jego palce zamknęły się wokół przedmiotu. Widziała już wszystko i nie da sobie wcisnąć kitu, pomyślał. Najpierw paralizator, potem pytania.

Poza tym miała dziś okropny poranek.

– Major Nichols czeka na pana w biurze dochodzeniówki. Drzwiami po prawej, dalej po schodach. Na pewno pan trafi.

– Dziękuję – powiedział, nie odrywając od niej wzroku, i znów się uśmiechnął. – Życzę pani cudownego dnia.

– Nawzajem – odparła i zmarszczyła czoło, najwyraźniej zdziwiona własnymi słowami.

Zach poszedł we wskazanym kierunku, znalazł drzwi, otworzył je... i poczuł się jak Alicja po wpadnięciu do króliczej nory. Ujrzał bowiem osobliwą scenę. Główne wejście i recepcja robiły wprawdzie wrażenie nieco spłowiałych, ale miały swój urok. Natomiast tutaj – po prostu ruina. Łuszcząca się farba, widać, że stara jak świat i pewnie wyprodukowana na bazie ołowiu. Pleśń na niszczej sztukaterii. Ogólny brud.

Sądził, że superbohaterowie zajmują ładniejsze kryjówki.

To by było tyle, jeśli chodzi o wymarzony splendor.

Dotarł na pierwsze piętro. Zero ochrony. Żadnych strażników. Nic. Szok dla kogoś świeżo po akademii w Quantico. Białe drzwi z emblematem policji miasta Nowy Orlean i napisem: „Ósmy Rejon, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy”. I niżej: „Wstęp tylko dla personelu”.

No, widząc coś takiego, każdy zbir na pewno zastanowi się dwa razy.

Wszedł do środka. Ruch, hałas i energia – jasna i ciemna, chaotyczna, kłębiąca się masa.

Nowe środowisko.

Przejmij je.

Jego spojrzenie padło na recepcjonistkę. Brak odznaki i broni. Pracownica cywilna. Na oko trzydzieści kilka lat. Atrakcyjna, mimo że nieco przesadnie ufryzowana i umalowana.

Podszedł do niej wolnym krokiem.

– Detektyw Zach Harris – przedstawił się. – Szukam majora Nicholasa.

Zmierzyła go wzrokiem.

– To ty jesteś ten nowy.

– Zgadza się, to ja.

– Ładną masz buźkę, trzeba ci przyznać.

– Dzięki.

– Niektórych to drażni.

Uniósł brew.

– „To”?

– To, że masz tu pracować.

– A. No cóż. – Wzruszył ramionami. – Będą musieli się przyzwyczaić.

Roześmiała się głosem będącym skrzyżowaniem ujadania z gdakaniem.

– Twoim partnerem będzie Wściekły Pies.

– Słyszałem. Co byś mi poradziła?

Patrzyła na niego, jakby go oceniała.

– Nie podpadnij jej. Wściekły Pies lubi kąsać bez litości.

– Dobrze wiedzieć.

– Mam na imię Sue. – Podała mu rękę. – I jestem wolna jak ptak.

Zach dotknął jej dłoni. Dużo bólu. Głód uczuć.

– Zapamiętam to sobie, Sue.

– Trzymam za słowo. – Wybrała numer majora. – Detektyw Harris do pana. Tak jest. – Zakończyła rozmowę i wstała. – Za chwilę cię przyjmie. Chodź, Apollo, znajdziemy twoją nową najlepszą przyjaciółkę.

Zach poszedł za nią. Minęli rząd niewygodnych krzeseł i wkroczyli do labiryntu biurek.

– Mick! – zawołała Sue. – Przyszedł twój nowy partner. Ciacho, że hej!

W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy oderwali wzrok od monitorów, wychylili się z boksów i spojrzeli na Zacha.

Nie była to prezentacja, na jaką liczył, ale trudno.

– Cześć – powiedział. – Miło mi.

Mick wstała ze skwaszoną miną.

– A, tak – mruknęła. – Słuchajcie, ten facet to detektyw Zach Harris. Zastąpi Carmine’a.

Ci, którzy akurat z nikim nie rozmawiali – przy biurku albo przez telefon – wstali i podeszli, przedstawiając się jeden przez drugiego. Mac. Killian. Rooster. Red. J.B. Buster.

Każdemu ścisnął dłoń. Za dużo i za szybko naraz, by cokolwiek wyczytać. Zmasowany atak na zmysły.

– Skąd jesteś? – spytał J.B.

– Z Kalifornii. Służyłem w rejonie Hollywood.

– Hollywood? – zdziwił się J.B., unosząc brwi. – Zajmowałeś się sprawami pięknych i bogatych? Wycierałeś im te ich eleganckie dupska, że tak powiem?

– Rzeczywiście, można tak powiedzieć – zgodził się Zach. – Ciężka robota, całe mnóstwo ściśniętych dup.

– Witaj w Orleanie, Hollywood. Troszkę się ubrudzisz, bo my tu, rozumiesz, mamy do czynienia z prawdziwym gównem.

– Jestem na to przygotowany.

Na pokrytej bliznami twarzy J.B. wykwitł szeroki uśmiech.

– Na pewno?

– Jasne. Już nie mogę się doczekać.

– Dare! Harris! – zawołał major, stając w drzwiach swojego gabinetu. – Do mnie. Na jednej nodze.

Posłusznie ruszyli do jego biura.

– Uprzedzam – mruknęła Micki – że J.B. potrafi być upierdliwy.

– Zapamiętam.

– To dobrze. Bo nie będziesz miał lekko.

Weszli do pokoju szefa.

– Zamknijcie drzwi – powiedział. – I siadajcie. – Kiedy zrobili, co im kazał, spojrzął najpierw na Zacha, potem na Micki. – Na razie wszystko w porządku? – spytał.

– J.B., jak to J.B., gada głupoty.

– Zdążyłem zyskać przezwisko – zauważył Zach. – To chyba dobry znak. Micki przewróciła oczami.

– Hollywood.

Nichols zmrużył oczy.

– J.B. trzeba utemperować.

Zach się uśmiechnął.

– Proszę powiedzieć, jakim narzędziem, a pójdę i to zrobię.

Szef zarechotał.

– Najlepszym sposobem na święty spokój ze strony J.B. i jego kumpli jest zasłużenie na ich szacunek. Mamy zabójstwo. Róg Royal i St. Peter. Sklep Rouses. Ofiara na zapleczu, przy pojemnikach na śmieci.

– Chyba pan, szefie, żartuje. – Micki zerwała się na nogi. – Zabójstwo? Tak na dzień dobry?

– A czemu nie?

– Z oczywistych powodów!

– Pani detektyw, co się robi, kiedy dostaje się nową broń? Sprawdza się, jak strzela.

– Ale...

– Koniec dyskusji. Informujcie mnie.

– Spokojnie, partnerko – odezwał się Zach, kiedy wyszli z gabinetu. – Obiecuję, że nie puszczę pawia.

# Rozdział 6

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 10:00

Obiecanki cacanki, pomyślała Micki, słuchając, jak Zachowi po raz kolejny zbiera się na wymioty. Nawet jeszcze nie spojrział na ofiarę, tylko poczuł charakterystyczny, wykręcający trzewia zapach. Dobrze, że chociaż zdążył uciec za taśmę policyjną. Nic bowiem bardziej nie zanieczyszcza miejsca zbrodni niż parująca kałuża rzygowin.

To będzie cholernie długi dzień.

– O rany, chyba źle z nim – powiedział jeden z mundurowych i wręczył Micki protokół. – Pamiętam swój pierwszy raz.

– Każdy go miał, Strawberry. – Podpisała się za siebie i Zacha. – Jedni przeżywają to lepiej, inni gorzej.

Harris wrócił z wyrazem zażenowania na twarzy.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi – odparła Micki i wręczyła mu listek gumy do żucia. – Każdemu się zdarza.

– Domyślam się, że każdemu, tylko nie tobie.

– Dobrze się domyślasz, Hollywood. – Słabość nie wchodziła w grę, nie w przypadku blondynki z dużymi cyckami i południowym akcentem. – Gotów?

Pokiwał głową. Przeszli pod taśmą policyjną. Micki zauważyła, że im bliżej ofiary, tym Zach intensywniej żuje gumę.

– Zawsze tak śmierdzi? – spytał.

– Nie zawsze. Akurat tutaj to mieszanka trupa i pełnych pojemników, których zawartość gotuje się w tym niemiłosiernym lipcowym upale. Opróżniłeś już żołądek?

– Chyba tak.

– To dobrze. Bo widok jest nieciekawym.

Nie przesadziła. Ofiara siedziała na ziemi oparta głową o pojemnik na śmieci. Ktoś wpackował jej kulkę w czaszkę, robiąc przy tym sporo bałaganu.

Podeszła do ciała, zakładając lateksowe rękawiczki, i przyjrzała mu się. Zauważyła, że Zach zatrzymał się jakieś dwa metry dalej.

– Poznaj Martina Ritchiego – powiedziała. – Znanego również jako Marty Mózgowiec. No cóż, trochę tego mózgu stracił.

– Biedaczek. Co o nim wiemy?

– Poza tym, że nie żyje?

– No.

– Handlował prochami, stręczył dziewczyny. Ogólnie był śmieciem. Nie zasłużył na współczucie.

– Każdy zasługuje na współczucie.

Micki prychnęła.

– Zobaczymy, czy to samo powiesz za pół roku.

– Taką trwałość ma litość?

Zerknęła na niego przez ramię. Wpatrywał się w Marty'ego. Był blady jak ściana.

– Mniej więcej. Jak myślisz, co tu się wydarzyło?

Spojrzał jej w oczy.

– Poza tym, co oczywiste?

– Aha.

Zastanowił się chwilę. Wyglądał, jakby chłonał atmosferę tego miejsca. Przenosił uwagę z jednej rzeczy na drugą. Zauważyła, że jego policzki odzyskały kolor. Podeszedł bliżej.

– Diler, alfons, gnida – odezwał się. – Mnóstwo powodów, dla których mógł znaleźć się w tej sytuacji. Jeżeli jego śmierć ma związek z tym, co robił, postawiłbym na narkotyki. To samo powiedzą statystyki.

Widać w Biurze dopilnowali, żeby dobrze się przygotował.

Kucnął obok niej.



– Rana wygląda na czystą. Pocisk wszedł tędy... – pokazał miejsce na lewej skroni – ...a wyszedł tędy. Śmierć na miejscu. Nasz sprawca jest dobrym strzelcem.

– Gdzie się znajdował?

Zmarszczył brwi.

– Brak śladów prochu i odcisku lufy. Powiedziałbym, że strzelano z odległości większej niż metr.

Lepiej, niż się spodziewała. Piątka za uważanie na lekcjach.

– Sprawdź jego komórkę – powiedziała. Wstała i podeszła do kontenera.

– W kieszeniach nie ma – odparł po chwili.

– Może leży pod nim. Zresztą zostaw, technicy się tym zajmą. – Znalazła to, czego szukała: krew i mózg na krawędzi pojemnika.

– Stał tutaj – powiedziała. – Czekał na kontakt. To ślepy zaułek. – Odwróciła się w stronę wejścia. – Facet podjeżdża, wysiada z wozu, celuje, strzela. Marty nie zdążył nawet podnieść rąk, nie mówiąc już o ucieczce. Padła trupem.

– Gdzie auto Marty’ego?

– Dobre pytanie. Przypuszczam, że mieszkał w Dzielnicy. Tutaj łatwiej przemieszczać się na piechotę, nawet w tak nieziemski upał.

Odsunęła się od pojemnika.

– Sprawca najprawdopodobniej stał tutaj – stwierdziła, zatrzymując się u wlotu do zaułka. – Był niewidoczny z ulicy, a jednocześnie łatwo mógł się wycofać.

Zerknęła na Zacha. Ten nieobecny wzrokiem wpatrywał się w trupa Marty’ego.

Pstryknęła palcami.

– Hollywood, dociera?

Pokiwał głową. Odwróciła się na pięcie i spojrzała pod nogi: beton, gdzieś pety, śmieci, podgniłe warzywa, pod ścianą stos kartonowych pudeł. I mrugająca do Micki łuska.

Podeszła i pochyliła się, żeby lepiej się przyjrzeć. Krótka, gruba,

mosięzna łuska.

– Kaliber czterdzieści pięć – oznajmiła. – Broń zapewne niezarejestrowana, być może kradziona. Coraz bardziej wygląda to tak, jak mówiłeś. Szacunek, Hollywood.

Usłyszała, jak Zach gwałtownie nabiera powietrza. Spojrzała w jego stronę – obejmował dłoń Marty’ego, jakby próbował coś z niej wydobyć.

– Hola, hola, Hollywood! Gdzie masz rękawiczki?

Przyjechali technicy. Ze wszystkimi pracowała już wcześniej, ale najlepiej znała Bena i to do niego podeszła.

– Zapraszamy na imprezę.

– Cuchnie ta wasza balanga.

Roześmiała się.

– Nic nie mów. Ofiara dilowała na drobną skalę. Sądzymy, że przez to zginęła. Łuska. – Pokazała. – Kula przeszła na wylot. Przy odrobinie szczęścia uda wam się ją odszukać.

Podeszli do ciała.

– Nie znaleźliśmy telefonu komórkowego. Może wy go wypatrzycie...

Przerwała, uświadomiwszy sobie, że zgubiła Zacha. Rozejrzała się, marszcząc czoło.

– Nie widzieliście przypadkiem mojego partnera? – spytała.

Odpowiedziała jedyna kobieta w zespole. Pokazała w stronę chodnika.

– Chodzi o tego przystojniaka? Tam poszedł.

Micki skończyła rozmawiać z Benem i ruszyła we wskazanym kierunku. Zatrzymała się na chodniku i spojrzała w prawo, potem w lewo. Jest. Dwie przecznice dalej.

Co on, do diabła, wyprawia?

Pobiegła za nim. Nie wiedziała, co gorsze: to, że opuściła miejsce zbrodni przed zakończeniem czynności, czy że spuściła Cudownego Chłopca z oka. Tak czy owak, major Nichols da jej popalić.

– Hollywood! – krzyknęła, kiedy uznała, że Zach zdoła ją usłyszeć. – Zaczekaj!

Zatrzymał się i odwrócił. Dogoniła go spocona i zziębnięta.

– Co ty robisz, człowieku? Dokąd się wybierasz?

– Nie mogę teraz rozmawiać.

– Nie możesz... Do miejsca zbrodni to w tamtą stronę, kolego. –

Pokazała kciukiem. – Jeszcze nie skończyliśmy.

– Idę za tropem.

– Jakim tropem?

– Nie wiem. Muszę iść.

Złapała go za rękę i zatrzymała.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Musimy przede wszystkim zabezpieczyć i zbadać miejsce przestępstwa. Nie możemy tak po prostu... pójść sobie.

– To wracaj. Ja idę za tropem.

– Jakim tropem?! – wykrzyknęła ze złością.

Otworzył dłoń. Karta z paskiem magnetycznym. Klucz do pokoju hotelowego.

French Quarter Inn.

– Miał to w ręku.

– Zabrałeś to?! – Zasłoniła oczy dłonią i pokręciła głową z niedowierzaniem. – Tak nie wolno!

– Musiałem.

To jakiś świr. Ma nierówno pod sufitem, pomyślała.

– Teraz ten klucz jest bez wartości. Jest zanieczyszczony. W FBI nie nauczyli cię, jak postępować na miejscu zbrodni i co to jest łańcuch dowodowy?

– Nauczyli. Ale w tej sprawie to nieistotne.

Przetrawienie jego słów zajęło Micki dłuższą chwilę.

– Jesteś niebezpieczny, wiesz?

– To, czego szukamy, znajdziemy we French Quarter Inn. Tam właśnie idę.

Ruszył przed siebie. Poszła za nim.

– Co takiego znajdziemy? Zabójcę?

– Nie wiem. Coś.

Coś? Serio?

Biuro nie musi się obawiać, że Harrisa wykończy członek gangu – zrobi to własnoręcznie detektyw Dare.

Raz jeszcze chwyciła go za rękę i zatrzymała.

– Praca policjanta nie polega wyłącznie na kierowaniu się przeczuciem. Śledztwo to drobiazgowy, logiczny proces. – Miała wrażenie, jakby jej nie słuchał. – Co z tego, że zrobisz czary-mary i złapiemy sprawcę, skoro i tak będziemy potrzebowali dowodów, żeby sąd go skazał? Poza tym, jeśli mam chronić twoje dupsko, masz postępować według moich zasad.

– Skończyłaś?

Głośno wciągnęła powietrze.

– Nie!

– Szkoda, bo naprawdę mi zależy, żebyś się teraz zamknęła.

# Rozdział 7

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 10:45

Zach szedł pierwszy. Gdyby był taki jak wszyscy, powiedziałby, że robi to, co podpowiada mu przecucie. Albo intuicja. Ale nie, czuł się raczej tak, jakby coś go prowadziło. Jakby coś wyłączyło jedną część jego mózgu, a uruchomiło drugą.

Energia przeszła na niego, w chwili gdy dotknął dłoni Marty'ego. Zyskała na sile, kiedy rozwarł trupowi pięść. Energia i wspomnienia zdawały się wtopione w klucz. Przemawiały do Zacha bez słów. Wzywały, by podążył za nimi.

Były mroczne i silne. Nigdy wcześniej nie miał z czymś takim do czynienia.

Co znajdą, gdy osiągną cel wędrówki? Nie, nie tak górnolotnie. Raczej: co znajdą na końcu szlaku? Bo to był szlak – usypany z psychicznych odprysków, niczym z okruszków chleba.

Prowadził do... czegoś. Nawet Zach czuł, że wszystko to brzmi jak czyste wariactwo.

Micki miała rację. Złamał zasady prowadzenia śledztwa. Opuścił miejsce przestępstwa. Okazał nieposłuszeństwo. Zanieczyścił materiał dowodowy. Ale przecież nie został Szóstką po to, żeby przestrzegać reguł ustanowionych przez ludzi obdarzonych zaledwie pięcioma zmysłami.

Uliczka kończyła się ślepym zaułkiem. Wyczerpała się też energia. Po prostu uleciała. Pozostał tylko szum.

Zach się zatrzymał. Rozejrzył się zdezorientowany.

– Posłuchaj, to nie jest przyjazna okolica.

– Zgubiłem to.

– Słucham?

– Urwało się.

Micki patrzyła z niedowierzaniem.

– Jak to „zgubiłeś”? Co takiego się „urwało”?

Rozumiał jej frustrację. Sam też czuł rozczarowanie. Dla niego, tak jak dla niej, to wciąż niezbadane terytorium.

– Spróbuj jeszcze raz. Bo inaczej zawracamy.

Zamknął oczy. Skupił uwagę na swojej dłoni i spoczywającym w niej kluczu. Energia. Czerpie ją ze wspomnienia, napędza siłą woli. Zbiera się, wiruje, wędruje w górę po rękę. Ukłucie w czaszkę, gwałtowny wzrost intensywności szumu. Nagle otworzył oczy i dłoń. Klucz wypadł na ziemię.

Na prawo.

– Harris? Jezus Maria, dobrze się czujesz?

Spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

– Tak.

– To nie było fajne.

– Co takiego?

– Myślałam, że masz jakiś, nie wiem, atak albo coś takiego. Przewróciłeś oczami.

To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Przynajmniej nic o tym nie wiedział. Bo przecież na pewno kogoś by zaniepokoiło, tak jak teraz wystraszyło Micki.

– Próbuję rozbroić powagę chwili.

– Nie udało ci się. – Posłała mu spojrzenie pełne dezaprobaty. – Nie rób tego więcej.

– Postaram się, szefowo. Tędy.

Hotel French Quarter Inn znajdował się przecnicę dalej. Co za nora, pomyślał, patrząc na fasadę przybytku, która była w opłakanym stanie. Plastik udający kute żelazo, poplamiony tynk, schodząca płatami farba.

Turyści, którzy rezerwowali tu pokoje, spodziewali się zapewne nowoorleańskiego uroku i trzygwiazdkowego standardu. A zastawali

karaluszki pensjonat.

Weszli do środka. Pachniało stęchlizną, czuć było wilgoć. Obsługujący recepcję blady chłopak od razu rozpoznał w nich gliniarzy i zrobił się nerwowy.

– Ja się tym zajmę – powiedział Zach.

Micki nie zamierzała się kłócić.

– Śmiało, partnerze.

Recepcjonista miał na imię Vince. Sprawiał wrażenie takiego, który nie spędza zbyt wiele czasu na świeżym powietrzu. Jego dwiema miłościami były gry wideo i śmieciowe żarcie – przekleństwa młodej Ameryki.

– Cześć, Vince – odezwał się Zach i machnął odznaką. – Detektyw Harris, a to moja partnerka, detektyw Dare.

Chłopak spojrział na Micki, a potem na Zacha.

– Co jest?

– Znasz gościa o nazwisku Martin Ritchie?

Pokręcił głową.

– Raczej nie.

– Marty’ego Mózgowca?

– W życiu nie słyszałem.

Zach pochylił się nad kontuarem.

– Spójrz na mnie, Vince.

Posłuchał. Zach popatrzył mu głęboko w oczy. Nauczył się tej sztuczki w gimnazjum i wykorzystał ją, żeby podnieść sobie średnią z algebry i wydusić „tak” z Marisy Peabody.

– Sądzę, że jednak go znasz. – Zniżył głos. – I to dobrze.

Chłopak pokiwał głową.

– Znam.

– Mieszka tu?

Vince przełknął ślinę.

– Tak. Płaci za pokój za tydzień z góry.

– Ale teraz go tu nie ma. – Recepcjonista potrząsnął głową. – Widziałeś,

jak wychodził?

– Widziałem.

– Kiedy to było?

– Jakiś czas temu. – I po namyśle: – Na początku mojej zmiany.

– O której zacząłeś pracę? – wtrąciła Micki.

Vince spojrział na nią i połączenie zostało zerwane. Zach zachował spokój. Czasem nie udawało się ponownie nawiązać łączności. Ale nie tym razem.

– Muszę zadzwonić do kierownika. Nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że z wami rozmawiałem.

– Vince – odezwał się Zach. – Spójrz na mnie. Nie rozmawiasz z nią, tylko ze mną.

Zach wiedział, że Micki poczuje się dotknięta, ale trudno, informacje są ważniejsze.

– Twój kierownik nie ma nic przeciwko tej rozmowie, wręcz odwrotnie. Chce, żebyś nam pomógł.

– Tak?

– Tak. Lubi cię, Vince. Uważa, że wykonujesz świetną robotę.

Chłopak się uśmiechnął.

– Serio? Fajnie.

– Bardzo fajnie. O której zacząłeś zmianę?

– O dziewiątej. Znaczący o dwudziestej pierwszej.

– I wtedy widziałeś, jak Martin Ritchie wychodzi z hotelu?

– Tak. – Chłopak wzmacnił odpowiedź skinieniem głowy.

– Był sam?

– Aha.

– W którym pokoju się zatrzymał?

– Tego nie mogę wam powiedzieć. Takie mamy zasady. Poza tym Marty by mnie zabił.

– Posłuchaj – odparł Zach. – Marty nikogo nie zabije, ponieważ ktoś zabił Marty'ego. Zastrzelił go.



– Zastrzelili? – powtórzył chłopak. – Bez jaj! Kiepsko.

– Owszem, kiepsko. – Zach pokazał mu kartę. – Bądź tak dobry i powiedz, które drzwi otwiera ten klucz.

Vince wziął kartę, przesunął ją przez czytnik i oddał.

– Czteryście dwanaście.

– To pokój Marty’ego?

Recepcjonista był blady jak ściana.

– Nie mogę powiedzieć.

– Ależ już to zrobiłeś. – Zach wsunął kartę do kieszeni. – Gdzie winda?

Vince pokazał głową i Micki ruszyła we wskazanym kierunku.

Zach się uśmiechnął.

– To nam wystarczy, Vince. Spisałeś się. Zapamiętasz to i będziesz z tego dumny. Miłego dnia.

– Nawzajem, detektywie! – zawołał Vince za biegnącym do windy Zachem.

# Rozdział 8

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 11:07

Micki przytrzymała Zachowi drzwi. Scena, której przed chwilą była świadkiem, przyprawiła ją o gęsią skórę i zarazem była fascynująca. To, jak skupił na sobie spojrzenie chłopaka. Kiedy z nim rozmawiał, w jego głosie zaszła zmiana. Nie potrafiła wytłumaczyć, na czym dokładnie polegała różnica – był cichszy i jednocześnie głębszy, cieplejszy i bardziej stanowczy – ale wiedziała, że gdy go usłyszała, zjeżyły jej się włoski na rękach. Miała wrażenie, jakby Zach zastosował na nieszczęsnym recepcjoniście jakąś zwariowaną metodę kontroli umysłu.

Kiedy oboje znaleźli się w windzie, wcisnęła czwórkę. Drzwi się zasunęły, liny szarpnęły kabiną i winda powoli ruszyła w górę.

– Co to, u diabła, miało być? – zapytała.

– Co takiego?

Poczuła, że na nią patrzy. Sama jednak wbijała spojrzenie w światelko przeskakujące między numerami pięter.

– To hokus-pokus, którym zaczarowałeś chłopaka.

– A, to taka metoda, którą wymyśliłem przed paroma laty.

– Po co?

– Bo mogłem.

Bardzo zabawne.

– Twój kumpel Parker powiedział, że kierujecie się zasadą, według której każdy dysponuje tylko takimi informacjami, jakie są mu potrzebne do działania. No więc ta informacja j e s t mi potrzebna do działania. Słucham.

Winda się zatrzymała. Wysiedli i skęcili w prawo.

– Miałem trzynaście lat, kiedy odkryłem, że potrafię wydobywać z ludzi

odpowiedzi, na których mi zależy. Potrzeba jedynie odrobinę... finezji.

– A jakich to odpowiedzi szukałeś?

– Takich jak wszyscy: brzmiących „tak”.

Zatrzymali się przed drzwiami z numerem czterysta dwanaście. Micki nadal nie patrzyła na Zacha.

– „Tak” na jakie pytanie?

– Dowolne. „Zatańczysz?”. „Umówisz się ze mną?”. „Czy mógłbym dostać piątkę zamiast trójki?”.

Micki musiała zastanowić się nad tym, co to oznaczało – i jakim uczyniło go to człowiekiem.

– To musiała być niemała władza w rękach głupiego dzieciaka.

– Owszem – zgodził się. – Nadal jest.

On z tym walczy, uświadomiła sobie naraz. I wcale nie poczuła się pocieszona.

– Możesz śmiało na mnie patrzeć, wiesz?

– Mój wuj, pijaczyna i ogólnie sukinsyn, mawiał: „Nie ma siły, drapieźnik musi polować”. – Dopiero teraz na niego spojrzała, mrużąc oczy w niemym wyzwaniu. – Zniszczę cię, jeśli spróbujesz wykorzystać na mnie to swoje wudu. Jasne?

– Jasne. – Uśmiechnął się. – Ale wiesz, ono nie zawsze działa. Niektórzy mają zbyt silną wolę. Przypuszczam, że też należysz do tej kategorii.

– Nie radzę ci sprawdzać.

– Rozkaz.

Przez chwilę badała go wzrokiem, nieprzekonana, czy rzeczywiście mu wierzy, a potem pokazała brodą na drzwi.

– Użyjesz karty czy będziemy tak stali?

Kilka sekund później byli w środku. Martina Ritchiego zdecydowanie nie można było nazwać poukładanym człowiekiem. Pokój – a właściwie apartament, bo oprócz sypialni i łazienki był tu niewielki salon oraz barek z małą lodówką i kuchenką mikrofalową – wyglądał bowiem jak chlew.

Po zastanowieniu Micki uznała, że nazwanie pokoju czterysta dwanaście

chlewem uwłacza świniom. Wszędzie, dosłownie wszędzie wały się puste opakowania po śmieciowym jedzeniu, papierki, pudełka, kubki. Porcja smażonego kurczaka z niedojedzonym udkiem, karton po pizzy zamieniony w hodowlę czegoś włochatego i zielonego, prawie puste butelki po piwie, których Ritchie używał jako popielniczek. Ohydztwo.

Spojrzała na Harrisa.

– Gdybym zarabiała handlem narkotykami, robiłabym to po to, żeby było mnie stać na lepsze życie. Nie gnieździłabym się w czymś... takim.

– Co ty nie powiesz? Wybierasz łazienkę czy sypialnię?

Skrzywiła się.

– Poproszę inny zestaw.

– Sorry, wyszły.

Zdecydowała się na sypialnię. Przeszukała ją, ale nie znalazła niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość dla śledztwa, żadnych narkotyków, broni, czarnego notesika z nazwiskami. Nic.

Zach wystawił głowę z łazienki.

– Spójrz na to.

– O cholera! – zareagowała, kiedy weszła do środka. Łazienka lśniła czystością. Wiszący na relingu ręcznik był złożony w idealny kancik.

– Marty urządził tu sobie gabinet. Zobacz. – Zach otworzył szafkę pod umywalką. Mieścił się w niej niewielki sejf, a w nim zapewne waga, sumator, plastikowa torebka, cały dilerski kram.

Zadzwoił telefon Micki.

– Dare – rzuciła do słuchawki.

– Gdzie was, do cholery, wywiało?

Hollister. Detektyw z biura koronera.

– Też cię pozdrawiam. Jesteśmy kilka przecznic od miejsca zbrodni. W mieszkaniu ofiary.

– To dość nietypowe, pani detektyw.

Zerknęła na Zacha, który wpatrywał się w zawartość sejfu.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo. Rób swoje, my zjawimy się jak

najprędzej.

Schowała aparat do kabury.

– Człowiek koronera. Czeka na miejscu.

Kucnęła obok Zacha. Sejf miał klasyczny zamek szyfrowy. Wyciągnęła rękę.

– Nie dotykaj!

Popatrzyła na Harrisa zaskoczona.

– O co chodzi? Marty nie był bystrzakiem. Wątpię, żeby zainstalował zabezpieczenia. Sejf pewnie nawet nie jest zamknięty.

– Jest.

– No dobrze. – Usiadła na piętach. – To jaki masz plan?

– Otworzyć go – odparł, a widząc, jak Micki marszczy czoło, dodał: – Zamki szyfrowe mają pamięć.

– Pamięć?

– A ja mam wyjątkowo zwinne palce. – Podniósł dłoń i poruszył nimi. – Zobaczysz, to jak magia.

Uniosła brew.

– Nawet w rękawiczkach?

– Cholera, zapomniałem. – Wyjął rękawiczki z kieszeni kurtki i założył je, po czym zgiął palce. – Mam nadzieję, że nadal działają.

– Nie sprawdziłeś tego podczas szkolenia?

– Nie sposób przewidzieć każdą ewentualność.

Micki już miała gotową odpowiedź, ale ugryzła się w język. Palcami prawej dłoni Zach delikatnie dotknął pokrętła. Zamknął oczy i siedział bez ruchu tak długo, że Micki miała ochotę odepchnąć go i sama spróbować otworzyć sejf. Wreszcie, wciąż z zamkniętymi oczami, powoli obrócił pokrętło w prawo. Pełny obrót. Potem kolejny. Zatrzymał się, a następnie obrócił pokrętło w lewo. Znów pełny obrót. I jeszcze jeden w prawo.

Zapadka szczęknęła i drzwi się otworzyły.

– Ja pierdolę, niewiarygodne!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Mówił ci ktoś, że nie przebierasz w słowach?
- Owszem. Pracuję nad tym.
- Nie zauważyłem.
- Wal się, Harris. Widzisz?

Zajrzała do sejfu. Znajdowało się tam wszystko, czego się spodziewała: prochy, kasa, spluwa – święta trójca drugorzędnych dilerów – a także kilka zaskakujących przedmiotów: plik kart kredytowych i praw jazdy oraz dowód tożsamości, wystawiony w Luizjanie na nazwisko Angel Gomez.

# Rozdział 9

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 16:47

Zanim Micki i Zach zawinęli z powrotem do Ósemki, większość chłopaków zwijała się już z biura, rozprawiając o zimnym piwie i partyjce bilardu w Shannon's Tavern. Technicy zbadali miejsce zbrodni, zebrali materiał dowodowy we French Quarter Inn oraz uzyskali nagrania z monitoringu zainstalowanego w sklepie Rouses i pobliskich punktach usługowych. Zwłoki Marty'ego zapakowano do plastikowego worka, opisano i przewieziono do kostnicy, gdzie miały poczekać w kolejce do sekcji. Micki i Zach rozejrzeli się po okolicy, przepytali potencjalnych świadków i zaczęli namierzać znanych wspólników Ritchiego.

Micki padała ze zmęczenia i gorąca, była cała spocona i chętnie oddałaby implant z prawej piersi za zimne piwo i cheeseburgera. Z lewej w sumie też.

Ale nie ma tak łatwo. Technicy dostarczyli do analizy kopie nagrań z monitoringu. Zapowiadała się cholernie długa noc.

– Idę do automatu – powiedziała, odsuwając się od biurka. – Chcesz coś, Hollywood?

Nie odpowiedział. Szukał czegoś w leżącej przed nim książce telefonicznej Nowego Orleanu.

– E, Harris. – Pstryknęła palcami. – Automat. Picie. Jedzenie. Przynieść? Podniósł głowę.

– Mają coś zdrowego?

Uniosła brew.

– Pytasz poważnie?

– W takim razie poproszę butelkę wody. Dziękuję.

Micki kupiła wodę dla obojga, a dla siebie dodatkowo serowe krakersy.

Włożyła rękę do opakowania i już miała schrupać pierwsze ciastko, kiedy major Nichols wystawił głowę z gabinetu.

– Dare i Harris. Do mnie.

– Uratowana w ostatniej chwili – stwierdził Zach. Wstał od biurka, zabrał Micki krakersa, którego trzymała dwoma palcami, i wrzucił go do kosza.

– Dlaczego to zrobiłeś? To moja kolacja!

– Trucizna, nie kolacja.

Pokręciła głową.

– Boże dopomóż. Jesteś ekoświadomym?

– Wolę określenie: zwolennik zdrowego stylu życia.

– Myślałam, że nie możesz być bardziej irytujący. Ale na ciebie, okazuje się, zawsze można liczyć.

Uśmiechnął się.

– Dbam o ciebie.

Nie zdążyła z ripostą przed wejściem do gabinetu szefa, więc ograniczyła się do środkowego palca, który pokazała Zachowi za plecami.

Usłyszała jeszcze, jak zachichotał, zanim Nichols warknął:

– Zamknąć drzwi. Siadać.

Oho, ktoś tu jest nie w sosie.

– Krakersika, majorze?

Podsunęła mu paczkę. Odmówił, więc klapnęła na krzesło, włożyła krakersa do ust i głośno schrupała.

Popatrzył na nią.

– Czyżbym przerwał ci podwieczorek?

Popiła ciastko wodą.

– Kolację. Ale nic nie szkodzi.

Otworzył usta, żeby to skomentować, ale zrezygnował.

– Wprowadźcie mnie w sprawę zabójstwa Ritchiego.

– Pojedynczy strzał w głowę – odparła Micki. – Na miejscu przestępstwa



znaleźliśmy zarówno pocisk, jak i łuskę. Kaliber czterdzieści pięć. Technicy mają telefon ofiary, czekamy na listę połączeń. Obeszliśmy okolicę. Nikt nic nie widział.

– Jakież przemyślenia?

– Morderstwo najprawdopodobniej miało związek z narkotykami. Na Rouses jest kilka kamer, jedna skierowana na przejście prowadzące na zaplecze, druga na tylne wejście do budynku. Mamy nagrania, spędzimy z nimi upojną noc.

– Coś jeszcze?

– Przypuszczam, że do rana ustalimy podejrzanego. A jeśli wszystko dobrze pójdzie, do południa go zgarniemy.

Nichols złożył wyprostowane palce pod podbródkiem i zaczął nimi przebierać.

Micki znała ten gest – oznaczał złość.

Cholera. Czyli dowiedział się o jej i Zacha wypadzie do obskurnego hotelu.

– Chcę wyjaśnić jedną rzecz. – Stalowe spojrzenie majora spoczęło na Micki. – Sprawujesz nadzór nad śledztwem w sprawie śmierci Ritchiego, zgadza się?

– Tak, panie majorze.

– A jakie są obowiązki policjanta sprawującego nadzór nad śledztwem? Zaczyna się.

– Wiem, o co chodzi, panie majorze. Proszę mi pozwolić...

– Jakie obowiązki, Dare?

– Do obowiązków policjanta sprawującego nadzór nad śledztwem należy zabezpieczenie miejsca zbrodni.

– Czy potraktowałaś te obowiązki poważnie?

– Bardzo, majorze. Mogę wyjaśnić...

– Zatem kiedy dostanę raport, z którego będzie wynikało, że ty i Harris pozostawiliście miejsce przestępstwa bez nadzoru na trzy kwadransy, mam przyjąć, że jest nieprawdziwy?

Miała ochotę wepchnąć Houdiniego z Hollywood pod autobus, ale niestety, czy jej się to podoba, czy nie, byli partnerami.

– Miejsce było zabezpieczone – powiedziała. – Pracowali technicy...

– A więc naprawdę je opuściliście?

– Tak, panie majorze.

Jego twarz niebezpiecznie poczerwieniała.

– Mógłbym zrozumieć, gdyby taki błąd popełnił jakiś żółtodziób. Ale nie ty!

– To ja jestem żółtodziobem – odezwał się Zach. – To moja wina. Micki poszła za mną.

Nichols przeniósł spojrzenie na Zacha.

– A dokąd to cię poniosło?

– Szedłem za tropem.

– Za podejrzanym?

– Nie, panie majorze. Za przecuciem.

Nichols zrobił minę, w której OMG połączyło się z LOL i kilkoma innymi akronimami. Gdyby tę scenę wrzucić na YouTube, zebrałaby milion odsłon. Micki poważnie obawiała się, czy przełożonemu nie pęknie żyłka, choćby pierdząca.

– Przecuciem?

– Właściwie to za energią.

Nichols aż zacharczał. Micki z trudem stłumiła śmiech.

– Czy ty sobie ze mnie, Harris, jaja robisz?

– Skąd, panie majorze. Moje zadanie polega na podążaniu za tym, co nieuchwytnie. Po to tu przyszedłem i za to mi płacą, całkiem zresztą niemało.

Powiedział to lekkim tonem, z delikatną, ledwo wyczuwalną nutą arogancji. Ani jednego, ani drugiego Nichols łatwo nie trawił. Chwilowo skupił się na Harrisie, ale jeszcze do mnie wróci, pomyślała Micki.

– Mamy procedury, Harris. Chłopcy w Quantico na pewno wyjaśnili ci, na czym polegają.

– Oczywiście, ale nie miałem wyjścia.

– Czemuż to?

– Energia szybko ulatuje. Gdybym zaczekał, zgubiłbym trop.

Major Nichols przyłożył palce do nasady nosa i zaczął go masować.

– Dobrze, wysłucham do końca. I dokąd doprowadziła cię ta... energia?

– Do nory Ritchiego. We French Quarter Inn.

– Znaleźliśmy narkotyki – wtrąciła Micki. – Sprzęt do dystrybucji.

Ponadto skradzione karty kredytowe i prawa jazdy. Wszystko figuruje jako materiał dowodowy.

– Ale nie namierzyliscie sprawcy? Ani nawet nie wpadliście na jego trop?

– To jeszcze niepewne – odezwał się Zach. – Pracuję nad tym.

Przez kilka długich chwil major Nichols nic nie mówił. Micki wyczuwała, że szef próbuje nad sobą zapanować.

– Słuchaj, Harris, powiem wprost. Doceniam twoje szczególne zdolności. Popieram program Szóstek i tak dalej. Ale przysłano cię tu po to, żebyś nam pomagał – ty nam, nie my tobie. Twoje zadanie polega na rozwiązywaniu zagadek kryminalnych i posyłaniu sprawców za kratki. Mick prowadzi śledztwa. Ty jej podlegasz. Robisz, co ona każe. Czy to dla ciebie zrozumiałe?

– Pewnie.

Major spiorunował go wzrokiem.

– Bardzo dobrze. A teraz wynocha.

Przeniósł uwagę na Micki.

– Ty zostajesz – rzucił.

– Chętnie się dowiem, jak to wyglądało z twojego punktu widzenia – powiedział, kiedy za Zachem zamknęły się drzwi.

– Ten facet to koszmar! – odparła i wstała z krzesła. – Jak można się spodziewać, że zaczniesz łapać przestępców, skoro ugania się za przecuciami? Łazi za energią, na litość boską! Co to ma być?

Oparła się o biurko Nicholosa i zmierzyła go wzrokiem.

– Daliście mi zadanie nie do wykonania: mam robić, co do mnie należy, a oprócz tego niańczyć magika. Tak, wiem, powinnam była zostać na miejscu przestępstwa. Opuszczając je, ryzykowałam, że zostanie zanieczyszczone. Ale przecież mam też ochraniać tę nową „tajną broń” FBI. Zgadza się?

– Zgadza.

– Właśnie. – Walnęła pięścią w blat i się wyprostowała. – Nie pozwalałam przemówić sobie do rozsądku, dlatego musiałam coś postanowić. Jeśli to się panu nie podoba, szefie, niech mnie pan skieruje do innych zadań. Proszę to zrobić, błagam.

– Zapomnij, Micki. Rób wszystko, żeby skupiał się na celu. I nie schrzań tego. – Pokazał na drzwi. – A teraz spadaj i pilnuj, żeby nie wpakował się w tarapaty.

# Rozdział 10

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 17:35

Zach siedział przy biurku i oglądał dowód tożsamości, który zabrał z pokoju Martina Ritchiego. Zręczne dłonie: kolejna z jego zdolności, mniej nadnaturalna, za to równie przydatna.

Włożył kartę do plastikowej torebki na dowody rzeczowe. To on, ten laminowany prostokąt, odciągnął go od miejsca zbrodni. Energia psychiczna, która przywarła do hotelowego klucza, była niczym w porównaniu z energią emanującą z karty.

Poczuł to, gdy tylko wszedł do pokoju. Zmarszczył brwi. O co może chodzić?

Czarna jak noc. Ogłuszająca niesłyszalnym dźwiękiem, którego wyraźny pogłos dotarł głęboko do jego jaźni. A wraz z nim dojmujące poczucie strachu.

Nie chciał do tego wracać.

Angel Gomez. Osiemnastolatka, obchodziła urodziny w zeszłą sobotę. Wyglądała młodziej. I zarazem – osobliwe – starzej.

Długie ciemne włosy, skóra w ciepłym kolorze. Twarz, do której jakby jeszcze nie dorosła. Nie latynoska. Raczej środkowoeuropejska. Cygańska – uznał.

Oczy. Co z nimi? Przybliżył wzrok do zdjęcia. Było w nich coś, co go zaniepokoiło. Ciemne.

I jednocześnie – nie ciemne.

Jak to możliwe?

Idzie Mick.

Wsunął kartę pod otwartą książkę telefoniczną.

Mick zatrzymała się za jego plecami i spojrzała mu przez ramię.

– Co nowego? – zapytała.

– Niewiele. Mam listę nazwisk z kart kredytowych i praw jazdy, które znaleźliśmy w sejfie Marty’ego. Zacząłem sprawdzać...

– Doceniam inicjatywę, Hollywood, ale żadna z tych osób nie zabiła Ritchiego.

– Skąd wiesz?

– To się nie klei. Marty wszedł w posiadanie tych kart bez wiedzy ich właścicieli, tak więc...

– Jak?

– Trudno powiedzieć. Pewnie wyciągnął z kieszeni. Są też inne sposoby, ale...

– Jakie sposoby?

Westchnęła poirytowana.

– Nieważne. Liczy się to, że właściciele kart nie wiedzieli, kto je ukradł. Takie rzeczy zdarzają się codziennie, i w Nowym Orleanie, i w miastach na całym świecie. Mało prawdopodobne, by któraś z ofiar kradzieży zamordowała Ritchiego.

– Mało prawdopodobne, ale niewykluczone?

– Wszystko jest możliwe.

– Powiedz, jakie są inne sposoby poza metodą na kieszonkowca?

Przysiadła na brzegu jego biurka.

– Ktoś taki jak Ritchie zapewne dysponuje siecią kontaktów, obejmującą całą dzielnicę. Barmani, kelnerzy, boye hotelowi, pokojowi, sprzątaczkę. Wszyscy oni żerują na turystach. Dostają od Ritchiego po kilka dolarów za każdą zwędzoną kartę albo prawo jazdy.

Zach pokiwał głową.

– A on zarabia więcej na sprzedaży informacji.

– Właśnie tak.

Zach wszystko to rozumiał. Tylko w jaki sposób Ritchie wszedł w posiadanie dowodu tożsamości Angel Gomez?

– Czas nas goni. – Micki wstała. – Możemy to zostawić i wziąć się do konkretnej pracy?

– Pewnie.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Mówisz poważnie? Zgadzasz się ze mną?

– Ty tu dowodzisz. Major Nichols wyraził się jasno.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Ciekawe, dlaczego jakoś trudno mi uwierzyć w twoją spolegliwość?

– Nie potrafisz zaufać?

Zauważył, że stłumiła uśmiech.

– Wal się, partnerze. Za tę uwagę skazuję cię na upojny wieczór z ziarnistymi nagraniami z monitoringu.

Nie miał na to czasu. Musiał porozmawiać z Parkerem.

– Przygotuj wszystko – powiedział. – Zaraz wracam. Skoczę tylko coś zjeść.

– Automat stoi na parterze.

– Wolę normalne jedzenie. Polecasz coś dobrego w okolicy?

– Café Beignet, dwa kroki stąd. Mają ciasta, paszteciki i takie tam. I kanapkarnia, Monster Po-Boys, po drugiej stronie ulicy. – Zerknęła na zegarek. – Ale pewnie mają już zamknięte.

– Pozwolisz, że przejdę się i sprawdzę?

– Śmiało. Aha, posłuchaj, nie musisz szukać tych wszystkich nazwisk w książce telefonicznej. Do takich celów stworzono komputerowe bazy danych, wiesz?

Zmarszczył czoło. Myślami był już przy Angel Gomez, paskudnej energii, która przykleiła się do jej dowodu tożsamości, i tym, co Parker będzie miał do powiedzenia.

– Co?

– Twoje poszukiwania. Lista nazwisk.

– A, tak. – Wstał i sięgnął po kurtkę. – Chyba będę musiał się nauczyć, jak korzystać z tych baz.

Roześmiała się.

– No, na pewno. Dzięki, tak przy okazji.

– Za co?

– Że wzięłaś winę na siebie. Podczas rozmowy z Nicholsem.

– Wziąłem ją, bo była moja.

Popatrzyła na niego, jakby był nową, dziwną formą życia. W sumie był nią. Chyba.

Po chwili skinęła głową.

– Spoko. – Zaczęła odchodzić, ale zatrzymała się i odwróciła. – Jeśli Monster ma otwarte, weź mi kanapkę z indykiem i serem. Przybraną.

– Przybraną?

– Z sałatą, pomidorem, majonezem.

Gdy tylko wyszedł z Ósemki, wybrał numer Parkera.

– To ja. Musimy się spotkać.



# Rozdział 11

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 18:20

Parker podał Zachowi adres przy ulicy Frenchmen w dzielnicy Marigny, sąsiadującej z Dzielnicą Francuską. Skierował go też do stojącego na policyjnym parkingu poobijanego forda taurusa, do którego kluczyki były ukryte w nadkolu po stronie kierowcy. Co ciekawe, nawigacja w samochodzie miała wprowadzone namiary na adres przy Frenchmen.

Przy tętniącej życiem ulicy panowała niezwykła atmosfera. Stały tam, tak jak prawie w całym Nowym Orleanie, cudownie niepowtarzalne, choć stare i niszczące, budynki. Na parterze działały restauracje, bary i sklepy, a na wyższych kondygnacjach urządzono mieszkania i lofty. Klimat zdecydowanie bardziej europejski niż amerykański – i zupełnie nieprzystający do aury Hollywood.

Pierwszą rzeczą, jaką usłyszał, gdy zaparkował i wysiadł z samochodu, była próba jakiejś kapeli. Miejsce spotkania, lokal numer sześćset dziesięć, znajdował się nad antykwariatem. Znalazł drzwi na prawo od wejścia do księgarni i zadzwonił.

– Wchodź – odezwał się Parker przez domofon.

Kiedy stanął przed drzwiami do mieszkania, dobiegły go dźwięki Vivaldiego. Parker miał fioła na punkcie muzyki klasycznej, ten zaś barokowy kompozytor był jego ulubionym.

– Otwarte! – zawołał Parker, zanim Zach zdążył zapukać.

Otwarty plan. Mieszkanie schludne, urządzone z dbałością o szczegóły. Modne i wygodne.

– Nie pasuje do ciebie – powiedział do Parkera, który siedział na stołku przy barze w kuchni.

– A do ciebie?

Zach rozejrzał się raz jeszcze i pokiwał głową.

– Do mnie owszem.

– To dobrze. Bo będziesz tu mieszkał. – Parker sięgnął do kieszeni, wyjął pęk kluczy i rzucił go Zachowi.

– Wymeldowaliśmy cię z hotelu i przenieśliśmy tu twoje rzeczy. Pozwoliłem sobie dodać kilka osobistych akcentów.

Zach podszedł do komody. Ramki ze zdjęciami: on z rodzicami, grupa przyjaciół z liceum na plaży, on i dumni rodzice podczas uroczystości wręczenia dyplomów ukończenia akademii policyjnej – zrobił wielkie oczy, widząc tę ostatnią fotografię. Podniósł ją i zwrócił się do Parkera:

– A to co?

– Photoshop. W mieszkaniu znajdziesz więcej takich „nostalgicznych” szczegółów. Radzę, żebyś się z nimi zapoznał i je oswoił.

Następnie Zach przejrzał zawartość wbudowanych półek na książki. Przesunął wzrokiem po grzbietach. Niezła reprezentacja jego ulubionych gatunków, czyli science fiction i fantasy. Wiele z tych książek już czytał. Opracowania na temat przestępczości i profilowania kryminalnego, coś o surfingu, parę tytułów o klasycznych amerykańskich samochodach. Obejrzał się przez ramię.

– Brakuje tylko Biblii, którą dostałem na bierzmowanie.

– Leży w szufladzie w szafce nocnej.

– Przerażacie mnie.

Przez twarz Parkera przemknął cień uśmiechu.

– W szafce pod telewizorem znajdziesz wszystkie części *Harry'ego Pottera*, *Władcy Pierścieni* i *Szklanej pułapki* na DVD.

Zach uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Bruce Willis. Największy heros kina akcji.

– Taurus, dodam, też jest do twojej dyspozycji.

– A ja tak liczyłem na astona martina albo bmw.

– Nie jesteś 007.

– Pomarzyć nie zaszkodzi – odparł lekkim tonem, dodając kluczyki do forda do zestawu, który rzucił mu Parker. – No dobrze, mam mało czasu. Musimy pogadać.

– Prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, ale i tak odpowiedział.

– Tak. Zabito pośledniego przestępcę, Martina Ritchiego. Sądzymy, że poszło o narkotyki.

– To nas nie interesuje.

– Tak myślałem. Natrafiłem przy nim na energię, jakiej nigdy wcześniej nie czułem. Doprowadziła mnie do pokoju hotelowego, w którym mieszkał Ritchie.

Zaciekawił Parkera na tyle, że ten wyjął długopis i notatnik.

– Nazwa i adres hotelu.

– French Quarter Inn. Ulica North Rampart, numer 1120. Pokój czterysta dwanaście. Na miejscu znalazłem to. – Z kieszeni kurtki wyjął plastikową torebkę i podał ją Parkerowi.

– Czy to było źródłem energii?

– Nie, ale skupiła się wokół tego przedmiotu. – Zawahał się. – Muszę ją odnaleźć, tę dziewczynę. Myślę, że coś jej grozi.

– Być może nie żyje.

– Żyje.

– Wiedza o tym wykracza poza twoje zdolności.

– Żyje – powtórzył Zach z naciskiem. Nie wiedział, skąd wzięła się ta pewność, ale czuł ją wyraźnie.

Parker spojrzał na niego krzywo, ale w końcu wyjął kartę z torebki i zaczął nią obracać, trzymając dwoma palcami za brzeg. Podniósł ją do światła.

– Wygląda na prawdziwy.

– Co to oznacza?

– Nic. Nieważne.

– Nieważne? Życie tej dziewczyny...

– ...to nie twoja sprawa. Twoja praca polega na pomaganiu policji w znajdowaniu przestępców.

– A gdybym mógł zapobiec zbrodni? Powstrzymać sprawcę, zanim dopuści się morderstwa?

– Nie możesz – odparł prosto Parker. – Myślisz, że nie próbowaliśmy?

Parker odnalazł Zacha, ponieważ byli braćmi. Łączyły ich jednak nie więzy krwi, lecz natura, prawdziwa natura. Parker również był Szóstką, jedną z pierwszych. Zwerbowano go i przeszkolono w FBI ponad dwadzieścia lat wcześniej. To dwadzieścia lat poznawania tego, co możliwe i niemożliwe. Upajających sukcesów i dotkliwych porażek.

Znał umiejętności Zacha równie dobrze, jak on sam, a może nawet lepiej.

Położył torebkę i kartę na blacie.

– Mamy mało czasu na to, by dowieść swojej wartości. Jeśli się nie sprawdzimy, program Szóstek zostanie zakończony. Sprawdzę tę Angel Gomez w naszych bazach. Jeżeli okaże się, że dowód jest fałszywy, nazwisko pewnie też będzie nieprawdziwe. W takim razie spróbujemy przepuścić zdjęcie przez program do rozpoznawania twarzy.

– Kiedy coś będziesz dla mnie miał?

– Rano.

Zach pokiwał głową.

– W porządku.

– Opowiedz mi o tej energii – poprosił Parker. – Opisz ją.

– Ciemna. Bardzo silna. – Zamilkł, szukając odpowiednich słów na to, co poczuł. Naraz spojrzął Parkerowi w oczy. – Nie bierna.

– Wyjaśnij.

– Zwykle odbieram szum, zakłócenia. Coś jak chwilę zatrzymaną w czasie. Albo przelotne wrażenie, że coś się wydarzyło. Tymczasem ta energia była... dynamiczna. Zdecydowanie agresywna.

Parker znieruchomiał.

– Agresywna, mówisz?

– Tak. Co to oznacza?

– Sprawdźmy, czy da się ją przekazać.

Parker wstał, podszedł do Zacha i zatrzymał się tuż przed nim. Uniósł lewą dłoń i rozczapierzył palce. Zach przyłożył do niej prawą dłoń tak, by nasada i koniuszki palców dokładnie przylegały. Zamknął oczy; zawsze tak robił, w przeciwnym razie transfer wytrącał go z równowagi.

Kiedy robili to po raz pierwszy, Zach stracił przytomność. Za drugim razem zwymiotował. Metodą prób i błędów nauczył się w końcu panować nad przepływem informacji zmysłowych.

Spokojnie. Oddychaj głęboko. Otwórz połączenie. Był przekaźnikiem, Parker – odbiornikiem. Cały proces był na tyle dziwny i upiorny, że żaden z kolegów Zacha z roku nie potrafił go powtórzyć. On jeden mógł się tak łączyć.

Silne mrowienie u podstawy czaszki oznaczało nawiązanie połączenia. Zaczęło się rozchodzić, aż objęło cały organizm. Punkty na ciele, w których sprawdza się tętno, rozgrzały się tak, jakby krew krążąca w żyłach Zacha zmieniła się w lawę. Dłonie wybuchły gorącem, stopiły się jedna z drugą.

Zach poczuł dreszcz, który przeszedł Parkera. Potem kolejny. I następne. Pieczenie nabrało intensywności.

Oddychaj, Zach. Nie walcz z tym. Poddaj się temu.

Gorąco stawało się nieznośne.

– Muszę przerwać – powiedział Zach.

– Jeszcze... chwilę – odparł Parker i nagle odskoczył, zrywając połączenie. Chwycił się blatu, żeby nie upaść. Zrobił się biały jak kreda.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście. Nic mi nie jest. – Agent, którego w normalnych okolicznościach nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, przeczesał włosy palcami. Zach zwrócił uwagę na jego drżącą dłoń. – Teraz rozumiem, o co ci chodziło z tą energią. Cholera...

Zach rozmasował na udzie piekącą dłoń.

– Chyba nie spodobało jej się to, że się nią podzieliliśmy.

– Nie, Harris, nie przypisuj jej ludzkich cech. To tylko wyjątkowo silna pamięć kinetyczna, nic więcej.

Parkerowi wróciły kolory. I powrócił opryskliwy, urzędowy ton.

– Miałeś kiedykolwiek do czynienia z czymś takim? – spytał Zach.

– Nie.

– Ale masz pomysł, co to może być – raczej stwierdził, niż zapytał Zach.

– Najmniejszego.

Zach wyczuł kłamstwo.

– Ukrywasz coś przede mną?

– Niby dlaczego miałbym to robić?

– Bo jesteś z FBI – dlatego.

– Ty też, Harris, podlegasz FBI. Lepiej o tym nie zapominaj.

– Nie zapominam. Przecież przyszedłem z tym do ciebie, prawda? –

Spojrzał na zegarek i obliczył, że jego nieobecność w Ósemce przeciągnęła się prawie do godziny. – Muszę wracać.

Parker tylko skinął głową. Kiedy wyszli z mieszkania, Zach zamknął drzwi na klucz. Zeszli wąskimi schodami na dół, a potem na ulicę. Powietrze było wilgotne.

– Rozumiem, że rano odezwiesz się w sprawie Gomez?

– Tak.

– Świetnie. To do usłyszenia. – Zach ruszył do samochodu. Kiedy do niego dotarł, spojrzał przez ramię, ale po Parkerze nie było już śladu.

# Rozdział 12

PONIEDZIAŁEK, 8 LIPCA

GODZINA 19:55

Na skali od jednego do dziesięciu Micki oceniłaby swój ból głowy na mocną dziesiątkę. Był jak połączenie młota udarowego z imadłem, odbierał resztki zdrowych zmysłów. Nie wywołało go ślęczenie przed monitorem i wypatrywanie drobiazgów ani zbyt duża ilość kawy, ani nawet śmieciowe jedzenie. Powodem był Harris.

Prawie dwie godziny. Gdzie on się, do ciężkiej cholery, podziewa?

„Ty tu dowodzisz. Major Nichols wyraził się jasno”.

„Zaraz wracam. Skoczę tylko coś zjeść”.

Pieprzony Harry Pozer.

A ona, głupia, dała się nabrać.

Chyba powinna się o niego martwić. W końcu był „człowiekiem FBI”, którego miała chronić. Gdyby był Carmine'em – albo którymkolwiek z chłopaków z komendy – rzeczywiście przejmowałaby się jego losem. No, ale oni to prawdziwi gliniarze.

Tymczasem ten zrobił sobie wakacje od Hollywood, ot, pokręcić się tu i tam, poopieprzać...

Poza tym, jeśli dał się porwać albo zastrzelić, to nie z jej winy. Przecież wybrał się tylko na drugą stronę ulicy po kanapkę, na litość boską! Niańczyć nie oznacza chyba być przy nim dzień i noc. Miałaby chodzić za nim do sracza? Czuwać przy nim, kiedy śpi?

Oparła głowę na dłoniach i rozmasowała pulsujące skronie. Dlaczego akurat jej się to przytrafiło? Zapracowała na swoją pozycję. Praca nie była dla niej zabawą ani paranormalnym eksperymentem.

Chodzi przecież o jej życie, o karierę.

Cholera jasna, pomyślała. Jeszcze pół godziny i stawiam wydział na nogi.

Ponownie skupiła spojrzenie na ekranie komputera. Przeglądanie nagrań z monitoringu to jeden z najbardziej nużących aspektów śledztwa. Technicy nie mogą tego zrobić, bo nie wiedzą, czego szukać. Robota spada więc na detektywów: trzeba sklejać do kupy pojedyncze klatki, układać oś czasu – z nagrań, które na szczęście mają nadrukowaną datę i godzinę – porównywać ziarniste ujęcia.

Posiedzenie przy komputerze okazało się owocne, mimo że zabrakło drugiej pary oczu. Przez dwie godziny Micki wypatrzyła twarz – niestety, mocno rozmazaną – i pojazd, a także udało jej się częściowo odczytać tablicę rejestracyjną podejrzanego wozu.

No i co, skurczybyki? Zadrzyjcie ze Wściekłym Psem, a Wściekły Pies was pokąsa.

Zapikał telefon. Wiadomość.

*Mam go.*

Nie rozpoznała numeru. Zmarszczyła czoło i odpisała:

*przedstaw sie*

*Hollywood – przyszła odpowiedź.*

Przewróciła oczami. Spodobało mu się przezwisko. Będzie musiała wymyślić coś nowego, na przykład Irytujący Drań.

*gdzie jestes*

*Bourbon.*

Bourbon. No jasne. Dwa kroki od miejsca zbrodni. Ulica knajp i klubów ze striptizem.

*wracaj*

*Jest tu morderca Ritchiego. Zanim zdążyła odpisać, dodał jeszcze: Nie żartuję.*

*skad wiesz*

*Wiem i już.*

I to miało ją pocieszyć? Hollywood, ten cholerny świr, może zrobić coś



głupiego. Ma odznakę, kajdanki i broń. Jest niebezpieczny dla siebie samego i dla cywilów.

Wyobraziła sobie, jak aresztuje jakiegoś Bogu ducha winnego prostytutka z prowincji. Nie uniknęliby zarzutów o brutalność policji. Na pewno skończyłoby się pozwem. Wyciekłaby prawda o Harrisie.

A kto by za to wszystko oberwał? Nie on – gdzieżby! – lecz jego zasuwająca jak osioł partnerka.

Wybrała numer komórki Zacha.

Odebrał.

– Niesamowite. Wpadłem na niego, kiedy szedłem po kanapki. Odebrałem wyraźny sygnał. To nasz człowiek.

– Gdzie jesteś?

– W klubie Bourbon Street Hustle.

– Bądź poważny. To klub ze striptizem.

– Nie mój wybór. Poszedłem za podejrzanym.

– Piłeś?

– Ja nie piję.

Powinna była się domyślić. Sądziła, że może choć to ich zbliży. Co gorsza, sama zacznie teraz pić jeszcze więcej – przez niego.

– Nie zbliżaj się do podejrzanego, dopóki się nie zjawię.

– Spokojna głowa. Nikt tu na mnie nie zwraca uwagi.

Złapała kurtkę.

– Jadę.

– Poczekaj. A jeśli będzie chciał wyjść?

– Idź za nim, ale pod żadnym pozorem nie nawiązuj z nim kontaktu. Zrozumiałeś? Niewykluczone, że to jednak nie on. A nawet jeśli on, to bez wsparcia narażasz się na niebezpieczeństwo.

– On, mówię ci. O cholera, muszę kończyć.

Rozłączył się, a Micki serce podeszło do gardła. Wariat jest zdolny do wszystkiego. Wydaje mu się, że kule się go nie imają?

Błyskawicznie znalazła się w aucie. Po drodze wezwała wsparcie.

Klub Bourbon Street Hustle znajdował się pod numerem 410. Kilka lat wcześniej detektyw Stacy Killian – też z Ósemki – przeprowadziła tam tajną akcję skierowaną przeciwko handlarzom narkotyków, która zakończyła się wielką nowoorleańską rozpierduchą.

Micki skręciła w Bourbon. Od osiemnastej do szóstej rano ulica była wyłączona z ruchu kołowego, z wyjątkiem pojazdów służb. Radiowóz patrolu już stał przed wejściem i migał czerwonym kogutem. Micki przecisnęła się przez tłum imprezowiczów i zaparkowała za kolegami.

Wyszedł jej na spotkanie Joey Petron, porządny gość, dobry glina.

– Zaczekajcie tu – poprosiła go. – W środku znajduje się podejrzany o morderstwo. Mój partner ma go na oku.

– Tak jest, pani detektyw.

Micki weszła do klubu. To było do przewidzenia, że ktoś, kto robi interesy z Martym Mózgowcem, chodzi do takiego lokalu jak Bourbon Street Hustle. Speluna przez wielkie, szemrane „S”.

Nie obiecywała sobie jednak zbyt wiele. To niemożliwe, żeby Harris miał aż takie szczęście.

Pokazała odznakę wykidajle. Ten tylko przewrócił oczami i wpuścił Micki do środka. Kiedy już jej oczy przyzwyczaiły się do światła w klubie, zobaczyła, że choć właściciele przybytku próbowali go jakoś upiększyć – nastrojowe oświetlenie, palmy w doniczkach – to jednak lepiąca się do podszew podłoga mówiła wszystko.

Witamy w klubie. Brak opłaty za wstęp, ale musisz kupić przynajmniej jednego drinka.

Micki spojrzała na scenę. Tancerka, która zrzucała z siebie strój przypominający mundurek katolickiej szkoły dla dziewcząt, była po czterdziestce. To na poważnie? Żałowała, że nie może przyskrzynieć tego, któremu wydaje się, że to stosowne – a co dopiero seksowne – ale cóż, prawo nie sięgało aż tak daleko.

Zauważyła Harrisa. Wychwycił jej wzrok i pokazał brodą na siedzącego przy barze wielkoluda. Ogolona głowa. Tatuaż ze smokiem na karku.

Kolczyki.

Przyjrzała mu się, przywołując z pamięci ziarnisty obraz z monitoringu. Mężczyzna, którego uchwyciły kamery, miał na głowie bejsbolówkę. I to nie była jakaś, bo z emblematem drużyny Florida Gators – zupełnie nie ma miejsca w krainie Tigersów.

Zmarszczyła brwi. Czy to ich człowiek? Być może. Czy rozpoznałaby go na ulicy wyłącznie po obejrzeniu nagrań? Nie. Ale gdyby spece z laboratorium powiększyli obraz – wtedy pewnie tak.

Może więc Harris jednak miał szczęście.

Harris spojrzał na nią. Pochyliła lekko głowę na znak, że wkraczają do akcji. Cała sztuka polegała na podejściu do podejrzanego bez wywoływania poruszenia. Ostatnie bowiem, czego im było trzeba, to zamieszanie w klubie pełnym turystów.

Swobodnym ruchem rozpięła trzy górne guziki koszuli i rozpuściła włosy. Kiedy spadły jej na ramiona, nastroszyła je zwinnym ruchem, jakby nie robiła w życiu niczego innego.

Plan A: odwrócić uwagę podejrzanego, a gdy ten będzie się gapił na cycki, Hollywood go zakuje.

Próbowała dać znak Harrisowi. Niestety, Zach najwyraźniej zapomniał, kto tu dowodzi. Micki patrzyła z przerażeniem, jak jej partner wyjmuje odznakę i zmierza w kierunku podejrzanego.

Rzuciła się, by mu przeszkodzić. Mężczyzna dostrzegł Harrisa. Wsunął dłoń pod kurtkę, ewidentnie sięgając po broń. Harris był tak zielony, że nawet tego nie zauważył.

– Ręce do góry, Łysolu! – krzyknęła. – Policja!

Obrócił się w jej stronę. Nie wiedziała, czy znajduje się wystarczająco blisko, żeby go zdjąć. Oby, pomyślała i skoczyła.

Uderzyła się o stołek barowy i poczuła ból w boku. Rozprysło się szkło, ludzie zaczęli wrzeszczeć. Natarła na Łysola, popchnęła go do tyłu i razem z nim wylądowała na podłodze.

Aż straciła dech w piersiach. Miała wrażenie, że połamała sobie żebra.

Powinna być wdzięczna, że zamiast tego nie oberwała kulki z gnata kaliber czterdzieści pięć, ale była za bardzo wkurzona, żeby o tym myśleć.

Kiedy zniknęły gwiazdy, które przez chwilę widziała przed oczami, uświadomiła sobie, że leży na podejrzanym piersiami na jego twarzy.

– Niezłe balony, glino.

Leciała mu krew. I bardzo dobrze.

– Morda w kubek.

Micki przewróciła go na bok i wykręciła mu rękę.

– Masz prawo zachować milczenie. – Założyła mu kajdanki na jeden nadgarstek. – Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie w sądzie. – Założyła i na drugi. – Masz prawo do adwokata. Jeżeli cię nie stać, zostanie ci przydzielony obrońca z urzędu.

Nadciągnęły posiłki. Funkcjonariusz Petron i dwóch jego kolegów. Błysnęły flesze aparatów. Naraz do Micki dotarło, jak to wygląda: Harris, wzór opanowania, stoi z bronią w ręku, wycelowaną w podejrzanego. Natomiast ona klęczy, dosiadając Łysola, z rozpiętej koszuli wylewają się cycki, a na ramiona spływa burza potarganych blond włosów.

Wygląda jak wariatka.

Zeszła z mężczyzny i pomogła mu wstać.

– Czy rozumiesz prawa, które ci odczytałam?

– Czego mi dupę zawracacie? – jęknął. Kolejny gość klubu postanowił zrobić sobie fotkę z bandziorem. – Nic nie zrobiłem, przyjechałem się zabawić w Dzielnicy.

– Morderstwo Martina Ritchiego – wycodziła.

Obyś tylko był naszym podejrzanym, dodała w myślach.

# Rozdział 13

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 8:28

Kiedy następnego ranka Micki i Zach przyjechali na komendę, w wydziale było nienaturalnie cicho. Zauważyła, że kilka głów odwróciło się w ich stronę, i zmarszczyła czoło. Była zmęczona i rozdrażniona, a do tego na prawym boku miała siniaka wielkości grejpfruta. Nie była w nastroju do żartów i każdy, kto wszedłby jej w drogę, szybko by się o tym przekonał.

Wcześniej razem z Zachem poszli na spotkanie z szefostwem w komendzie głównej. Komendant nie posiadał się ze szczęścia. Nawet agent Parker uśmiechnął się półgębkiem.

Z raportu balistyki wynikało, że kulę wystrzelono z broni zatrzymanego w klubie mężczyzny. Udało się powiększyć klatkę z nagrania z monitoringu, na którym było widać Łysola na miejscu przestępstwa. A po kilku cyfrach z numeru na tablicach zdołano dojść, że samochód zarejestrowano na niejakiego Benito „Mało Rozgarniętego” Alvareza. Był winny, bez dwóch zdań. Dorwali go.

Nie, pomyślała Micki, nie „oni”, lecz „on”, Harris. Wszedł na Supermana. A ona? Wyglądała w klubie, jak gdyby uprawiała damski wrestling. Brakowało tylko lateksowych gatek...

Widziała na własne oczy. O tak. Bo jakby upokorzenia było mało, jeden z pracowników klubu sfilmował całe zdarzenie smartfonem.

I, jakżeby inaczej, wrzucił nagranie na YouTube.

No, ale nawet te „wyglupy”, jak to ujął komendant, nie zdołały zepsuć dobrego humoru szefowi nowoorleańskiej policji. Dyrektor do spraw public relations obiecał zająć się sprawą i najwyraźniej Howardowi to wystarczyło.

– Świetna robota, proszę państwa – powiedział J.B., wstając. Zaczął

klaskać. Dołączył do niego przydupas Buster. – Ekspresowe tempo. Pobiliście chyba rekord. Czysta magia.

Serce Micki mocniej zabiło. Jakim, u diabła, sposobem tych dwóch klaunów poznało prawdziwą tożsamość Zacha?

– Chętnie posłuchamy, jak wam się udało to zrobić. Co nie, Buster?

– No, J.B. Opowiedzcie o mrożących krew w żyłach zwrotach akcji.

Otworzyła usta, żeby ich usadzić, ale uprzedził ją Zach i wybrnął z sytuacji jak rzecznik prasowy rządu z niewygodnego pytania.

– Stara, dobra policyjna robota – oznajmił i ukłonił się. – W hollywoodzkim stylu.

Killian aż zagwizdała. Parę innych osób zachichotało z zadowoleniem.

J.B., nagle rozdrażniony, przeniósł uwagę na Micki.

– A ty, Wściekły Psie? W jaki styl celowałaś? – zapytał i obrócił monitor komputera. Kliknął „play” i Micki ujrzała siebie, jak rzuca się na podejrzanego i we dwoje lądują na podłodze. – *WWE SmackDown*? Talentu to ci nie brakuje.

Przez talent z pewnością rozumiał piersi wylewające się z koszuli. Przypuszczenia potwierdziły się, kiedy Buster dodał:

– Szycha Benito Alvarez powalony przez Podwójne De.

Cały wydział wybuchł śmiechem.

– Dziewczyno, wyglądasz pierwsza klasa! – zawołała Stacy Killian. – Możesz być z siebie dumna.

– Dzięki, będę. – Miała ochotę „powalić” obu idiotów, i to na amen, ale zachowała zimną krew. – Skończyłeś się wydurniać, J.B.? Bo wstałam lewą nogą i mam deficyt humoru.

– No nie wiem. Myślę, że powinniśmy jeszcze raz obejrzeć sobie ciebie i twojego nowego chłopaka, Benito, w akcji.

– Odczepcie się już, co? – wtrącił Zach. – Mick ocaliła mi tyłek.

W wydziale zapadła grobowa cisza. Micki spojrzała wściekła na Zacha. Inne kobiety, słabe kobiety, potrzebowały, żeby je bronić. Ale nie ona. Już miała poinformować o tym Zacha, kiedy major Nichols wystawił głowę

z gabinetu.

– Dare, Harris. Do mnie.

Zrównała krok z Harrisem i zatrzymała go przed drzwiami szefa.

– Nigdy więcej tego nie rób – syknęła. – Narobiłeś mi wstydu.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Wstawiłem się za partnerką. Od kiedy to coś złego?

– Od zawsze. Przez ciebie wyszłam na słabeusza. Potrafię o siebie zadbać. Ani ty, ani nikt inny nie musi się za mną „wstawiać”, żeby uratować mnie, mój honor, czy co tam chciałeś ocalić. Jasne?

– Jasne – odparł kwaśno.

Major ponaglił ich gestem.

– Nie mam całego dnia.

Kiedy usiedli, złożył dłonie na biurku i popatrzył najpierw na Micki, potem na Zacha.

– Gratuluję. Obojgu.

– Dziękujemy, panie majorze – odparli unisono.

– Dokładnie takiej współpracy od ciebie oczekiwaliśmy, Harris – powiedział. – A ty – zwrócił się do Micki – jak się czujesz?

Była przygotowana raczej na ochrzan.

– Boli mnie w boku, ale poza tym śpiewająco.

– Cieszę się. – Odchrząknął. – Pora na złe wieści. Nagranie z aresztowania rozeszło się po sieci.

– Tak, J.B. i Buster już mi to uświadomili. – Zerknęła na Zacha. – Poradzę sobie z nimi i ze wszystkimi, którzy mają z tym jakiś problem. Bez niczyjej pomocy.

Nie wiedziała, czy Nichols wyczuł napięcie między nią a Harrisem, ale nawet jeśli, to nie skomentował tego.

– Przede wszystkim miałaś co...?

– Chronić Harrisa. Za wszelką cenę.

Przez oblicze majora przemknął uśmiech.

– Właśnie. Za wszelką cenę. Sytuacja w klubie podpada pod tę kategorię.

Gratuluje. – Zwrócił się do Zacha. – Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

– Całkowicie ufam detektyw Dare.

– A nie widać! Dare idzie przodem, ty za nią. Robisz to swoje abrakadabra, a potem wkracza ona i zajmuje się prawdziwą policyjną robotą.

– Tak, szefie, ale...

– Nie jesteś gliną. Dociera to do ciebie?

– Pragnę zauważyć, że odznaka i broń świadczą co innego – odciął się Zach.

Nichols zrobił się czerwony jak burak i zerwał się na nogi.

– Zachowałeś się lekkomyślnie w trakcie aresztowania i naraziłeś siebie oraz partnerkę na niebezpieczeństwo. To niedopuszczalne.

– Zrozumiałem, panie majorze.

Ale Nichols jeszcze nie skończył.

– Dare doskonale wie, jak wykonywać swoją pracę. Gdybyś robił, co do ciebie należy i nie wtrącał się, zaobrączkowałyby Alvareza bez całego tego burdelu.

Zach wydawał się niewzruszony opieprzem.

– Zrozumiałem, panie majorze – powtórzył. – Od zera do bohatera, jasne. – Wysunął telefon z kieszeni i łypnął na wyświetlacz. – Przepraszam, ale muszę odebrać.

Nie czekając na pozwolenie, wstał i wyszedł z gabinetu.

Major popatrzył za nim osłupiały, z taką miną, że Micki o mało nie wybuchła śmiechem. Zachowanie Harrisa zdumiewało go tak samo jak ją. Mógł krzyczeć, grozić, błagać, a Harris i tak robił, co mu się żywnie podobało.



# Rozdział 14

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 10:15

Zach czekał na Micki przed gabinetem majora. Dzwonił Parker. Sprawdził Angel Gomez w bazach danych i okazało się, że jest czysta jak łąza, nigdy w życiu nie dostała nawet mandatu za złe parkowanie. Pracuje w kanapkarni Teddy's Po-Boys.

Zatem kolejny przystanek: lokal u Teddy'ego. Z Micki albo bez niej.

Wolałby z nią. W końcu byli partnerami. Poza tym, jak elegancko zauważył Nichols, była od niego lepsza w policyjnej robocie.

Tyle że zabranie jej ze sobą wymagałoby wtajemniczenia ją w sprawę Angel Gomez. Najpewniej będzie ostro wnerwiona.

Wyszła z gabinetu szefa, zobaczyła Zacha i zatrzymała się. Lekko zmarszczyła czoło.

– Co jest grane?

– O co ci chodzi?

– Proszę cię. Masz to wypisane na twarzy.

Trafiony zatopiony.

– Słyszałaś o knajpcie u Teddy'ego? To w dzielnicy biznesowej.

– Owszem. Ale nigdy tam nie byłam. A co?

– Mam trop. Musimy złożyć im wizytę – powiedział i ruszył przed siebie.

– Trop, Hollywood? – Dogoniła go. – Przecież nie prowadzimy żadnej sprawy.

– Ale możemy zacząć. Wyjaśnię po drodze.

Przez całą drogę do samochodu milczeli. Kiedy wsiedli do taurusa, Zach włączył klimatyzację, a Micki usiadła tak, by móc spojrzeć partnerowi

w oczy.

– Lepiej zacznij się spowiadać, Harris. Bo szlag mnie trafi, jeśli zaraz tego nie zrobisz.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego. O mieszkaniu Ritchiego.

Zaczęła na zmianę miotać przekleństwa i zachowywać się tak, jakby ze złości nie mogła wydusić z siebie słowa. Niezwykłe połączenie, zręczne i komiczne zarazem. Zach z trudem opanował śmiech.

– Skończyłaś? – spytał po chwili.

– Dopiero się rozkręcam.

Mimo to mówił dalej:

– Te dokumenty, które znaleźliśmy w sejfie u Ritchiego. Jeden z nich okazał się wyjątkowy.

To przykuło jej uwagę.

– Co to znaczy?

Zach włączył silnik i wyjechał z miejsca parkingowego.

– Energia, która doprowadziła mnie z miejsca zbrodni do hotelu, była związana z tym dokumentem.

– Nie z pozostałymi?

– Nie.

– Nadal nie wiem, co to oznacza.

– Prawdę mówiąc, ja też nie za bardzo.

– Tak, jasne.

Zignorował sarkazm w jej głosie.

– Wiem natomiast, że muszę odnaleźć Angel Gomez.

– Tę, na którą jest dowód?

– Tak. Myślę, że ma kłopoty.

– Czy telefon, który odebrałaś u Nicholisa, miał z tym związek?

– Dzwonił Parker. Sprawdził ją w bazach.

Zmrużyła oczy.

– I wyskoczyła mu kanapkarnia Teddy’ego. Dziewczyna tam pracuje?

– Zgadza się.

Wzięła pełen napięcia oddech.

– Poszedłeś z tym najpierw do Parkera. Dlaczego?

– Byliśmy trochę zajęci.

– Nie chciałeś mi zaufać.

– Uznałem, że nie zrozumiesz.

– Ale teraz już rozumiem? Proszę cię!

– Zrobiliśmy spore postępy, wiesz, między nami, w niecałe dwadzieścia cztery godziny.

– To jest po prostu... po prostu porąbane. Pod wieloma względami. Nie potrafię nawet... Nieważne.

– Kapuję. – Skręcił w St. Charles. Uśmiechnął się do Micki. – Co poradzisz? Nie możesz się ode mnie uwolnić.

– Niestety, masz cholerną rację – mruknęła, po czym pokazała palcem. – Lokal Teddy’ego po lewej. Zaparkuj przy hydrancie.

Tak zrobił i kilka chwil później wchodzili razem do restauracji. Zadzwoił dzwonek nad drzwiami, na co stojący za ladą wielki facet w białym fartuchu głośno ich przywitał. Przyszli po śniadaniowym obłożeniu i przed lunchową ofensywą. Garstka klientów kanapkarni wyglądała na turystów.

Podeszli do lady.

– Dzień dobry – odezwał się Zach z promiennym uśmiechem na ustach.

– Jak pan się dziś miewa?

– Znakomicie – odparł mężczyzna i wyjął dwa jadłospisy. – Przy bufecie, przy stoliku czy na wynos?

– Żadne z powyższych – powiedział Zach, wciąż z uśmiechem. – Policja. Detektywi Harris i Dare.

Mężczyzna obejrzał odznaki i pokiwał głową.

– Jak mogę państwu pomóc?

– Jest pan kierownikiem?

– Właścicielem. Teddy to ja. – Uśmiechnął się i poklepał po wydatnym brzuchu. – Chodząca reklama zakładu.

Zach odwzajemnił uśmiech.

– Wspaniale tu pachnie. Nie mogę się doczekać, aż spróbuję jedzenia.

– Bardzo dziękuję. Ale o co chodzi?

– Szukamy jednej z pańskich pracownic. Nazywa się Angel Gomez.

– Angel? Ma kłopoty?

– Nic nam o tym nie wiadomo. Ale boimy się, że coś jej się mogło stać.

Znaleźliśmy jej dowód tożsamości wśród rzeczy należących do zamordowanego handlarza narkotyków.

Brzęk tłuczonych talerzy za ich plecami. Zach odwrócił się na pięcie. Szczupła, zbyt mocno umalowana blondynka zastygła w bezruchu i patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami, osadzonymi w nagle pobladłej twarzy. Na podłodze u jej stóp leżała rozbita, porozrzucana zawartość tacy z jedzeniem i napojami.

Bingo.

– Fran! – zawołał właściciel, wychodząc zza lady. – Ocknij się!

Zach podszedł i zaczął pomagać zbierać potłuczoną zastawę. Chwycił kobietę za rękę, kiedy sięgnęła po wyjątkowo ostry kawałek szkła.

– Ja to wezmę.

Strach. O Angel. Poczucie winy. Żal.

Puścił jej rękę i położył szkło na tacy.

– Lepiej, żeby nie rozcięła pani sobie dłoni – powiedział i posłał jej pełen współczucia uśmiech.

Zarumieniła się.

– Dziękuję.

Kiedy skończyli zbierać potłuczoną zastawę, Zach zaniósł tacę do kuchni. Zauważył, że w korytarzu wisi zegar kontrolny i stoi rząd zamykanych na klucz szafek. Postawił tacę obok zlewu i wrócił na salę. Właściciel kończył zmywać podłogę.

– Przepraszam za to – powiedział zdenerwowany. – Pytaliście o Angel. Nie widziałem jej od zeszłego tygodnia. Ostatni raz przyszła do pracy w piątek. W niedzielę mamy zamknięte, a w poniedziałek już się nie

zjawiała.

– Próbował pan się z nią skontaktować?

– Fran poszła do hotelu, w którym Angel mieszkała. Wypytała ludzi, ale nikt nic nie wiedział. No więc zatrudniłem kogoś innego.

– A rodzina?

– Nic mi o niej nie wiadomo. Porozmawiajcie lepiej z Fran. Przyjaźniła się z Angel.

– Nie zgłosił pan zaginięcia?

– Na policji? – Pokręcił głową. – Nie. Pracownicy przychodzą i odchodzą. Jeśli rezygnują, robią to tak, że rzucają fartuchem w czasie największego ruchu albo po prostu się nie zjawiają. Taka branża. Angel... – zamilkł, jakby zbierał myśli – ...miła dziewczyna. Ale dziwna. Zawsze miałem wrażenie, że myślami jest gdzie indziej.

– Czy w takim razie możemy porozmawiać z Fran? – spytała Micki.

– Oczywiście, nie ma sprawy. – Przywołał kelnerkę. – Państwo chcą ci zadać kilka pytań o Angel.

– Okej – odparła Fran. Wyglądała na niespokojną.

– Słyszała pani, że rozmawiamy o Angel.

– Tak. – Wytarła dłonie o fartuch. Zach zwrócił uwagę, że się trzęsły.

– I że znaleźliśmy jej dowód przy martwym dilerze. – Pokiwała głową. – Chcemy się upewnić, że nic jej nie jest. Słyszała pani nazwisko Martin Ritchie?

Zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Angel?

– W piątek. Po pracy poszłyśmy na imprezę. W śródmieściu. Na kampusie Tulane'a.

– Proszę opowiedzieć, jak wyglądał ten wieczór.

– Nie ma o czym opowiadać. Poszłyśmy na imprezę, poznałam kogoś, a kiedy wróciłam, jej już nie było.

– Pytała pani, dokąd poszła?

Pokiwała głową.

– Nikt nic nie wiedział. Parę osób zauważyło, jak wychodziła.  
Zach spojrział na Mick. Tak, jej też coraz mniej się to podobało.

– Nie przejęłam się.

– Dlaczego?

– Bo Angel taka jest. Zachowuje się... inaczej niż wszyscy. Pomyślałam, że może się na mnie obraziła. Bo namówiłam ją na imprezę, a potem zostawiłam. To nie było fajne. Zwłaszcza że miała urodziny.

– Urodziny?

Skinęła głową. Po jej minie było widać, jak bardzo żałuje, że nie postąpiła inaczej.

– Kiepsko się z tym czuję.

To ten żal, który odebrał, kiedy dotknął jej ręki.

– Teddy powiedział, że poszła pani do niej.

– Tak, wynajmuje pokój niedaleko Tulane'a. Byłam tam, nikt jej nie widział. Ci ludzie nie byli zbyt przyjemni.

– A samochód? – spytała Mick. – Albo telefon?

– Oszczędzała na wóz. I nie miała komórki. – Wzruszyła ramionami. – Mówiłam, że jest inna.

– Uczyła się?

Fran zaprzeczyła.

– Miała rodzinę?

– Raczej nie. Nigdy o niej nie wspominała.

– Ma tu jakąś szafkę albo coś takiego?

– Tak, ale... tam nic nie ma.

– Możemy zajrzeć?

– Jeśli Teddy pozwoli.

Pozwolił. Kilka chwil później Zach wpatrywał się w pustą metalową szafkę. Zwyczajna, zamykana na klucz, taka jak w szkołach.

Nic. Nawet szumu. Przesunął dłonią po wnętrzu, potem po drzwiczkach. Ciągłe nic.

Odwrócił się do Fran i się uśmiechnął.

– Proszę powiedzieć, jak nazywa się to miejsce, w którym Angel wynajmuje pokój.

– Tulane Courtyard Lodge.

– Dziękujemy, Fran. – Zapisał na kartce kontakt do siebie i wręczył ją dziewczynie. – Proszę do mnie zadzwonić, jeśli Angel się odezwie, dobrze?

# Rozdział 15

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 11:00

Teddy uparł się, że nie wypuści ich bez kanapki i czegoś na drogę. Musieli przyznać, że wie, jak zabiegać o klientów.

Usiedli w taurusie. Micki odwinęła kanapkę i odgryzła spory kawałek. Mruknęła zadowolona i znów wbiła zęby w jedzenie.

– Kulinaryny geniusz – powiedziała z pełnymi ustami. – Chyba się zakochałam.

Zach rozpakował swoją kanapkę i zajrzał pod pieczywo.

– Wiesz, dlaczego tak dobrze ci smakuje? Bo to tylko jajka, boczek i ser. Zero kiełków.

– Święta kanapkowa trójca. Przykro mi, partnerze, ale to nie Kalifornia. Spróbuj, zaręczam, że nie pożałujesz.

Ugryzł trochę, przeżuł i przyznał, że istotnie smaczne. Przez pewien czas jedli w milczeniu.

Dopóki Micki nie przerwała ciszy.

– Czy potrafisz przyjąć konstruktywną krytykę?

– To podchwytliwe pytanie, prawda?

Roześmiała się.

– Ani trochę. Jeśli chcesz, żebym coś zasugerowała, to zasugeruję. Jeśli nie – nie zrobię tego.

– Dawaj.

– Nie musiałeś tego robić. Tam, w knajpie.

– Czego?

– Uśmiechać się. Pomagać. Nie muszą cię lubić. Jesteś przedstawicielem prawa.



– Po prostu dodaję wdzięku naszej pracy.

– Hollywood, nasza robota nie ma być „wdzięczna”. Masz odznakę. Masz broń. Tym wzbudzasz respekt. Sprawdza się też strach.

Zawinał niedojedzoną kanapkę i schował ją do torby, w której dostali dania na wynos.

– Nie znasz powiedzenia, że więcej pszczoł przyciągniesz miodem niż octem?

– Ścigam przestępców, nie pszczoły.

Roześmiał się, uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

– Ach, ty moja Mick.

– Słucham, że co? M o j a Mick?

– Zastanów się. Tworzymy klasyczny zestaw: dobry glina i zły glina. Swobodny czaruś i zasadnicza twardzielka.

– Wypraszam sobie.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Czyżby?

– Dlaczego to ty masz być tym dobrym i uroczym?

– Bo taki jestem.

– Jesteś też cholernie arogancki.

– Chwileczkę, bo się pogubiłem. Nie chcesz być twardzielką?

– To nie tak, że nie lubię być ostrym gliną. Lubię. Wkurza mnie tylko twoja niezachwiana wiara we własny urok.

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wiem, jaki jestem.

– Wkurzający. – Schowała niedojedzoną kanapkę do torby. – No to powiedz, jaki masz plan, Hollywood.

– Znaleźć Tulane Courtyard Lodge.

– Nie o to pytam. Czego szukasz w programie?

– Chodzi ci o Szóstki? Chcę wykorzystywać swoje zdolności do czynienia dobra. Chcę w jakiś sposób zmienić świat.

Tym razem to ona parsknęła śmiechem.

– Oboje wiemy, że to sranie w banię. Nie ma w tobie za grosz altruizmu. Myślisz wyłącznie o sobie i o tym, co możesz zdziałać dzięki urokowi osobistemu.

– A ty, Wściekły Psie? Dlaczego zostałam policjantką?

– Żeby rozwalić parę łbów – odparła równie gładko jak on.

– Mówiłem: twardzielka.

Pokazała na skrzyżowanie.

– Aleja Tulane’a. Skręć w prawo na światłach.

Kilka chwil później znaleźli Tulane Courtyard Lodge, formalnie hotel, a w rzeczywistości sfatygowany motel w nieciekawej okolicy. Zaparkowali i ruszyli w stronę wejścia do budynku.

– Ja będę mówił – odezwał się Zach, zerkając na Micki. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Prosisz o pozwolenie? A niech mnie kule biją!

Gdyby sarkazm był syropem klonowym, Zach ociekałby nim jak naleśnik. Niestety, wszystko wskazywało na to, że nawet mu się to podobało.

– Major Nichols byłby ze mnie dumny, prawda?

– Nieważne. – Otworzyła drzwi i puściła go przodem. – Do dzieła, detektywie!

Recepcja znajdowała się po lewej. Obsługiwał ją młody mężczyzna o niechlujnym wyglądzie.

Zach przykleił uśmiech.

– Siemanko. Jak leci?

– Powooli. – Przesunął po obojgu wzrokiem. – Co tam?

– Detektyw Harris, detektyw Dare. Szukamy jednego z twoich gości.

Dziewczyna nazywa się Angel Gomez.

Chłopak podrapał się po porośniętej kilkudniowym zarostem brodzie.

– Coś przeskrobała?

– Skąd ten pomysł?

– Szukacie jej, nie? – Wzruszył ramionami. – To chyba wystarczy.

– Podobno wynajmuje u ciebie pokój.

– Wynajmowała. Wyprowadziła się.

– Wyprowadziła?

Micki usłyszała zaskoczenie w głosie Zacha. Nie spodziewał się tego. Ona zresztą też nie.

– No. Przyszła, zabrała majdan i zostawiła kasę.

– Zrobiła to osobiście? Widziałeś ją?

– No. – Zmarszczył brwi. – To źle?

– Rozmawialiśmy z jedną z jej przyjaciółek. Była tu i usłyszała co innego. Powiedziała, że nie widziałeś Angel.

– A tak, była jedna laska, gadałem z nią. No, bo wtedy nie widziałem Angel. Przyszła parę godzin później i wyprowadziła się. Mówiłem jej, że kumpela jej szuka.

– Była sama?

– Nikogo z nią nie widziałem.

– Czy zachowywała się... dziwnie? – wtrąciła Micki.

Chłopak przeniósł na nią spojrzenie.

– To zależy, co się rozumie przez „dziwnie”. W końcu mowa o Angel.

– Wydawała się pobudzona albo nieswoja? Albo jakby robiła to pod przymusem?

Zmrużył oczy i zatopił się w myślach.

– Właściwie... – zaczął po chwili – ...to była trochę jakby nerwowa.

Cały czas spoglądała przez ramię. Jakby patrzyła, czy ktoś za nią nie idzie.

Bingo, pomyślała Micki i łypnęła na Zacha. Ten zmarszczył brew.

– Wiesz, dokąd poszła?

– Pojęcia nie mam. Nie pytałem, nie obchodzi mnie to.

– Czy możemy obejrzeć jej pokój?

– Sorry, już go wynająłem.

– Dziękujemy, że poświęciłeś nam czas – powiedziała Micki i podała mu swoją wizytówkę. – Zadzwoń do nas, jeśli Angel się zjawi.

Spojrzał na wizytówkę, a potem na Zacha.

– A ty? Nie masz wizytówki?  
– Jeszcze się nie dorobiłem. Nowy jestem.  
– Detektyw Harris, ta?  
– Zgadza się. Zach. – Podał mu rękę. – Dzięki, stary. Bardzo nam pomogłeś.

Recepcjonista wydawał się zaskoczony wyciągniętą do niego dłonią, ale przyjął ją.

– Spoko. Jeśli się pojawi, na pewno do was przekręcę, detektywie Harris.

Micki zobaczyła, jak palce Zacha oplatają dłoń chłopaka, a potem przeniosła spojrzenie na twarz partnera. Skupiony, całkowicie skoncentrowany. A chłopak? Nie miał pojęcia, że właśnie ktoś mu się dobiera do umysłu.

– Będę wdzięczny – powiedział Zach i puścił jego dłoń.

Kiedy wyszli na zewnątrz, uśmiechnął się od Micki i stwierdził:

– A nie mówiłem, że jestem lubiany?

Przewróciła oczami.

– Po prostu wykorzystałeś swój magnetyzm.

– Tłumacz to sobie, jak chcesz.

Już po raz drugi w ciągu dwóch dni świadek, którego wspólnie przepytawali, był tak zafascynowany Zachem, że zupełnie zignorował Micki – czego Zach nie omieszkał wypomnieć.

– A było inaczej?

Wsiedli do auta.

– Jeżeli przez magnetyzm rozumiesz mój chłopięcy urok, to owszem, wykorzystałem go.

– Drażnisz mnie jak cholera.

Włączył silnik.

– To ten mój magnetyzm.

– Nie – poprawiła go – to cały ty.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Słodka jesteś, kiedy się denerwujesz.

Słodkie to są szczeniaczki. A także małe dziewczynki w koronkach i kokardkach. A nie lubiące gruchotać czaszki policjantki twardejki o przydomku Wściekły Pies. Mimo to z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Postanowiła zmienić temat.

– Mówił prawdę? O Gomez?

– Tak.

Usłyszała w głosie Zacha nutę, której brzmienie jej się nie spodobało.

– Opuść sobie, Hollywood. Dziewczyna żyje i ma się dobrze.

– Powiedział, że oglądała się przez ramię.

– Każdemu się zdarza, prawda?

– Prawda. – Spojrzał na nią i się uśmiechnął. – Już sobie odpuszczam. O, opuściłem.

Tylko skąd to uczucie, że powiedział jedno, a zrobił drugie?

Pewnie stąd, że tak było.

# Rozdział 16

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 14:40

Siedząca po drugiej stronie biurka dziewczyna wyglądała na zaniepokojoną. Nerwowo splatała i rozplatała dłonie, które trzymała na podołku, albo wycierała je o szorty.

Zach spojrzał jej w oczy. Niebrzydka. Dwadzieścia kilka lat. Studentka, sądząc po plecaku. Uśmiechnął się zachęcająco.

– W czym mogę pomóc, pani Camden?

– Chodzi o moją współlokatorkę – zaczęła. – Gwen. Nie wiem, gdzie jest, i... myślę, że coś jej się stało.

– Zaginęła?

– Tak. Chyba...

– Chyba? Nie jest pani pewna?

– To... trochę głupie.

– Śmiało, słucham.

– Nie zjadła tortu urodzinowego.

„Nie zjadła tortu”? Zach powiódł wzrokiem po kolegach i zatrzymał się na J.B. Jeśli to on go wkręca, na pewno patrzy i czeka na moment, kiedy będzie mógł krzyknąć: „Mam cię!”. Ale nie, J.B. nie zwracał na Zacha uwagi, tylko wlepił spojrzenie w ekran monitora.

Zach przeniósł więc uwagę z powrotem na Norę Camden.

– W porządku, Noro, myślę, że powinna pani to rozwinąć.

– No wiem. – Splotła palce obu dłoni. – Nie chodzi wyłącznie o ten tort.

Po prostu do niego wszystko się sprowadza. Bo widzi pan, Gwen ma obsesję ma punkcie czekolady i to, że nie zjadła tortu, jest bardzo – przerwała, bo łyzy zakręciły jej się w oczach – bardzo do niej niepodobne.

– Rozumiem – odparł łagodnym tonem. – Proszę zacząć od początku. Wtedy oboje to sobie jakoś poukładamy. Proszę mi zaufać.

Pokiwała głową i wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze i zaczęła:

– W weekend Gwen miała urodziny. Ale tego samego dnia był ślub mojego brata w Napoleonville, więc nie mogłam z nią zostać. Miałam wyrzuty sumienia nie tylko dlatego, że wyjechałam w jej święto, lecz także przez to, że zerwała z chłopakiem, a ja nawet nie miałam jak jej pocieszyć. Powiedziała, że nie szkodzi, że da sobie radę. W sobotę znajomi mieli zabrać ją do Dzielnicy. Pomyślałam, że potem prześpi całą niedzielę, a w poniedziałek już będę z powrotem.

– W ten poniedziałek? Czyli wczoraj?

– Tak.

– I wróciła pani w poniedziałek?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Po południu. Nie było jej w domu, ale nie zdziwiłam się. Pomyślałam, że pewnie jest na uczelni.

– Której?

– Studiuje sztukę na Uniwersytecie Nowoorleańskim. Wiecznie przesiaduje w studiu i nad czymś pracuje. Kiedy obudziłam się dziś rano, nadal jej nie było. Wtedy zaczęłam lekko panikować.

Kątem oka Zach zauważył, że zjawiała się Micki. Przywołał ją gestem.

– To detektyw Dare, moja partnerka – przedstawił ją. – Nora przyszła w sprawie współlokatorki – zwrócił się do Micki, która przywitała się i przysunęła sobie krzesło. – Mówi pani, że spanikowała, ale tylko lekko. Co to znaczy?

– Pomyślałam, że może pogodziła się z chłopakiem albo przenocowała u znajomych.

– Nie uprzedziłaby o tym?

Pokręciła głową.

– Raczej nie, aż tak bardzo nie pilnujemy się nawzajem. Ale... – oczy

znów zaszkliły jej się łzami – ...zwróciłam uwagę na pewne rzeczy.

– Jakie rzeczy? – zapytała Micki.

– Na przykład na to, że nie zjadła tortu urodzinowego. Nawet go nie tknęła. Kupiłam go w piątek. Jej ulubiony: ekstraczekoladowy. Powiedziała, że zostawi sobie na sobotę i zje kawałek na śniadanie.

– Czy zauważyła pani coś dziwnego po powrocie do domu? Na przykład ślady walki?

– Jeśli już, to mieszkanie wyglądało na... zbyt czyste. – Zatarła dłonie, jakby nagle poczuła chłód. – Wszystko było tak, jak kiedy wyjeżdżałam. A Gwen to bałaganiara.

– Porozmawiajmy o jej chłopaku – zaproponowała Micki. – Kto z kim zerwał?

– On z nią.

– Proszę coś o nim powiedzieć.

– Kreatura i nieudacznik. Nie mam pojęcia, czemu tak za nim szalała.

– Studiuje?

– Aha. Jest barmanem w Cayenne. – Zamilkła na chwilę. – Dowiedziałam się, że wpadła na niego w sobotę wieczorem.

– Jak się pani dowiedziała?

– Dzwoniłam po znajomych. Szukałam Gwen.

– I co się wydarzyło? – spytał łagodnie Zach.

– Gwen była zalana. Uparła się, żeby pójść do Cayenne. Zrobiła scenę. Przylepiła się do jakiegoś gościa i pytała Darrena, jak mu się to podoba.

– Darrena?

– Tak się nazywa jej były. Darren Lacoste.

– Jak zareagował?

– Kazał ją wyrzucić z klubu. W jej urodziny.

– Ostro – mruknął Zach.

– Ale w jego stylu. Darren to kutas. Przepraszam, ale taka jest prawda. Arogancki. Lubi kontrolować. Myśli, że jest wyjątkowy.

– Kiedy pani znajomi widzieli Gwen po raz ostatni?



– Odholowali ją do naszego mieszkania około trzeciej w nocy. Tak jak mówiłam, była totalnie napruta, więc zaprowadzili ją do środka.

– I od tamtej pory z nią nie rozmawiali?

– Nie.

– A czy pani rozmawiała z nią w sobotę albo niedzielę?

Potrząsnęła głową.

– Wysłałam jej esemes z życzeniami i napisałam na jej osi czasu na Facebooku.

– I nie odpowiedziała?

Przeczący ruch głową.

– Nie, ale przypuszczałam, że nie odpowie.

Zach spojrzał na Mick.

– Myślę, że powinniśmy rzucić okiem na mieszkanie.

Micki się zgodziła i niespełna dwadzieścia minut później byli na miejscu. Nora otworzyła drzwi i wpuściła detektywów do środka. Zach zastygł w progu. Ta sama energia, która przylgnęła do dowodu Angel Gomez. Zafalowała i podrażniła mu końcówki nerwów.

Dlaczego tutaj?, pomyślał gorączkowo. Co to miejsce ma wspólnego z Angel Gomez?

– Zach?

Micki patrzyła na niego, marszcząc czoło. Odzyskał równowagę i przegonił chaotyczne myśli. Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Nora Camden odchrząknęła.

– Tu jest salon. A tam kuchnia. – Pokazała na drzwi po lewej. – Mamy dwie sypialnie i dwie łazienki. Do sypialni Gwen wchodzi się prosto z przedpokoju, moja znajduje się dalej.

– Dziękujemy, Noro – powiedziała łagodnie Micki. – Czy kiedy wczoraj wróciła pani do domu, wszystko wyglądało tak jak teraz?

– Mniej więcej.

– Czy możemy się rozejrzeć?

Założyła ręce na piersi.

– Proszę bardzo.

Zaczęli od kuchni. Kilka naczyń w zlewie. W połowie pusty dzbanek do kawy.

– Tort stoi w lodówce.

Zach otworzył lodówkę. Rzeczywiście, na górnej półce stało pudełko z cukierni, a w nim nietknięte ciasto.

– Jej ulubiony – dopowiedziała cicho Nora.

– Proszę się nie martwić – uspokoił ją Zach. – Rozwiążemy tę zagadkę.

Odwrócił się, omiół wzrokiem pomieszczenie i zatrzymał się na leżącej na blacie obok zlewu żółto-białej szczoteczce do zębów.

– Należy do pani?

Camden zrobiła się biała jak ściana.

– Nie, do Gwen.

– Zbladła pani.

– Bo... – zaczęła i od razu przerwała; było widać, że próbuje wziąć się w garść. – Rano Gwen myje zęby w kuchni, nad zlewem. W tym samym czasie parzy sobie kawę. Wieczorem myje zęby w łazience w korytarzu.

– Zawsze tak robi?

– Zawsze.

Czyli ostatni raz Gwen Miller była w mieszkaniu rano. Pytanie: którego dnia?

Zach podszedł do zlewu i sięgnął po szczotczkę, ale zrezygnował ułamek sekundy przed tym, jak jego dłoń weszła w kontakt z przedmiotem – to nie on był źródłem energii. Kuchnia sprawiała pod tym względem neutralne wrażenie, przynajmniej w porównaniu z przedpokojem i salonem. Tutaj nie czuł mrowienia, które odebrał, gdy tylko weszli do mieszkania.

Źródło energii nie dotarło do tego pomieszczenia.

Postanowił sprawdzić tę teorię. Wrócił do salonu i rzeczywiście – powróciło odczucie podrażnionych końcówek nerwów wraz z szumem w głowie.

– Zajrzyjmy do jej sypialni – zaproponowała Micki.

Zach pokiwał głową i ruszył korytarzem za partnerką. Im bliżej sypialni zaginionej, tym głośniejsza i dokuczliwsza stawała się energia.

Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami. Zach nabrał dużo powietrza i wszedł za Micki. W środku zobaczyli bałagan. Kobięce tornado. Wszędzie porzucane ubrania, buty, wszelkiej maści kosmetyki. Niepościelone łóżko.

Za to brak energii. Inaczej niż w korytarzu.

Zmarszczył brwi.

– Co? – spytała Micki.

Potrząsnął głową i wyszedł z pokoju. Naprzeciwko znajdowały się kolejne zamknięte drzwi. Spojrzał na Norę, która została w salonie.

– Co tam jest?

– Łazienka Gwen.

– Wchodziła tam pani od powrotu do domu?

Twarz Nory zrobiła się jeszcze bledsza, biała jak kreda.

– Tylko zajrzałam. Wyglądała jak zawsze. – Popatrzyła na Micki, potem znów na Zacha. – Dlaczego pan pyta?

Zach nie odpowiedział. Czuł mdłości i zawroty głowy. Podeszedł do drzwi. Przeczynał, co za nimi zastanie. Starł się na to przygotować.

Ale to nie takie proste. Energia była żywiołowa. Wściekła. Uderzyła go z siłą stalowej kuli do burzenia budynków. Zachwiał się i chwycił blatu toaletki.

Micki sprawiała wrażenie, jakby niczego nie zauważyła. Wsunęła się przed niego i zamknęła drzwi. Zatrzymała się i gwałtownie nabrała powietrza.

– Cholera, co to ma być?

Zach podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Po wewnętrznej stronie drewnianych drzwi ktoś wyrył krzywą siódmkę.

Energia otoczyła go, zaczęła dusić, odcięła dopływ powietrza. Szarpnął za klamkę, wypadł na korytarz, skoczył do drzwi, wybiegł z mieszkania,

schodami w dół i na ulicę. Dopiero tam z wymiotował do kosza na śmieci.

# Rozdział 17

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 15:55

Micki zaczekała, aż Zach się pozbiera. Był blady i spocony.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Musiałem się czymś przytruć.

– Jasne. – Spojrzała na Norę stojącą w wejściu do budynku. – Czy może pani przynieść detektywowi Harrisowi szklankę wody?

Dziewczyna skinęła głową i poszła na górę.

– Oboje wiemy, że niczym się nie zatrueś – zwróciła się Micki do Zacha. – Co jest grane?

Zawahał się.

– Energia. Silna i zła.

Uświadomiła sobie, że jej partner mówi śmiertelnie poważnie.

– Podobna do tej, która zaprowadziła cię do pokoju Ritchiego?

– Podobna. Ale silniejsza.

Co miała począć z tą wiedzą?

Nora wróciła z butelką wody. Podeszła do Zacha i podała mu ją.

Zach wyciągnął rękę i w chwili gdy ich palce się zetknęły, przeszedł go ledwo dostrzegalny dreszcz. Był tak delikatny, że gdyby Micki nie wiedziała, kim jest Harris, niczego by nie zauważyła.

– Dzięki – powiedział. Wziął łyk, wypłukał usta i wypłuł ich zawartość do śmietnika. Dopiero wtedy się napił.

Zaczęły wracać mu kolory.

– Gotowy? Wracamy? – spytała Micki.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Do roboty.

Zostawili Norę w salonie, sami zaś poszli korytarzem, zakładając rękawiczki.

– Nie powinienem niczego dotykać – powiedział cicho.

– Tak byłoby najlepiej. Mów, co mam robić.

Weszli do łazienki. Zach skrzywił się, ale tym razem nie uciekł. Micki uznała to za dobry znak.

Solidne, drewniane drzwi były równie stare jak dom. Wyglądały na wielokrotnie malowane, ostatnio na cegląstą czerwień.

Siódemka znajdowała się dokładnie pośrodku skrzydła.

Micki pochyliła się i przyjrzała. Narzędzie, którym wryto cyfrę – cisnęło jej się na usta słowo „wyrzeźbiono” – odsłoniło wcześniejsze warstwy kolorowej farby.

Nie, nie wyrzeźbiono, poprawiła się. Rzeźbi artysta, podejmuje przemyślane, kontrolowane działanie, którego rezultatem ma być dzieło sztuki.

Tymczasem tę siódemkę po prostu wryto w drewnie. Zrobiono to w szale, w gorączce, o czym świadczyły postrzępione krawędzie rowków. Na podłodze leżały drzazgi i wióry. A wśród nich – krople krwi. Rozmazane na podłodze i słabo widoczne, bo pomieszane z cegląstymi odpryskami. Częściowy odcisk zakrwawionej dłoni.

Micki porównała go ze swoją. Duży, zatem dłoń prawdopodobnie męska.

Odwróciła się do Zacha. Ten wpatrywał się w drzwi.

– Halo. – Zamachała mu przed oczami. – Dzwon po techników. Musimy to zabezpieczyć.

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Muszę się lepiej przyjrzeć temu potworowi.

Jak gdyby nie chodziło o materiał dowodowy, lecz o sprawcę we własnej osobie.

Ukucnął tak, że miał siódemkę na wysokości oczu. Podniósł prawą rękę i przysunął otwartą dłoń do drzwi.

– Miałeś niczego nie dotykać.

- Chcę czegoś spróbować.
  - Tylko uprzedzam, że pawia będziesz sam sprzątał.
- Przelotny uśmiech.

- Wolałbym tego nie robić. Dlatego będę ostrożny.

Zaczął powoli przesuwać dłonią przed drzwiami, coraz bliżej, aż w końcu zawisła centymetr nad wrytą cyfrą.

Zadrżała i drżenie to rozeszło się po całym ciele Zacha. Atmosfera zrobiła się pełna napięcia, nie w przenośni, ale dosłownie: napięcia elektrycznego. Micki zjeżyły się włoski na rękach.

Potarła przedramiona i poczuła, że kręci jej się w głowie. Otworzyła usta, chcąc zaproponować, żeby Zach lepiej odsunął się od drzwi, kiedy partner nagle poleciał do tyłu i wylądował na tyłku. Był jak osłupiały. Miał tak zabawną minę, że Micki roześmiałyby się, gdyby nie pewność, że wygląda dokładnie tak samo.

- Żyjesz, Hollywood?
- Jasna cholera! – powiedział, kiedy już się pozbierał. – Poczułaś to?
- To zależy. A ty co czułeś?
- Coś jak wylądowanie elektrostatyczne, tyle że na sterydach. – Zgiął palce, jakby chciał pobudzić je do życia.

Miała ochotę powiedzieć mu, że znów gada od rzeczy, ale nie mogła, bo tym razem rzeczywiście poczuła to samo co on. Ponownie rozmasowała rękę.

- Z czym mamy do czynienia?
- Diabli wiedzą.
- A ja wierzę w zajęcia wielkanocnego i Wrózkę Zębuszkę.
- Mówię całkiem poważnie – zarzekł się. – Też się czuję jak w jednym z odcinków *Strefy mroku*.

– Super – mruknęła i ściągnęła rękawiczki. – Ale nadal uważasz, że zniknięcie Miller ma związek z morderstwem Ritchiego?

- Nie powiedziałem tego.
- Mówiłeś, że to ta sama energia...

– Teraz już sam nie wiem.

Coraz lepiej.

– No dobrze, ale biorąc to pod uwagę – pokazała na drzwi – chyba możemy stwierdzić, że pani Miller znalazła się w opałach?

– To na pewno.

– Żyje?

– Nie wiem. – Przeczesał włosy palcami. – A ty jak sądzisz?

– Nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej.

– Z wyjątkiem krwawego odcisku dłoni.

– Nie należy do Miller – powiedziała Micki – tylko do sprawcy. Nie wiem, jak mu się udało wyprowadzić ją stąd bez walki, ale założę się, że opuściła mieszkanie żywa.

– Co dalej?

– Porozmawiamy z sąsiadami. Może ktoś coś widział albo słyszał. Ściągniemy techników. I utniemy sobie kolejną pogawędkę z panią Camden.

Dziewczyna aż podskoczyła, kiedy wyłonili się z łazienki. Zdenerwowana splotła dłonie.

– Jak myślicie, co z nią?

– Chcemy, żeby pani coś zobaczyła.

Zmarszczyła brwi.

– Dobrze.

Micki pokazała jej wewnętrzną stronę drzwi. Nora aż zaniemówiła. Dopiero po chwili udało jej się wykrztusić:

– Co to jest?!

– Nie widziała pani tego wcześniej?

– Nie! – Cofnęła się o krok. Wyglądała na przerażoną. – Miałam rację, prawda? Gwen stało się coś złego.

– Czy wie pani, co to może oznaczać?

Nora potrząsnęła głową, a z jej oczu popłynęły łzy.

– Mój Boże, to się nie dzieje naprawdę. Nie wiem, co robić.

– Na początek proszę wziąć głęboki oddech i postarać się opanować –



powiedziała spokojnie Micki. – Być może to nic takiego.

– Muszę usiąść.

Wróciła do salonu, opadła na kanapę i schowała twarz w dłoniach.

– Muszę zadać pani jeszcze kilka pytań. Czy jest pani na siłach udzielić odpowiedzi? – Nora przytaknęła. – Czy istnieje możliwość, że to, co pani widziała na drzwiach, zrobiła bardzo pijana Gwen w przyływie silnej złości?

– Boże, nie!

– Jest pani pewna?

– Tak.

– Gdzie są torebka i telefon Gwen? Nie widziałam ich, kiedy rozglądaliśmy się po mieszkaniu. Czy trzyma je w takim miejscu, że mogliśmy przeoczyć?

– Przeważnie rzucała torebkę gdzie bądź. – Głos Nory drżał. – Telefon nosiła w torebce albo w kieszeni.

– Czyli najprawdopodobniej jedno i drugie wzięła ze sobą.

– To chyba dobrze, prawda? – spytała dziewczyna z nadzieją w głosie.

Micki potwierdziła.

– Noro, niech się pani dobrze zastanowi. Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Czy cyfra siedem mogła oznaczać dla Gwen coś szczególnego? Cokolwiek?

– Nie – odparła dziewczyna i znów się rozplakała.

– Czy rodzina Gwen mieszka w pobliżu?

– Na Florydzie. – Wytarła nos spodem dłoni. – W północno-zachodniej części stanu.

– Dzwoniła pani do nich?

– Nie, nie chciałam ich martwić. – Nagle usiadła prosto. – Może Gwen jest u nich?

Zdaniem Micki istniała niewielka szansa, że tak właśnie było, ale na wszelki wypadek zgodziła się z Norą.

– Być może. Skontaktujemy się z nimi. Potrzebujemy nazwiska

i numery telefonów, a także dane znajomych, z którymi Gwen spotkała się w sobotę wieczorem. Oraz jej byłego chłopaka.

Nora zerwała się na nogi.

– Już wam wszystko daję. Ale zadzwonicie najpierw do jej rodziców, dobrze?

– Oczywiście – odparła Micki i uśmiechnęła się. – Przy odrobinie szczęścia okaże się, że Gwen pojechała na Florydę, i nie będziemy więcej potrzebni.

# Rozdział 18

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 17:30

– Miller nie ma u rodziców – powiedziała Micki, chowając telefon do kabury. – Zaniepokoił się i jadą tutaj. Cholera!

Siedzieli przy kawiarnianym stoliku stojącym przed lokalem. Zach uniósł brew.

– Naprawdę liczyłaś, że pojechała na Florydę?

– Zawsze jest szansa.

Odsunęła od siebie kanapkę, którą od pewnego czasu tylko skubała.

– Rodziny są do dupy.

Zach dokończył swoją kanapkę, a papier, w który była zapakowana, zmiął w kulkę.

– Dlaczego? W czym problem?

– W emocjach. Rozumiem, dlaczego się martwią, ale nie potrafię jednocześnie pocieszać i robić, co do mnie należy jako policjantka.

– Chcesz powiedzieć, że potrzebują czasu i delikatności?

– Tak.

– A ty jesteś gruboskórna jak nosorożec?

– Mniej więcej.

– Wobec tego ja się nimi zajmę.

– Tak po prostu? – Pstryknęła palcami. – Mógłbyś?

– Pewnie. – Wstał i celnie posłał papierową kulkę do kosza. – Żaden problem.

Popatrzyła na niego i jednocześnie obudziły się w niej dwa sprzeczne uczucia: ulga, że nie będzie musiała zajmować się rodziną Miller, i radosna nadzieja, że Harris poślizgnie się na własnej arogancji.

Z prawdziwą przyjemnością zakomunikuje mu wtedy: „A nie mówiłam?”.

To będzie jednak dobry tydzień, pomyślała.

Uśmiechnęła się i wstała.

– Dziękuję, partnerze. Przekazuję ci ich.

Wyrzuciła niedojedzoną kanapkę do śmieci.

– Najpierw znajomi, z którymi imprezowała Miller. Potem odwiedzimy jej chłopaka. Masz listę?

Nora dostarczyła im wykaz nazwisk wraz z numerami telefonów.

– Nick, Angela, Beth. Całą trójką wynajmują jeden dom.

– Zatem jeden przystanek zamiast trzech – rzuciła, kiedy wsiadali do taurusa.

No tak, pomyślała nieco później, gdy byli już na miejscu. Powinna była wiedzieć, że w pracy policjanta nigdy nie ma tak łatwo. Beth była w pracy, a Angela poszła na zajęcia wieczorowe. Za to Nick siedział w domu i chętnie zgodził się porozmawiać.

Micki założyła, że z trójki współlokatorów dwoje stanowi parę, ale podczas rozmowy z Nickiem szybko stało się jasne, że jego, Beth i Angelę łączą jedynie więzy przyjaźni.

– To okropne – powiedział Nick. – W sobotę bawiliśmy się we czwórkę. Odstawiliśmy Gwen do domu. Nic jej nie było!

– Właśnie dlatego chcieliśmy porozmawiać z panem i pana koleżankami. O ile nam wiadomo, byliście ostatnimi, którzy widzieli ją...

– ...żywą? – wyszeptał, po czym położył prawą dłoń na piersi. – O Boże, o Jezu. Uszczypnijcie mnie.

– Panie Baldwin...

– Proszę mi mówić po imieniu.

– ...nie mamy powodów, by przypuszczać, że Gwen nie żyje.

Rozpłakał się.

– Wybaczcie. Pójdę po chusteczkę. – Wrócił po chwili z całym pudełkiem chusteczek higienicznych. – Przepraszam – przetarł oczy –

postaram się zapanować nad sobą.

Micki lekko zmarszczyła czoło.

– Wydaje się pan... wydajesz się tym bardzo poruszony.

– Bo jestem wrażliwą osobą.

– Nic nie wskazuje na to, że Gwen stała się krzywda.

– Poza tymi okropnymi drzwiami!

– Skąd o nich wiesz?

– Nora przysłała mi zdjęcie. Mój Boże – przyłożył chusteczkę do oczu – kto robi takie rzeczy?

Micki policzyła w myślach do dziesięciu, ale i tak przemyciła w głosie szczyptę irytacji.

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Czy mogę zobaczyć to zdjęcie?

Wyglądał na zaskoczonego, ale posłusznie wyjął telefon i pokazał fotografię: zszpecone drzwi w całej okazałości. Godzina: 16:47.

Gdzie, u diabła, byli technicy, kiedy Camden strzelała fotki jak upiorna turystka?

– Czy wiadomo, komu jeszcze przesłała tę wiadomość?

– Tylko naszej trójce.

– „Tylko” – mruknęła Micki. – Świetnie.

– Nick, być może klucz do zagadki zniknięcia Gwen znajduje się w twoich rękach – wtrącił łagodnym głosem Zach. – Dlatego przyjechaliśmy. I dlatego chciałbym, żebyś wziął się w garść i się skupił. Przypomnij sobie jak najwięcej. Liczy się każdy szczegół. Każdy może zawierać akurat tę wskazówkę, której nam trzeba.

Młody mężczyzna pokiwał głową i rzeczywiście zaczął się opanowywać.

– Od czego mam zacząć?

– Od samego początku. O której się spotkaliście w sobotę?

– Przyjechaliśmy po nią około czternastej. Chcieliśmy spędzić z nią dużo czasu. W końcu miała urodziny.

– Prowadziłeś?

– Za kierownicą siedziała Angela. Zaparkowaliśmy niedaleko mieszkania Gwen i poszliśmy piechotą do Dzielnicy. Zjedliśmy lunch w Café Maspero, potem trochę pokążyliśmy: plac Jacksona, French Market. Weszliśmy do paru sklepów. Było bardzo ładnie, miło nam się spacerowało.

– Czy spotkaliście się z innymi znajomymi?

– Wieczorem, w klubie.

– Nie w ciągu dnia? – Pokręcił głową. – Pamiętasz nazwy sklepów, do których zajrzeliście?

– Byliśmy w kilku. Kupiłem fantastyczny kapelusz w butikiu Rewind, niedaleko French Market.

Micki zanotowała.

– Gdzie jeszcze?

Rzucił paroma nazwami, z których żadnej Micki nie rozpoznała. Należała raczej do klientów JCPenney i Target.

– Opowiedz nam o byłym chłopaku Gwen – poprosił.

– Darren. Obłeśna kreatura. Gwen była zdruzgotana, kiedy z nią zerwał. I to tuż przed jej urodzinami!

– Wpadliście na niego tamtego wieczoru?

– Nieprzypadkowo. To Gwen chciała pójść do Cayenne, a myśmy próbowali ją od tego odwieść.

– Opisz tę sytuację.

– Była porządnie spita. Uznała, że skoro Darren ją rzucił, to ona pokaże, kto bardziej na tym stracił, i zaczęła przystawiać się do jednego gościa.

– Co takiego robiła?

– Kleiła się do niego, celowo robiła to z dużą przesadą.

– Kim był ten „gość”.

– Po prostu jakimś gościem.

– Nie znasz jego imienia? – Nick przecząco pokręcił głową. – Czy Darren się zdenerwował? – kontynuowała Micki.

– No, chyba tak. Wyrzucił całą naszą czwórkę.

– Bardzo się wściekł? – wtrącił Zach. – Na tyle, by móc chcieć się

zemścić? Zastosować przemoc fizyczną?

Nick pomyślał to samo, co oni, i przez chwilę wyraźnie było to widać na jego twarzy. Potem potrząsnął głową.

– Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że aż tak bardzo się nie przejął. On po prostu jest podły.

– W jaki sposób z nią zerwał? – spytała Micki.

– Esemesem.

Zimny jak lód. Albo tchórzliwy.

– Czy Gwen zwróciła na siebie uwagę innych osób w klubie?

– Ba! Wszystkich! Dosłownie przechodziła samą siebie.

– Czy gościa, do którego się „kleiła”, też wyrzucono z lokalu?

– Nie.

Ciekawe.

– Widziałeś go jeszcze tamtego wieczoru?

Odpowiedź przecząca.

– Czy Gwen mówiła, że się z nim widziała po wyjściu z klubu?

– Niczego takiego sobie nie przypominam. Gadała w kółko o Darrenie.

Ohyda.

– No dobrze. Czyli wyrzucili was z Cayenne. Odpuściliście sobie dalsze krążenie? Wróciliście do domu?

– Skąd! Nie mogliśmy tak po prostu spasować. Przecież Gwen obchodziła dwudzieste pierwsze urodziny. Zaliczyliśmy jeszcze parę miejsc, a potem poszliśmy na kawę i ptysie. Zanim odstawiliśmy ją do domu, zdążyła zapomnieć o tym palancie.

Micki wątpiła, czy rzeczywiście Gwen nie myślała o byłym chłopaku, ale nie powiedziała tego głośno. Spytała za to:

– Jak odtransportowaliście ją do domu?

– Łatwo nie było. – Skrzywił się. – Dwa razy się porzygała.

Ile są warte dwudzieste pierwsze urodziny bez pawia puszczonego na czyjeś buty?, przemknęło Micki przez myśl. Ech, dawne czasy.

– Nick, zastanów się dobrze i powiedz: czy tamtego wieczoru Gwen

nawiązała kontakt z kimś jeszcze? Czy jest ktoś, z kim powinniśmy porozmawiać?

– Powiedziałaś im o tej upiornej wróżce?

Odwrócili się i zobaczyli młodą kobietę w fartuchu i wielkich okularach w rogowej oprawce. Postawiła torbę z książkami przy drzwiach i podeszła, wyciągając rękę.

– Angie Brennan. Odwołali mi zajęcia.

Micki wstała, przedstawiła się i przywitała. To samo zrobił Zach.

– Upiorna wróżka?

Angie spojrzała z wyrzutem na Nicka.

– Naprawdę nie powiedziałaś?

– Wydawało mi się, że to bez znaczenia.

– Nie dla Gwen. Mocno się wtedy wystraszyła.

– Proszę opowiedzieć – zachęciła Micki.

Dziewczyna przysunęła sobie wytarty puf i usiadła na nim.

– To była jedna z tych tarocistek, które siedzą na placu Jacksona, wiecie, przed katedrą. Przechodziliśmy i odezwała się do Gwen.

– Po imieniu?

Potrząsnęła głową, machając przy tym końskim ogonem.

– Widocznie Gwen spojrzała w jej stronę. Powiedziała mniej więcej: „Chodź, śliczna, powiem, jaka cię czeka przyszłość”. Nie pamiętam dokładnie, ale to był taki oklepany tekst. Wszyscy się roześmialiśmy.

– Z początku Gwen wcale nie miała ochoty – wtrącił Nick – ale że były jej urodziny, to zaczęliśmy ją namawiać. Nawet zaproponowaliśmy, że zapłacimy za wróżbę.

– Miało być zabawnie – prychnęła Angie. – Bo przecież wróżki zawsze przepowiadają dobre rzeczy. Zawsze, prawda, Nick?

– Prawda – przytaknął. – Pomyśleliśmy, że skoro Darren ją rzucił, to Gwen poczuje się lepiej, kiedy usłyszy, że prawdziwa miłość czeka tuż za rogiem.

– Ale wróżka powiedziała co innego?



– Gdybyśmy wiedzieli, na pewno byśmy nie namawiali Gwen – odparła Angie.

– Wyglądała jak wiedźma, ta wróżka – rzucił Nick. – Od razu zaczęła wyciągać złe karty, wiecie, śmierć, wisielec, miecze...

– Nieźle to wszystko zagadywała, ale było widać, że też nie wie, co jest grane.

– Podobnie jak Gwen.

– No więc postanowiła, że zamiast stawiać tarota, powróży Gwen z ręki. Ujęła jej dłoń...

– Teraz będzie najlepsze.

– ...zrobiła okropną minę i aż odskoczyła. Tyle było z wróżenia.

Zach zmarszczył brwi.

– „Okropną”, czyli jaką?

Nick rozmasował sobie rękę. Wyglądał, jakby było mu niedobrze.

– Jakby dotyk Gwen ją bolał.

– Albo jakby Gwen była wstrętna, odrażająca – dodała Angie. – Nie mogłam uwierzyć, że zrobiła coś takiego. To było podłe!

– A potem – dorzucił Nick – ostrzegła Gwen: „Uważaj – powiedziała. – Twój wróg jest jak ryczący lew. Chodzi i rozgląda się, kogo pożreć”.

– Okrutne, prawda? Byłam strasznie zła. Gwen nie musiała tego słuchać.

– Właśnie – zgodził się Nick. – Bardzo się tym zdenerwowała.

– Cyganka zaczęła pakować swoje rzeczy, składany stolik, krzeselko...

– ...a my, wkurzeni, zażądaliśmy zwrotu pieniędzy...

– ...bo Gwen stała tam i wyglądała jak śmierć na chorągwi. Błagała wróżkę, żeby powiedziała jej, co takiego zobaczyła, co było nie tak.

– I co potem? – spytał Zach.

– Dała mi pieniądze do ręki, spojrzała na Gwen i powiedziała: „Wkrótce spotkasz prawdziwą miłość. On czeka”. Potem załadowała wszystko na wózek i poszła sobie.

Zach zwrócił się do Nicka.

– Nie uznałeś za stosowne nam o tym opowiedzieć?

Nick się zaczerwienił.

– Przecież to była wariatka. Lipna wróżka, która lubi mącić ludziom w głowie... prawda?

– A jeśli nie była szalona?

Zapadła cisza. Micki popatrzyła z niedowierzaniem na Zacha. Następnym razem powinna zabrać ze sobą taśmę, żeby zakleić mu dziób!

– Detektyw Harris ma na myśli to, że w przypadku dochodzenia w sprawie zaginięcia ważna jest każda osoba, która miała kontakt z ofiarą.

– Pamiętacie, jak miała na imię ta wróżka?

– Ja nie. – Angela spojrzała na Nicka. – A ty?

– Nie. Ale Beth na pewno pamięta, bo zagroziła, że zgłosi ją na policję. Mogę wysłać jej esemes z pytaniem.

– Bardzo prosimy.

Wtedy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do domu weszła wysoka dziewczyna z burzą rudych włosów. Kiedy zobaczyła Micki i Zacha, podjechała na drewnianej podłodze i o mało nie wywinęła orła.

– Dzień dobry – odezwała się Micki, pokazując odznakę. – Beth Adams?

– Dziewczyna pokiwała głową. – Detektywi Dare i Harris, policja nowoorleańska.

– Państwo przyszli w sprawie Gwen – wyjaśniła Angela.

– Szukają jej – dodał Nick.

Beth zapaliły się oczy.

– Macie jakieś tropy? A te drzwi? Zastanawiałam się nad siódemką, co to może znaczyć. Zapisałam parę pomysłów. Chwileczkę. – Sięgnęła do torebki i znalazła zmięty paragon. Podała go Zachowi. – Przepraszam, nie miałam nic lepszego.

– Dzięki – odparł, rzucił okiem na listę i przekazał ją Micki. Ta szybko przeczytała: siedem grzechów głównych, siedem cudów świata, siedem dni tygodnia, szczęśliwa siódemka.

– Tylko tyle udało mi się wymyślić – powiedziała Beth. – Na pewno jest tego więcej. Mogłabym sprawdzić w internecie i...

– Nie trzeba. Ale dziękujemy, to świetny punkt wyjścia. – Micki złożyła paragon i wsunęła go do kieszeni. – Nick i Angie właśnie opowiadali nam o zdarzeniu z wróżką na placu Jacksona.

– Wredna baba! To, co zrobiła, było okrutne! Już chciałam na nią donieść, kiedy...

– Zapamiętała pani...

– Beth.

– ...zapamiętałaś, jak się nazywała? – przerwała jej Micki.

Beth nie zwróciła uwagi na nagłą ton policjantki. Pokiwała głową.

– A tak. Brite Knight<sup>[2]</sup>. Zapamiętałam, bo to takie kiczowate nazwisko. Że niby wróżba rzuca światło, rozprasza ciemność i takie tam. Dajcie spokój...

Zach, jak zauważyła Micki, z trudem powstrzymywał śmiech.

– Jesteś pewna?

– Tak, proszę pani.

– Pani detektyw – poprawiła Micki.

– Tak, proszę pani detektyw.

Zach głośno odchrząknął, żeby się nie roześmiać. Micki posłała mu gromiące spojrzenie.

– Czy możesz opisać jej wygląd? – poprosiła.

– Nie muszę – odparła Beth i wyjęła telefon. – Zrobiłam zdjęcie Gwen, zanim Brite Knight – imię wróżki ujęła w cudzysłów, który pokazała palcami – odwaliło.

Angie i Nick też podeszli.

– Nie widać tylko jej oczu, a były dziwne, bardzo dziwne. Jasne, takie... kocie.

– Pomyślałem, że to kolorowe soczewki – powiedział Nick.

– Na pewno – zgodziła się Angie. – Bo niby co?

Micki przypomniała sobie, że to samo pomyślała o Zachu i jego towarzyszu z FBI, kiedy zobaczyła ich po raz pierwszy.

Zerknęła na Zacha. Ciekawe, czy oczy Knight skojarzyły mu się

z własnymi.

– Możesz przesłać mi to zdjęcie? – poprosił Zach. – Razem z pozostałymi, które zrobiłaś tamtego dnia. Mogą okazać się ważne.

– Myśli pan, że na którymś jest porywacz?

– Widzę, że dobrze kombinujesz.

Uśmiechnął się, a Beth o mało nie zemdląła z zachwytu.

– Moim przedmiotem kierunkowym jest prawo karne.

– Wobec tego na pewno zdajesz sobie sprawę – powiedziała Micki – że nawet nie wiemy, czy Gwen rzeczywiście została porwana.

Beth zignorowała komentarz i zatrzepotała rękami do Zacha.

– Jaki ma pan adres? A może mam je panu wysłać na telefon?

Wszyscy doskonale zrozumieli podtekst. Dlatego Micki postanowiła wkroczyć.

– Niestety, detektyw Harris nie ma jeszcze aktywnego konta pocztowego. Proszę, oto mój adres. – Wręczyła całej trójce swoje wizytówki, zostawiając flirtiarę Beth na koniec. Spojrzała jej prosto w oczy.

– A teraz – powiedziała – musimy przepytąć każde z was z osobna.

– Czemu? – spytała wystraszona Angela.

– Żeby sprawdzić, czy tak zapamiętaliście wydarzenia z soboty. Z Nickiem już rozmawialiśmy, więc...

– Nie ma sprawy. Oddaję się w ręce detektywa Harrisa! – zaszcebiotała Beth.

# Rozdział 19

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 19:15

Micki znała setki klubów w Dzielnicy Francuskiej, które wyglądały identycznie jak Cayenne. Co wieczór koncert kapeli grającej covery, piwo z kija, młodzi ludzie szukający przygód miłosnych, turyści chcący się zabawić. Wszyscy nurzali się w zapachu papierosów, zwiertzałego piwa i potu. Bary przy ulicy Bourbon, w tym Cayenne, nie zamykały drzwi, tak że muzyka wylewała się na zewnątrz.

Popatrzyła na Zacha.

– Gotowy?

– To zależy. A jaki masz plan?

– Przepytać Lacoste'a. Aresztować go, jeżeli się przyzna. – Powinien skomentować te słowa uśmiechem, ale nadal był zbyt zielony, by wiedzieć, jak absurdalne było to założenie. Przyzna się? Nie ma takiej opcji. Ucieknie, będzie stawiał opór, zaprzeczy, będzie się wykręcał, będzie kłamał w żywe oczy – to tak.

– Co mam robić? – spytał Zach, kiedy ruszyli w stronę baru.

– Postaraj się nie wywołać zamieszania.

Drgnął mu kącik ust. Czyżby zdołała go rozbawić?

– Czy naprawdę na to zasłużyłem?

– Oddaję się w ręce detektywa Harrisa – zadrwiła. – Wybierz mnie!

Proszę się nie pchać!

– Nie moja wina, że jestem miażdżąco przystojny.

Przewróciła oczami.

– Patrz i ucź się, mój młody padawanie.

Podeszła do baru. Dała znak barmanowi o surowej męskiej urodzie.

– Witam – powiedział mężczyzna, kładąc przed nią podstawkę pod szklanę. – Co podać, piękna?

Z tonu jego głosu wynikało, że dostępne jest wszystko, co w menu, oraz coś ekstra. Tak, pomyślała Micki, to musi być ten obleśny drań, na punkcie którego Miller dostała fioła.

– Mogę sobie zażyczyć wszystkiego? – spytała, obniżając głos do seksownego mruczenia.

– Jasne, kochanie. – Oparł łokcie o blat i pochylił się. – Wszyściuteńkiego.

Miała ochotę puścić pawia. Ale zamiast tego wyjęła odznakę.

– No to życzę sobie informacji, kochasiu.

Wyprostował się tak gwałtownym ruchem, że dostanie bólu pleców.

– Nie to miałem na myśli, mówiąc „wszystko”.

– Jesteś pewien? Bo coś mi się zdaje, że troszku dorabiasz na boku, sprzedając różne... poprawiacze nastroju. Na przykład prochy. Tak, na pewno prochy.

– Nie, nie.

Spojrzeni na nich goście siedzący przy barze. Darren miał zboląłą minę. Micki chwilami uwielbiała swoją pracę.

– Czyli jeśli cię teraz obszukam, nie znajdę przy tobie niczego nielegalnego?

– Absolutnie nie. Jestem czysty.

– Detektyw Dare – powiedziała. – A to mój partner, detektyw Harris. Chcemy ci zadać kilka pytań.

Ulga, jaką poczuł, była widoczna jak na dłoni.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie Gwen Miller.

Uniósł brew.

– Była tu w sobotę wieczorem, prawda?

– I co z tego?

– Miała urodziny. A ty wyrzuciłeś ją z lokalu.

- Straciła panowanie nad sobą. Robiła z siebie idiotkę.
- Byłeś zazdrosny, bo przystawiała się do innego faceta.

Prychnął.

- I co jeszcze?
  - Byłeś zły.
  - Rozdrażniony.
  - Po pracy poszedłeś się z nią zobaczyć.
- Wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Słucham?

– Poszedłeś do jej mieszkania.

– Tak wam powiedziała? – Przeniósł spojrzenie na Zacha. – To kłamstwo.

– No nie wiem. – Micki popatrzyła na Zacha. – A ty jak sądzisz?

– Musisz się bardziej postarać. – Zach zwrócił się do Darrena.

– Zerwałem z nią. – Chłopak pochylił się i ściszył głos. – Nie przejąłbym się, nawet gdyby dała się temu typkowi zerznąć na parkiecie. Ale szef wyrzuciłby mnie na zbity pysk, gdybym na to pozwolił.

Nie odpowiedzieli. Darren potrząsnął głową.

– Głupia cipa. Co wam nagadała? Że ją zgwałciłem? Żalotne. Zamawiajcie albo...

Zach chwycił go za dłoń i przygwoździł do baru.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

Lacoste zamarł. Zdumiona Micki popatrzyła na Zacha. Po czarusiu nie pozostał ślad, obudził się twardy glina. Śmiertelnie poważny twardy glina.

Lacoste zbladł.

- Co chcecie wiedzieć?
- Kiedy widziałeś Gwen po raz ostatni? – zapytał Zach.
- W sobotę wieczorem. Kiedy wywaliłem ją z klubu. Przysięgam.
- A po pracy?
- Wróciłem z kimś do domu. I spędziłem z nią całą noc.
- Z kim? – spytała Micki. – Nazwisko.

– Wszystko przez tę sukę...

– Gwen Miller – poprawiła go Micki. – Jego nastawienie do kobiet pozostawia wiele do życzenia – dodała, kierując te słowa do Zacha.

– Musi się nauczyć szacunku – zgodził się Zach.

Lacoste zaczął się pocić.

– Poszedłem z nią do domu. – Pokazał brodą na barmankę. – Shelley.

Czasem to robimy. Ale to nic nie znaczy.

– Zapewni ci alibi? – spytała Micki.

– Na sto procent.

– Pozwolisz, że sprawdzę – powiedział Zach i puścił Darrena.

Ten powiódł wzrokiem za detektywem, który wstał i podszedł do Shelley. Micki pstryknęła palcami, żeby zwrócić uwagę Lacoste'a.

– Opowiedz mi o tym facecie, do którego Gwen się kleiła.

– Stały bywalec. Zwykła ofiara losu.

Micki wyczuła, że dla Lacoste'a każdy poza nim samym jest ofiarą losu.

– Imię.

– Corey.

– Nazwisko.

– LaFever.

Kątem oka dostrzegła, że Zach rozmawia z barmanką. Usłyszała jej śmiech. No tak, urok zaczął działać.

„Wybierz mnie, wybierz mnie”.

Cholerne czary-mary.

– Masz zamiary na niego?

– Nie znam go aż tak dobrze. Przychodzi prawie codziennie.

Wrócił Zach. Micki zobaczyła, że chowa do kieszeni złożoną serwetkę. Mogła się założyć, że Shelley zdradziła detektywowi swój numer telefonu.

Nie powinno jej to drażnić, a jednak drażniło.

Wyszli z klubu kilka minut później i od razu wsiedli do wozu.

– Jestem z ciebie dumna, Hollywood – powiedziała, kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce. – Niezłe posunięcie z Lacoste'em. Wyrabiasz się.



– Zawsze byłem wyrobiony, tylko nie w tym, co trzeba.

Roześmiała się.

– Czego się dowiedziałeś?

– Shelley potwierdziła, że była z Darrenem. Przecież nie może tak być, cytuję, „żeby przyjaciel spędzał samotnie sobotnią noc”. Gdzie tu romantyzm?

– Skoro o tym mowa, to chyba ci się powiodło.

Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego.

– Z Shelley? O to chodzi?

– Widziałam, jak chowasz serwetkę do kieszeni.

– Chciałem być uprzejmy.

Znów to rozdrażnienie. Odsunęła je od siebie.

– Dotknąłeś Lacoste’a – powiedziała. – Co poczułeś?

– No tak. W jego przypadku – to ci się spodoba – pod powierzchnią nic nie ma. Dostajesz to, co widzisz. I rzeczywiście nie tknął Miller tamtej nocy.

– Niemożliwe! – roześmiała się. – Naprawdę jest aż tak płytki?

– Naprawdę.

– Szkoda, że nie możemy go zapuszkować. Chłopaki spod celi chętnie by się z nim zabawiły.

Zach ziewnął.

– Co teraz?

– Wracamy na komendę. Sprawdzimy tę naszą tajemniczą wróżkę w bazach danych. A nuż coś o niej wiadomo.

– Czy to nie może poczekać do jutra?

– Witaj w świecie tych, co „służą i bronią”, Hollywood. Ubaw, co nie?

# Rozdział 20

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 20:00

Okazało się, że Brite Knight była znana policji. Miała na koncie kilka zatrzymań za drobne wykroczenia: zakłócanie porządku, kradzieże w sklepie, kieszonkostwo. Niektórzy skarżyli się na jej wróżbiarską działalność.

W systemie figurował również jej ostatni znany adres.

– Mamy ją – powiedział Zach i sięgnął po kluczyki do auta.

– O nie! – Micki zerwała się na równe nogi. – Pojedziemy moim. Mam już dość tego twojego rżęcha.

– Prezent od Biura.

– Mogli się bardziej postarać.

Zabrał kurtkę.

– Pełna zgoda.

Wyszli z budynku, mijając kilku mundurowych, którzy prowadzili zgarnięte z ulicy dziewczyny. Micki zaprowadziła Zacha na parking z boku budynku i zaprezentowała mu swojego chevroleta.

Zagwizdał.

– Ale fura.

– Ma swoją historię. – Usiadła za kierownicą i odblokowała Zachowi drzwi. – Może któregoś dnia ci opowiem.

– Nie mogę się doczekać. – Spojrzała na niego, unosząc brew. Uśmiechnął się w odpowiedzi. – Mówię poważnie.

– Lepiej zapnij pas. Średni ze mnie kierowca.

Nieprawda. Prowadziła wprawdzie brawurowo: jechała slalomem między wolniejszymi autami, ruszała z piskiem spod świateł i hamowała

w miejscu, ale w sumie z pewnością.

– Ile pali na setkę?

– Zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak jeżdżę. – Roześmiała się i wcisnęła gaz do dechy. – W tej chwili jakieś czterdzieści litrów.

Weszła w zakręt tak ostro, że Zach musiał złapać za uchwyt.

– To może następnym razem ja poprowadzę.

– Nie ma sprawy, jeśli dorzucisz się na benzynę. – Łypnęła na niego. –

Czym jeździłeś? W prawdziwym życiu.

Prawdziwe życie. Tak jakby to obecne było jedynie kaprysem. Oderwaniem się od codzienności.

A czy nie jest?, zadał sobie pytanie.

– Bmw.

– Pewnie kabrioletem – domyśliła się. – Niespełna rocznym. Strzelam, że srebrnym. Serii 3.

– A mówią, że to ja mam wyjątkowe zdolności – skwitował lekkim tonem i ponownie złapał za uchwyt, kiedy Micki bezbłędnie wykonała manewr zawracania i zatrzymała się przed zapuszczonym bliźniakiem w amfiladzie.

– Jesteśmy na miejscu.

Zach odetchnął z ulgą.

– Kto cię nauczył tak prowadzić?

– To już, Hollywood, zupełnie inna historia.

Prychnął.

– Kolejna. Zbierze się tego cała książka.

– To wtedy sobie poczytasz. Do rzeczy. Knight zajmuje ten po lewej.

Zach przyjrzał się budynkowi. Z pojedynczego okna od frontu sączyło się światło.

– Wydaje mi się, że nikogo nie ma w domu.

– Przekonajmy się.

Wysiedli z wozu i podeszli do budynku. Zapadający się ganek. Schody, po których strach wejść. Znak „X” napisany sprayem na drzwiach wejściowych.

Zach przypomniał sobie, że takie same znaki widział w filmie dokumentalnym o Katrinie. Służby ratunkowe zostawiały je w miejscach, które już przeszukały.

– Ta okolica ucierpiała w czasie ataku Katriny – potwierdziła Micki i głośno zapukała do drzwi. – Pani Knight! – zawołała. – Proszę otworzyć. Policja nowoorleańska.

Cisza. W środku nikt ani nic się nie poruszyło.

– Brite Knight! – powtórzyła. – Otwierać, policja!

Nadal nic.

– Co teraz? – spytał Zach.

– Zaczekamy.

– W porządku.

Wrócili do samochodu. Micki zaparkowała po drugiej stronie ulicy – wybrała miejsce dyskretne, ale za to z dobrym widokiem. I z daleka trudno było się zorientować, czy ktoś siedzi w aucie.

Zach wskazał sklep na rogu.

– Skoczę po jakąś przegryzkę. Przynieść ci coś?

– Coś gazowanego do picia.

– Poważnie?

– No co? Lubię proste przyjemności. I coś słonego do pochrupania.

Pokręcił głową i wysiadł.

Sklep był typowym osiedlowym spożywcziakiem. Wyglądał jak żywcem wyjęty z planu filmu o dawnym Południu Stanów – na półkach towarowe pomieszanie z poplątaniem: jedzenie w puszkach i przekąski, pieluchy, baterie i gotowane orzeszki ziemne. Lodówka z napojami gazowanymi, wodą i czekoladowym koktajlem o nazwie Ju-hu! Do tego staroświecki zamrażalnik z lodami na patyku.

Kobieta za ladą przyjrzała się Zachowi podejrzliwie. Przywitał się z nią

skinieniem głowy i podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na ulicę. Widział stąd chevroleta i Micki za kierownicą.

Wyjął telefon i wybrał numer Parkera.

– To ja – powiedział, kiedy agent odebrał. – Gdzie jesteś?

– W Waszyngtonie. Wracam w sobotę.

– Mam coś nowego. Ta nieprzyjazna energia, o której rozmawialiśmy, znów się pojawiła – powiedział Zach i wyczuł rosnące zainteresowanie Parkera. – I nieźle mną rąbnęła – dodał.

– Gdzie?

– W mieszkaniu zaginionej studentki. Źródło tej energii... zostawiło ciekawy trop: siódemkę wyrytą na drzwiach łazienki.

Parker zamilkł na dłuższą chwilę. Nie odzywał się tak długo, że Zach pomyślał, że przerwało połączenie.

– Parker, jesteś tam?

– Muszę kończyć. Złóż mi pełny raport, i to jak najszybciej – rzucił i rozłączył się. Typowe. Szkoda czasu na uprzejmości. Zach schował aparat i wyjrzał przez okno. Micki nadal siedziała za kółkiem, nic się nie zmieniło.

Sięgnął po koszyk i wszedł między regały. Wziął chipsy, ciasteczka, cokolwiek wpadło mu w oko, dorzucił lody dla siebie i napój gazowany dla Micki. Poszedł z tym wszystkim do kasy. Kobieta uniosła brew i skomentowała:

– Niedobór kalorii?

Roześmiał się.

– Po prostu lubię różnorodność.

Kobieta była wysoka i chuda, miała pomarszczoną twarz od częstego przebywania na słońcu oraz życzliwe spojrzenie. Przez chwilę wpatrywała się w Zacha, a potem zaczęła skanować produkty.

– Pan tu nowy? Nie widziałam pana wcześniej.

– Tak, pierwszy raz w tej okolicy.

– U, tajemniczo.

– Pracuję w policji.

– Ach, to wszystko wyjaśnia.

Uśmiechnął się i zerknął na plakietkę z imieniem.

– Podobasz mi się... Millie. Nazywam się Harris, detektyw Harris.

Możesz mi mówić Zach.

Drgnęły jej kąciki ust.

– W porządku, Zach. Należy się dwadzieścia sześć dolarów i dwanaście centów.

Wyjął portfel i wręczył jej banknoty.

– Znasz wróżkę o nazwisku Brite Knight?

Pokiwała głową i wydała resztę.

– Dziwna babka. Raz przyłapałam ją na kradzieży w sklepie.

– Wezwałaś policję?

– Nie-e. – Zapakowała zakupy do dwóch brązowych papierowych toreb.

– Szkoda mi się jej zrobiło. To było zaraz po Katrinie, turyści jeszcze nie wrócili. Biedowała, więc machnęłam ręką.

Nie pomylił się co do życzliwości w jej spojrzeniu.

Wziął torby.

– Miło było cię poznać.

– Uważaj na siebie, Zach! – zawołała, kiedy był już przy drzwiach. – To niebezpieczna dzielnica.

– Dzięki, Millie. Ty też.

Kiedy wrócił do auta, Micki przywitała go słowami:

– Trochę cię nie było – i otworzyła mu drzwi po stronie pasażera.

Podał jej torbę pełną zakupów.

– Twój napój jest gdzieś na dnie. Lody są dla mnie.

Zaczęła wyjmować sprawunki.

– Jak długo według ciebie będziemy tu siedzieli? Tydzień?

– Zapasów nigdy dość.

– Suszona wołowina? – spytała z niedowierzaniem, podnosząc paczkę. – Serio?

– Mówiłaś, że lubisz proste przyjemności.

Przewróciła oczami i schowała opakowanie do torby.

– Zaprzyjaźniłem się z ekspedientką. Ma na imię Millie. Zna Knight.

– Hollywood! Obserwujemy dom. To, rozumiesz, tajna operacja. Wiesz, chodzi o element zaskoczenia – powiedziała Micki, bardzo wolno, jakby rozmawiała z kimś wyjątkowo ciężko kojarzącym. – Niewykluczone, że w tej chwili ta cała Millie dzwoni do Knight.

Otworzył paczuszkę pistacji.

– Nie dzwoni.

Micki jęknęła i otworzyła puszkę napoju.

– Cholerne brednie. Zwariuję przez to.

– Nie było tak, jak myślisz. – Rozgryzł orzeszek. – Opowiedz mi o swojej rodzinie.

– Nie.

– Masz rodzeństwo?

– Nie rozumiesz, co znaczy „nie”?

– Rodzice żyją?

Pochyliła się i zabrała mu pistacje.

– Działasz mi na nerwy.

– Często ich odwiedzasz?

– Ożeż kurwa, Hollywood! Nie drażnij mnie!

– Właśnie, o r z e s z k u , oddawaj! – Odebrał jej pistacje... ale nie odpuściła i wyrwała mu opakowanie.

– Ale jesteś upierdliwa. I przewrażliwiona.

– Wiem. – Przeniosła spojrzenie na dom wróżki. – Taka już jestem.

Urodziłam się z pretensją do świata.

– Jakoś ci nie wierzę.

– Nie potrafisz zaufać?

Oboje wiedzieli, że pasowało to bardziej do niej niż do niego. Przecież sam jej to powiedział.

Milczała dłuższą chwilę, wpatrując się w budynek. Kiedy w końcu się odezwała, głos jej drżał z emocji.

– Ty nie masz problemu z zaufaniem, bo czemu miałbyś mieć? Dla ciebie to łatwizna: spoglądasz człowiekowi w oczy, bierzesz go za rękę i już – wszystko o nim wiesz. Dla niektórych z nas jest to trochę bardziej skomplikowane.

Dostrzegł ból, dużo bólu, w jej oczach.

– Masz rację, Mick.

Odchyliła się na fotelu i ponownie przeniosła spojrzenie na dom Brite Knight.

– Chcę cię o coś spytać, Hollywood.

– Śmiało.

– Kiedy odkryłeś swój dar?

– Zanim potrafiłem zrozumieć, że różnię się od pozostałych ludzi.

– Rodzice tego nie mają, nikt inny w rodzinie też?

– Zostałem adoptowany. Nie znam moich biologicznych rodziców.

– Cholera, przepraszam. Zapomniałam.

– Nie masz za co. Mam świetnych rodziców, którzy zapewnili mi wszystko, czego potrzebowałem.

– Jak myślisz, skąd się to wzięło? Chodzi mi o twoje zdolności. Na pewno zastanawiałeś się nad tym.

Pytanie trafiło prawie w punkt, na tyle blisko, że odpowiedź wyszła Zachowi ostrzej, niżby chciał.

– Oczywiście, że tak. Większość adoptowanych dzieci zastanawia się, po kim odziedziczyło wzrost albo kolor włosów. A ja zachodzę w głowę, skąd we mnie gen dziwoląga.

– Dziwoląga? Tak o sobie myślisz?

Nie miał ochoty zapuszczać się na ten teren, wykorzystał więc wymówkę, którą wcześniej wykreśliła się Micki.

– To zupełnie inna historia – powiedział. – Może kiedyś ci ją opowiem.

– Nie mogę się doczekać, Hollywood – odparła.

Uśmiechnął się, bo nagle zdał sobie sprawę, że chyba polubił swoją partnerkę. Mimo że była przewrażliwiona.



Przez kilka minut siedzieli w milczeniu i jedli: Zach – pistacje, Micki – wszystkiego po trochu: a to chipsy, a to wołowinę, a to ciastka. Miał ochotę onaśmiewać się z niej, ale uznał, że na razie wystarczy tego nadeptywania na odcisk.

Zerknął w stronę sklepu.

– Zapomniałem kupić wodę.

Micki otworzyła opakowanie serowych krakersów.

– Dwie torby zapychającego żarła, a zapomniałeś o popitce?

– Jak na ironię, co?

– Chcesz ode mnie? – podsunęła mu puszkę.

– Obróćę na jednej nodze – odparł, kładąc dłoń na klamce. – Chcesz coś jeszcze?

Pokazała na stos opakowań po przekąskach.

– Pytasz poważnie?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Racja. Zaraz wracam.

W chwili gdy Zach zbliżał się do drzwi sklepu, ze środka wybiegł chłopak w bluzie z kapturem i wpadł na niego, prawie go przewracając. W głowie Zacha uformował się obraz. Strach. Ból. Zburzony spokój.

Millie kuliła się za ladą i trzymała za zakrwawiony bok. Spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich przerażenie. Ból wykrzywił jej twarz. Pokazała brodą na napastnika i powiedziała bezgłośnie: „Goń”.

Zach łypnął na Micki i zobaczył, że partnerka wpatruje się w dom Knight. Podjął decyzję. Dał Millie znak głową i ruszył za sprawcą, sięgając po telefon. Wybrał numer Micki.

– No już, Mick, popatrz na mnie – mruknął, a kiedy odebrała, rzucił do słuchawki: – Ktoś napadł na sklep!

– Gdzie jesteś?

– Gonię go.

– O nie! Zostań tam, gdzie...

– Dzwon po karetkę. Millie dostała kulkę.

- Słucham?! Zaczekaj! Zostań z nią, to mój...
- Idź do Millie – powiedział. – Ja się tym zajmę.

# Rozdział 21

WTOREK, 9 LIPCA

GODZINA 21:45

Micki zobaczyła Zacha dwie przecznice dalej. Sprawcę kilkadziesiąt metrów przed nim. Ciemna bluza, szybko się poruszał. Wyglądał jak członek gangu. To oznaczało, że mógł nie działać sam. Tacy jak on rzadko napadają w pojedynkę.

Cholera, Zach nie nadawał się do takich rzeczy. Ani trochę się nie nadawał.

Micki rzuciła cały przekąskowy szwedzki stół na podłogę – skrzywiła się na myśl o bałaganie, który właśnie narobiła w swoim wozie – i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zaryczał. Wrzuciła bieg i ruszyła.

Przez radio wezwała wsparcie i karetkę, a potem zastanowiła się, co robić. Nie chciała wystraszyć sprawcy i pogorszyć sytuacji swoją obecnością. Ale też nie miała pojęcia, co zrobi Zach. Gość był całkowicie nieobliczalny.

Chłopak nagle się zatrzymał i odwrócił w stronę Zacha, sięgając do kieszeni bluzy. Micki skoczył puls, zanim jednak zdołała zareagować, nie wiadomo skąd pojawił się podrasowany ford mustang cobra. Auto zwolniło, otworzyły się drzwi i napastnik zanurkował do środka.

Zatem gang. Niestety, miała rację.

Zach coś krzyknął, ale to była jego jedyna reakcja. Nawet nie wyciągnął broni.

Przyciemniana szyba w tylnych drzwiach mustanga opuściła się. Micki zauważyła kształt pistoletu. Nie miała wyjścia.

Tylko nie chevrolet. Tylko nie jej maleństwo.

Cholera. W dupę mać. Kur...

– Przepraszam, Hank – mruknęła, wcisnęła pedał gazu do oporu i pomknęła prosto na mustanga.

Ułamek sekundy przed uderzeniem szarpnęła kierownicą w lewo. Auto zrobiło piruet i trafiło tylną częścią w forda.

Pas bezpieczeństwa wbił się Micki w pierś, pozbawiając tchu. Głowa poleciała jej do przodu, by po chwili odbić się od zagłówka. Kiedy samochód się zatrzymał, Micki odpięła pas, sięgnęła po broń, wysiadła... i zobaczyła, że Zach, z głupkowatym uśmiechem na ustach, stoi nad zaobrączkowanym sprawcą, trzymając go na muszce.

\*\*\*

– Nic mi nie jest – warknęła Micki do lekarza pogotowia. – Wypuście mnie.

– Zna pani przepisy, pani detektyw. Nigdzie pani nie pójdzie bez mojej oficjalnej zgody.

– No to dajże ją pan! – prawie wrzasnęła. – Mam robotę.

Opryskliwość policjantki nie robiła na lekarzu wrażenia.

– Zdaje się, że to właśnie robota tu panią przywiodła.

– Do czego pan zmierza?

– Im dłużej będzie pani narzekała, tym dłużej będzie to trwało.

Micki chciała coś odszczeknąć, ale ugryzła się w język i zaczęła posłusznie spełniać polecenia lekarza, który ją badał.

– Co z nią?

Harris. Jej najgorszy koszmar. Zgromiła go wzrokiem.

– Ty.

– Poza tym, że jest opryskliwa i zachowuje się nedorzecznie – odparł pogodnym tonem lekarz – śpieszę donieść, że wszystko z nią w porządku.

– Halo, ja też tu jestem – warknęła.

– Tak, widzę. Przez kilka dni będzie się pani czuła obolała. Stłuczony mostek i...

– Mogę już iść?

– ...i lekki uraz szyi. Proszę się obserwować i nie przeciążać.

Zach się roześmiał, ale posłała mu spojrzenie, które mogło zabić.

– Przepiszę pani coś przeciwbólowego...

– Szkoda fatygi – rzuciła. – I tak nie wezmę.

– Wobec tego w razie potrzeby proszę zażywać ibuprofen co cztery godziny. Jeśli nie pomoże, proszę...

– Pomoże.

Lekarz zwrócił się do Zacha:

– Proszę z nią zostać. Pójdę po wypis.

Kiedy wyszedł, Micki usiadła na łóżku i wbiła spojrzenie w ścianę.

– Przykro mi z powodu samochodu – odezwał się Zach.

– Nie chcę o tym gadać.

– Jednak powinniśmy byli pojechać moim, co?

– Zamknij się, Harris.

– Wynagrodzę ci to.

– Mówiłam: nie chce mi się o tym gadać.

– Wiem, że jesteś wnerwiona. Myślę, że powinnaś to z siebie wyrzucić.

Wal, przyjmę wszystko.

Miał rację: w środku buzowała. Gdyby nie czuła się, jakby ktoś potraktował ją niczym worek treningowy, skopałaby Harrisowi tyłek, złołaby bez litości.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Zdajesz sobie sprawę, że moje auto to trup, prawda?

– Bez przesady, że trup. Zostało tylko ranne w akcji.

– Zawsze wyjmuje się broń, Hollywood, zawsze. Kiedy stajesz oko w oko z przestępcą, musisz być przygotowany na wojnę.

– Tak jest, proszę pani.

Zacisnęła pięści.

– Jak to zrobiłeś?

– Co takiego?

– Jak powaliłeś tego dzieciaka na ziemię i skułeś go, nie obrywając przy tym kulki?

Uśmiechnął się po swojemu: rozbrajająco, przymilnie. Palant.

– Kiedy w nich walnęłaś, drzwi się otworzyły i chłopak wyleciał na chodnik twarzą do ziemi.

Micki popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jesteś najfartowniejszym sukinsynem, jakiego miałam nieprzyjemność poznać.

– Chyba raczej to on miał szczęście. Mógł przecież zginąć.

– Tak samo jak ty. Masz tylko jedno życie, a nie dziewięć. Zapamiętaj to sobie.

– Tak jest, proszę pani.

– Przestań.

– Co?

– Z tym „tak jest, proszę pani”. Jakbym była twoją nauczycielką albo, nie wiem, matką. – Zach uniósł brew i bąknął obietnicę, że więcej nie będzie. – Co z kumplami naszego sprawcy?

– Rozbiegli się jak karaluchy. Dałem to Lamarowi do przemyślenia.

– Lamarowi?

– Sprawcy. Ma dopiero piętnaście lat, wiesz? Biedny dzieciak.

Auto rozbite, ona potłuczona, a temu żal chłopaka, przez którego to się stało.

– Dopuszczył się napadu z bronią w ręku i postrzelił ekspedientkę – przypomniała Zachowi.

– Rana jest powierzchowna. Lamar nie chciał zrobić jej krzywdy. Wszystko mi opowiedział.

Micki zakryła twarz dłońmi i skrzywiła się z bólu, jaki wywołał nagły ruch.

– Jechałem z nim karetką – ciągnął Zach. – Namówili go, a właściwie zmusili, gangsterzy. Nie miał wyboru. Dzisiejszy napad miał być dla niego jak inicjacja. Chcieli, żeby obrabował sklep i zabił ewentualnych świadków. Ale Lamar nie był w stanie tego zrobić. W karetce rozplakał się jak dziecko.

Opuściła dłonie.

– A ty uwierzyłeś w te brednie?  
– Mówił prawdę. Przeczytałem go.  
– Nigdy cię nie zawodzi to twoje „czytanie”?  
– Jeszcze się nie zdarzyło. – Zamilkł i dodał po chwili: – Ponownie uratowałaś mi tyłek. Dziękuję, partnerze.

A on – znowu! – wyszedł na bohatera. I wyszedł bez szwanku.

Chłopaki z Ósemki będą mieć używanie.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

– Nienawidzę cię, Hollywood.

Najpierw zrobił zaskoczoną minę, a potem się roześmiał.

– Ejże, Mick. Mam w sobie tyle uroku, że nie można mnie nienawidzić.

Rzeczywiście, uświadomiła sobie Micki. Był uroczy i w głębi duszy wcale go nie nienawidziła. Ale pracowała nad tym.

Każdy powinien mieć w życiu jakiś cel.

# Rozdział 22

ŚRODA, 10 LIPCA  
GODZINA 9:50

Zach siedział na stojącej przy placu Jackson ławce z kutego żelaza. Po ulicy St. Peter powoli sunęły samochody, na mruczenie ich silników od czasu do czasu nakładał się stukot kopyt koni ciągnących powozy z turystami.

Zach przesunął wzrokiem po placu i zobaczył charakterystyczny posąg Andrew Jacksona, iglicę wieży katedry św. Ludwika, artystów, jasnowidzów i innych handlarzy własnymi umiejętnościami. Oczekiwanie przed domem Brite Knight poprzedniego wieczoru nie dało spodziewanych rezultatów, dlatego Mick i Zach postanowili zapolować na wróżkę tam, gdzie zarabiała na życie.

Micki się spóźniała. Zerknął na ekran komórki. Nie zadzwoniła, nie przysłała wiadomości. Spóźnienie nie było w jej stylu.

Rano prawie ze sobą nie rozmawiali. Zach bynajmniej nie potępiał jej za to, że się gniewała i miała powyżej uszu jego błazeństw. Tylko że przecież wszystko skończyło się dobrze.

Jeśli nie liczyć auta. I siniaków. I żartów, które padały z ust J.B., Bustera i im podobnych.

Owszem, Zach zasłużył sobie na to, żeby pozbyć się go jak starego nawyku. Zrobiłaby to, gdyby mogła – ale miała rozkazy.

Rozkazy zaś – oraz rolę złego gliny – Mick „Wściekły Pies” Dare traktowała bardzo poważnie. Zach uśmiechnął się pod nosem. Podobała mu się. Nawet jako diabełek z rogami – takie są najbardziej ujmujące.

Zadzwonił telefon. Spojrzał – Parker, nie Mick.

– Witaj – rzucił do słuchawki. – Co się urodziło?

– Słyszałem, że wczoraj wieczorem miałeś pod dostatkiem atrakcji.



- Wieści szybko się rozchodzą.
- Dobra robota.
- Dzięki. Miałem asystę.
- O tym też słyszałem. – Parker sprawiał wrażenie rozbawionego. –

Wszyscy są zadowoleni z tego, jak rozwija się program.

Zach pomyślał o chevrolecie Micki. Nie wszyscy...

- Dowiedziałeś się czegoś o wróżce, o której ci opowiadałem?
- Nie jest jedną z naszych.
- Naszych? – powtórzył Zach. – Co masz na myśli?
- Nie jest związana z Biurem.
- Kto jest z tobą?
- Wołają mnie na spotkanie. Muszę kończyć.
- Parker, zaczekaj. Kto...

Nie dokończył pytania, bo Parker się rozłączył. Zach zmarszczył czoło.

Niezwiązana z Biurem. Nie Szóstka. Dziwne.

- Skąd ta mina?

Podniósł głowę, zobaczył Micki i się uśmiechnął.

- Martwiłem się, że uznałaś, że nie jestem wart zachodu.
- Bo nie jesteś. Ale rozkaz to rozkaz.
- Uczciwie stawiasz sprawę. – Wstał i razem ruszyli w stronę placu. –

Jak się dziś czujesz?

- Obolała.
- Tak się zastanawiałem...
- Boże, zlituj się!
- ...że jeśli Brite Knight rzeczywiście ma pewne zdolności...
- Czyli jest jasnowidzem.

– ...to wyczuje naszą obecność i ulotni się, zanim zdążymy ją namierzyć.

- Poważnie?
- Tak. Niektórzy jasnowidze to potrafią.
- A ty?

– Nie.

– Szkoda. Co zatem proponujesz?

– Rozdzielmy się – powiedział. – Domyślam się, że tutejsi handlarze mają swoje miejscówki. Współlokatorka Miller twierdzi, że Knight rozstawiła stolik przed katedrą. Pójdiesz w prawo, a ja w lewo. Sądzę, że dzięki temu łatwiej unikniemy wykrycia.

Patrzyła na niego zagadkowym wzrokiem.

– No co?

– Czy mi się wydaje, czy zaczynasz myśleć jak gliniarz?

– Spokojna twoja rozczochrana – odparł z szerokim uśmiechem na twarzy. – To nadal ja: stary dobry Hollywood.

Rozdzielili się. Zach zaczął okrażać plac od lewej strony, a Micki od prawej. Jako miejsce spotkania wyznaczyli wejście do katedry. Zach przyglądał się twarzom mijanych artystów, wróżek, jasnowidzów i mimów.

Na placu panował spory ruch i prawie nikt – nie licząc kilku osób, które spojrzały w jego stronę, popatrzyły mu w oczy i skinęły głową, tak jakby chciały dać do zrozumienia, że łączy ich wspólny sekret, aż Zach poczuł ciarki na plecach – nie zwracał na niego uwagi.

Szedł i rozglądał się. Nagle ją zobaczył. Siedziała dokładnie tam, gdzie według relacji znajomych Gwen rozstawiła kram w sobotni wieczór.

W tej samej chwili ona również go ujrzała, wyczuła tak jak inni sprzedawcy, i odwróciła głowę w jego stronę. Popatrzyła prosto w oczy.

Tak mu się przynajmniej zdawało. Nie mógł być pewien, ponieważ miała na nosie wielkie ciemne okulary.

Kiedy ruszył w jej stronę, wstała i zaczęła szybko zbierać swoje rzeczy. Zanim jednak zdążyła odejść od stolika, dopadła ją Micki.

Błysnęła odznaką, a Zach pochwalił się w myślach za to, że chyba faktycznie zaczyna myśleć jak policjant.

– To mój partner, detektyw Harris – powiedziała Micki, kiedy Zach zjawił się u jej boku. – Chcemy zadać pani kilka pytań.

– Na tym, moja droga, polega moja praca. Na odpowiadaniu na pytania.

Usiądź. – Wskazała dłonią składane krzeselko. – Zobaczymy, co karty mają o tobie do powiedzenia.

Wyjęła talię tarota z niewielkiego aksamitnego woreczka i z wprawą zaczęła tasować. Zach zauważył, że wróżka nosi koronkowe rękawiczki.

Ciemne okulary, rękawiczki – elementy image'u czy środki ostrożności? Postawił na to drugie.

– Szukamy młodej kobiety. Nazywa się Gwen Miller. – Micki pokazała zdjęcie.

Kobieta przełożyła karty.

– Nie widziałam jej.

– Proszę się lepiej przyjrzeć.

Wróżka ponownie rzuciła okiem.

– Przykro mi, moja droga. To co, postawić ci tarota?

– Niech pani zdejmie okulary – odezwał się Zach.

– To nic nie da. Mówię, że jej nie widziałam.

– Dziwne – powiedziała Micki. – Mamy troje świadków, którzy twierdzą, że w sobotę postawiła pani tarota tej właśnie dziewczynie. Miała wtedy urodziny.

– Widocznie wasi świadkowie z kimś mnie pomylili.

Micki wyjęła telefon, znalazła zdjęcie Brite Knight z Gwen i pokazała je wróżce.

– Raczej nie.

Kobieta przyjrzała się zdjęciu, po czym wzruszyła ramionami.

– Może i postawiłam jej karty. I co z tego?

– Dlaczego pani skłamała?

– Przychodzi do mnie mnóstwo ludzi. Mylą mi się.

– Nie chce mi się wierzyć.

– Proszę sobie wierzyć, w co pani zechce, moja droga.

– Co jej pani powiedziała?

– To samo, co wszystkim, czyli to, co chciała usłyszeć.

– Nie tym razem – wtrącił Zach. – Po spotkaniu z panią była bardzo

wzburzona.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Ależ oczywiście, że pani wie.

– Jej przyjaciele opisali panią jako wariatkę – przejęła wątek Micki. – Podobno, jak się wyrazili, „odrzuciło” panią od niej. Musiała ją pani zapamiętać.

Wróżka przestała przekładać karty.

– Ona, ta cała Gwen Miller, była jedną z setki osób, które codziennie przyciągam do stoiska. Mylą mi się – powtórzyła.

– Gwen Miller zaginęła – powiedział Zach.

– Nic o tym nie wiem.

– Oczywiście, że nie – skomentował z sarkazmem. – Proszę zdjąć okulary.

– Dlaczego?

– Dlaczego nie? Ma pani coś do ukrycia?

Zsunęła okulary z nosa i popatrzyła wyzywająco na oboje detektywów. Znajomi Miller twierdzili, że miała osobliwe oczy. Te, które ujrzeli Micki i Zach, miały ciemnobrązowy kolor i nie było w nich nic nadzwyczajnego.

– Nosi pani kolorowe szkła kontaktowe, pani Knight? – spytała Mick.

– Czasem. Bo co?

– Czy w tej chwili też?

– A jeśli tak?

Zach pochylił się i odezwał:

– Naprawdę ma pani dar, prawda? Jest pani wyjątkowa. Proszę nam o tym opowiedzieć.

Prychnęła.

– Macie bardziej nie po kolei w głowie niż ja. Nie jestem wyjątkowa, detektywie. To tylko moja praca: strój, akcent, cała reszta. Tylko praca. Muszę jakoś zarabiać na życie, bo...

– Proszę mi postawić tarota. – Zach wyjął dwie dwudziestki z portfela i rzucił na stół.

Przez chwilę wróżka patrzyła na banknoty, a potem spojrzała Zachowi w oczy i zakomunikowała:

– Przykro mi, skończyłam na dzisiaj.

– Bzdura, pani Knight.

– Proszę posłuchać, ja tylko czytam w ludziach. Patrzą, jak są ubrani, jak się zachowują. I słucham ich. Większość sama mówi mi, co chce usłyszeć.

– Chce pani powiedzieć, że jest oszustką?

Zach wyczuł, że wróżka mówi to, co, jak sądzi, powinna, i że wcale tak nie myśli.

– Jestem dobra w tym, co robię. Mam umiejętności, owszem, ale nie nadprzyrodzone. Nikomu nie robię krzywdy. Każdy odchodzi zadowolony.

– Nie każdy – odezwała się Micki. – Sprawdziliśmy panią. Nie każdy był usatysfakcjonowany jakością pani usług.

Policzki wróżki spłonęły czerwienią.

– Niektórzy ludzie są okropni. Nie chcą być szczęśliwi.

– Czasem mówi im pani rzeczy, których wcale nie chcą usłyszeć. Tak było z Gwen Miller, zgadza się?

– To, co mi robicie, podpada pod nękanie. Mówiłam, że nawet jej nie pamiętam.

Zach wyciągnął rękę.

– Proszę mi powróżyć.

Wróżka wsunęła dłonie do kieszeni swojej spódnicy w jasnych kolorach.

– Proszę mi powróżyć – powtórzył Zach – i pójdziemy sobie.

Zawahała się, a potem ujęła jego dłoń. Czekał na uderzenie, falę czystej energii i emocji.

Nic takiego nie nastąpiło.

Przygotował się na obrazy, wspomnienia, natłok informacji.

Nie odebrał zupełnie nic.

– Coś się stało? – spytała łagodnie. Na jej ustach pojawił się protekcjonalny uśmiech, tak jakby doskonale wiedziała, czego Zach się spodziewał, i bawiło ją jego zaskoczenie. Tak jak kota bawią podejmowane

przez mysz próby ucieczki.

Poczuł, jak zalewa go gniew.

– Czekam, aż pani zacznie.

Wpatrywała mu się w oczy.

– Dostał pan wszystko. Wszystko poza tym, czego pan najbardziej  
pożąda.

– Co to takiego?

– W głębi duszy wie pan, o co chodzi. – Zamknęła jego dłoń w pięść. –  
Ale tego, czego pan szuka, tutaj nie ma.

Typowa śpiewka, pomyślał. Sam mógł to sobie wywróżyć.

Mimo to jej słowa wstrząsnęły nim do głębi.

„Wszystko poza tym, czego pan najbardziej pożąda”.

„Tego, czego pan szuka, tutaj nie ma”.

– Doskonały ruch – powiedziała Micki, kiedy odeszli od stolika Brite  
Knight. – Z tym wrózeniem z ręki. Co wyczytałeś?

– Nic.

– Nic? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Nic a nic?

– Niestety. Jednak nie taki doskonały ruch.

– Nie wiedziałam, że to możliwe.

– Ja też nie.

– Może to przez rękawiczki?

Rękawiczki nie miały nic do rzeczy. Czuł ciepło dłoni Knight, czuł  
miarowe tętno.

– Może – rzucił.

– Kłamała o tym, że nie pamiętała Miller. Ale nie dziwi mnie to. Ludzie  
tacy jak Knight, którzy żyją na marginesie, nie lubią mieć do czynienia  
z policją.

Micki zatrzymała się i przyjrzała Harrisowi spod zmrużonych powiek.

– Dręczy cię to, co ci wywróżyła.

„Tego, czego pan szuka, tutaj nie ma”.

Odpowiedzi. Prawdy.

Pokręcił głową.

– Nie.

– Czemu nie chcesz mi powiedzieć?

Brite Knight różniła się od wszystkich ludzi, jakich do tej pory spotkał. Dotknął jej dłoni – i nic nie poczuł. Spojrzała na niego – i wiedział, że wejrzała do najmroczniejszych zakamarków jego duszy.

To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

Tak jakby Brite Knight wcale nie była człowiekiem.

# Rozdział 23

ŚRODA, 10 LIPCA  
GODZINA 20:50

Zach spojrział na Micki. Siedziała przy swoim biurku, w blasku monitora, i była pochłonięta poszukiwaniem znaczeń cyfry siedem. Przez dwadzieścia cztery godziny, jakie upłynęły od namierzenia Brite Knight, sprawdzili każdy trop mający cokolwiek wspólnego z zaginioną Gwen Miller. Przepytali jej kolegów i koleżanki z zajęć oraz wykładowców. Porozmawiali z rodziną, znajomymi i współpracownikami. Dotarli do jak największej liczby osób, z którymi Miller zetknęła się w ostatnich tygodniach.

I nic. Zero. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

Obecność rodziców dziewczyny okazała się męcząca, dokładnie tak jak przewidziała Micki. Z nerwów odchodzili od zmysłów, to zrozumiałe, ale byli przy tym bardzo wymagający i absorbujący. Nie potrafili zrozumieć, że Zach nie może jednocześnie szukać ich córki oraz nieustannie być przy nich i trzymać ich za ręce.

Trzymać za ręce... Emocje, które Zach odbierał od rodziców Miller, były przytłaczające. Zwłaszcza te płynące od ojca. Gwen była jego skarbem, jego najukochańszą dziewczynką. Zacha prześladowały wyobrażenia Gwen z dzieciństwa, wyjątkowe, cenne wspomnienia, do których nie miał prawa zaglądać.

Nie potrafił jednak wyrzucić ich z głowy.

Kiedy jednak Brite Knight dotknęła jego dłoni, poczuł pustkę. Jedno wielkie nic.

„Tak jakby wcale nie była człowiekiem”.

– Gapisz się na mnie – odezwała się Mick, nie odrywając oczu od monitora. – Masz jakiś szczególny powód?



Miała rację. Przeczesał włosy palcami.

– Zrobmy sobie fajrant. Padam z nóg.

– Droga wolna. Ja chcę to dokończyć.

– Znalazłaś coś?

– Więcej niż sądziłam. Siódemka ma całe mnóstwo symbolicznych znaczeń, zarówno w kulturze, jak i w religiach. Jest tego na tyle dużo, że jakiś psychol mógł wybrać sobie wzór i zacząć działać według niego.

– Zadzwoń, kiedy znajdziesz coś konkretnego.

Dopiero teraz podniosła głowę.

– Wybierasz się dokądś? Oprócz tego, że do domu?

– Nie mam planów. A co?

– Bo nie wiem, czy mam czuwać, żeby w razie czego uratować twoje dupsko.

Roześmiał się.

– Jakby coś, puszczę ci sygnał SOS.

– Uważaj na siebie. Tym razem nie pospieszę chevroletem na ratunek.

– Zapamiętam.

Ulica przed Ósemką była zatłoczona. Micki ostrzegła go, że w weekendy Dzielnicę Francuską ogarnia dziki szal, ilekroć w mieście coś się dzieje. Festiwale, konwencje, imprezy sportowe. A Mardi Gras – o matko! Turyści zalewają Dzielnicę i tracą rozum.

Zach poszedł do samochodu, ale zmienił zdanie i zamiast tego wybrał się do Dzielnicy. Przechadzał się bez celu wśród imprezowiczów – potrącany i popychany przez rozochocone towarzystwo – i zastanawiał się, dlaczego mimo że w Dzielnicy jest więcej ludzi niż w poprzednie wieczory, wyczuwa słabszą energię.

Czyżby zaczął się przyzwyczajać?

Zatrzymał się przed wejściem do katedry św. Ludwika, tam gdzie Brite Knight rozstawiała stolik. Uśmiechnął się pod nosem. Zatem spacer miał jednak cel.

Brite Knight miała dar. Kiedy dotknęła dłoni Gwen Miller, poczuła coś

złego. Na tyle złego, że uciekła. I na tyle silnego, że nie zdołała się przed tym ochronić. Nie była w stanie ukryć swojego strachu – raczej: przerażenia – przed Miller i jej znajomymi.

Zach wiedział, co to było: energia, która odrzuciła go od siódemki wrytej na drzwiach łazienki Gwen.

Ruszył dalej. Wiedział już, dokąd zmierza. Tym razem wróżka mu się nie wywinie.

Zapamiętał jej adres. Dom stał na skraju Dzielnicy, tam gdzie zawsze mieszkają ludzie pokroju Brite Knight. Po takiej okolicy nie należało kręcić się po zmierzchu. Zach miał wprawdzie odznakę i pistolet, ale wcale nie był przekonany, czy byłby w stanie użyć broni przeciwko drugiemu człowiekowi.

Dotarł do domu Knight i wszedł po uginających się stopniach. Przyłożył ucho do drzwi i usłyszał dźwięki telewizora; program miejscowego kanału informacyjnego.

Zapukał. Wróżka podeszła do drzwi, uchyliła je lekko i wyjrzała. Nie miała rękawiczek ani okularów, za to bardzo jasne oczy – rzeczywiście jak kocie, takie jak opisali je znajomi Miller.

– Muszę z panią porozmawiać – powiedział.

– Nie interesuje mnie to.

Chciała zamknąć mu drzwi przed nosem. Zablokował je nogą, pchnął i otworzył szerzej.

– Chcę odpowiedzi.

– Chcę, chcę – przedrzeźniła go. – Jak dziecko. Idź pan gdzie indziej szukać tych swoich odpowiedzi.

– Nie wyjdę, dopóki nie powie mi pani prawdy.

Zmrużyła oczy.

– Arogancki Pół Blask. Rozpuszczony bacher. Zdolności dali, ale o instrukcji obsługi zapomnieli...

*Zaginiona studentka Uniwersytetu Nowoorleańskiego, Gwen Miller...*

Wzrok Zacha padł na ekran telewizora stojącego w salonie wróżki.

Twarz Miller.

*...każdego, kto posiada jakiegokolwiek informacje, prosimy o kontakt z Crimestoppers. Podaję numer telefonu...*

Nagroda. Rodzice Gwen oferują dziesięć tysięcy dolarów. Obciążyli swój dom drugą hipoteką.

Zach przeniósł spojrzenie z powrotem na Knight. Ona też wpatrywała się w telewizor. Była blada, jakby zobaczyła ducha.

- Co pani wie? – spytał cicho.
- Proszę mnie zostawić w spokoju.
- Nie mogę.

Pokręciła głową.

– Wściubia pan nos w sprawy dużo poważniejsze i dużo bardziej niebezpieczne, niż się panu wydaje.

– Wiem więcej, niż pani sądzi. To... ma energię. Silną, wściekłą. Poczuela to pani, kiedy dotknęła dłoni Gwen Miller...

- Zostaw mnie pan w spokoju! Bo przez pana oboje zginiemy!
- Jest jeszcze jedna dziewczyna. Nazywa się Angel. Angel Gomez...

Od wróżki do Zacha przeskoczyła iskra strachu i podrażniła końcówki jego nerwów. Włoski na rękach i nogach stanęły mu dęba.

– Nie ma dla nich ratunku – powiedziała Brite drżącym głosem. Oczy zaszkliły jej się łzami. – Ciemność jest zachłanna, a...

- Nie żyją? Spóźniliśmy się?
- ...a światło ulotne.
- Co to znaczy? Jeśli żyją...
- Do widzenia, detektywie.

Tym razem pozwolił jej zamknąć drzwi. Usłyszał, jak głośno zasuwawa zasuwkę. Miał chaos w myślach, kłębiły mu się w głowie słowa Brite Knight.

Nazwała go Pół Blaskiem. Powiedziała, że ciemność jest zachłanna. I że przez niego oboje zginą.

Odwrócił się i odszedł, czując, że wróżka go obserwuje. Jej jaskrawe

spojrzenie wierciło mu dziurę w plecach.

Parker, pomyślał. Musi z nim porozmawiać. Ale nie przez telefon, twarzą w twarz. W sobotę, kiedy agent wróci z Waszyngtonu.

# Rozdział 24

CZWARTEK, 11 LIPCA

GODZINA 8:15

Słowa Brite Knight nie dawały Zachowi spokoju. Nazwała go aroganckim Pół Blaskiem, cokolwiek to jest. I powiedziała, że przez niego oboje zginą.

Nie mógł zasnąć, wybrał się więc na poszukiwania w internecie. Dowiedział się, że światło i ciemność to symbole życia i śmierci oraz dobra i zła. Ale to przecież oczywiste. Nic nowego. Światło – życie – jest ulotne. Ciemność – śmierć – jest zachłanna.

Brednie, skwitowałyby Mick.

Czy na pewno? Może kryje się w tym coś, co doprowadzi ich do Miller i Gomez?

– Dzień dobry, Mick – powiedział i postawił potrójną latte na jej biurku.

– Cześć – odparła, sięgając po kubek. – Dzięki.

Upiła kilka łyków, zamruczała z zadowoleniem i spojrzała na niego badawczo.

– Coś ty robił wczoraj wieczorem?

– A co?

– Wyglądasz jak psu z gardła wyjęty.

– Ty wcale nie lepiej.

Napiła się kawy.

– Zasnęłam przy biurku.

– Przynajmniej pospałaś. – Oparł się o blat. – Ja nie zdołałem się wyłączyć.

Popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Jak myślisz, dlaczego prochy i alkohol to najlepsi przyjaciele wielu gliniarzy?

– To właśnie robisz, Mick? Znieczulasz się?

– Nie-e. Mówię sobie, że wyśpię się w grobie. – Przesunęła w jego stronę kilka zadrukowanych kartek. – Siódemka to bardzo popularna cyfra wśród mistyków, numerologów, astrologów i mędrców. Mnóstwo, cała góra symboliki.

Przeleciał wzrokiem listę.

– Siedem cudów świata, siedem grzechów głównych, siedem kontynentów, siedem kręgów piekła, siedem dni tygodnia. – Uniósł brwi i doczytał z rozbawieniem. – Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków?

– Staralam się być dokładna.

– Ach, ty moja Mick. – Przejrzał pozostałe strony. – Świetna robota, naprawdę. Masz coś o świetle i ciemności?

– A powinnam?

– E, to tylko taka teoria.

– Którą oczywiście nie podzieliłeś się ze mną.

– Przyszła mi do głowy wczoraj wieczorem. Pomyślałem o nazwisku tej wróżki: Brite Knight. Światło i ciemność.

Micki znów wzięła łyk kawy, a kiedy ponownie zamruczała, Zach z trudem opanował śmiech.

– Wiem, że dziś rano nie jestem w najlepszej formie – powiedziała – ale niestety nie rozumiem.

– Nie powiedziałem, że to dobra teoria.

– Kiepska. Kiepsciutka. – Nagle spojrzała mu w oczy. – Chyba że coś cię na nią naprowadziło.

– Sama wpadła mi do głowy – odparł bez mrugnięcia okiem.

Zmarszczyła brwi. Otworzyła usta i po chwili je zamknęła. Chyba wątpiła w prawdziwość jego słów – i słusznie, bo kłamał jak z nut.

Musiał jednak. Przynajmniej na razie.

– Rozmawiałeś z Parkerem?

– Dlaczego pytasz?

– Tak pomyślałam, że może rozmawiałeś.

Była bystra. I nie ufała mu.

– Krótko. Jest w Waszyngtonie. Wraca dopiero w sobotę.

– Po co?

– Po co pojechał do Waszyngtonu? Nie wiem, nie pytałem.

– Nie. – Lekko pokręciła głową. – Po co chciałeś z nim rozmawiać?

– Uznałem, że przyda mi się jego punkt widzenia.

Z zamyśloną miną splotła palce wokół kubka z kawą.

– I przydał się?

– Nie, bo nie miał żadnego. Chciał, żebym napisał raport.

– Typowe dla Biura.

– Właśnie.

Wydział zaczął budzić się do życia. Zeszli się ludzie, rozmawiali, śmiali się i dyskutowali. Rozkręcali się przed pracą i przed nadchodzącym weekendem.

– Chciałabym zamienić z nim kilka słów – powiedziała Micki.

– Z kim? – Udał głupiego.

– Z Parkerem. To przecież twój opiekun. Siedzi głęboko w całym tym szóstkowym przedsięwzięciu. Jeżeli „wielka, zła” energia, którą wyczułeś, rzeczywiście istnieje...

– Istnieje.

– ...to Parker na pewno coś o niej wie.

To prawda, pomyślał. Ale ty i Parker? Nie ma mowy.

– Niekoniecznie.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Czego od niego oczekujesz?

– Odpowiedzi.

– Na jakie pytanie?

– O to, co tu się, do cholery, dzieje!

– No już, nie ciskaj się.

– „Nie ciskaj się”? Mów po ludzku.

– Posłuchaj, znam Parkera i wiem, że nie będzie chciał z tobą

rozmawiać. – Ściszył głos. – Bo nie pracujesz w Biurze.

– Pieprzenie! Nie wykręci się. Pogadamy, nawet jeśli będę musiała przykuć go do krzesła.

Nie znała możliwości Parkera, to oczywiste. Mimo to uśmiechnął się w duchu, wyobrażając sobie unieruchomionego przez Mick agenta.



# Rozdział 25

SOBOTA, 13 LIPCA

GODZINA 4:35

Zach przebudził się i w jednej chwili otworzył oczy. Parker. Zbliża się do drzwi wejściowych. Wstał z łóżka, nałożył szorty, a po drodze złapał jeszcze koszulkę.

Dotarł do drzwi w tej samej sekundzie, w której zabrzmiał dźwięk dzwonka.

– Co ty wyprawiasz, Parker? Jest czwarta rano, do jasnej Anielki!

– Muszę się napić – odparł Parker i wyminął Zacha. – Nienawidzę lotów rejsowych. Koszmar. – Podszedł do barku.

– Miałeś wrócić w sobotę.

– Ale wróciłem w piątek. – Sięgnął po butelkę czerwonego wina. – Mogę?

– Częstuj się. – Parker odwinął metalową owijkę, następnie chwycił butelkę za szyjkę, wykonał szybki ruch nadgarstkiem i sprytnie wysunął korek. Uśmiechnął się i rzucił go Zachowi.

Zach złapał korek, ale nie skomentował. Ot, sztuczka magika. Każda Szóstka ma swoją.

– Myślałem, że ucieszysz się z odwiedzin – powiedział Parker, nalewając wino do kieliszka.

– Ucieszyłbym się, ale o czwartej nad ranem mój mechanizm radości szwankuje.

– Pomyślałem, że lepiej nie odkładać rozmowy na później. W południe lecę na wybrzeże.

Zach pokiwał głową.

– W porządku. Usiądźmy.

- Opowiedz mi o tej energii – poprosił Parker.
- Wolę zacząć od wróżki. Kim ona jest?
- Ty mi powiedz. To ty miałeś z nią kontakt.
- Parker, przestań się zachowywać jak byle cwaniak z FBI. Gdybym wiedział, tobym nie pytał. Kim ona jest?
- Jeżeli jest wyjątkowa...
- Jest.
- ...znaczy to, że jest jedną z nas.
- Przez telefon powiedziałeś co innego.
- Nie jest Szóstką. Ale ma podobne zdolności. Należy do Obdarzonych.
- „Obdarzonych” – dużą literą, tak jakby chodziło o odrębną rasę, a nie zbiór anomalii w łonie ludzkości.

Parker pochylił się i powiedział:

- Naprawdę sądziłeś, że istnieje nas tylko garstka? – Czytał Zachowi w myślach.
  - Ilu?
  - Zbyt wielu, by można było policzyć.
  - Ona różni się od ciebie i ode mnie.
  - W jaki sposób?
  - Nie udaje mi się w niej czytać. Nic, żadnych myśli, uczuć, wspomnień.
- Zero. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.
- Może na tym polega jej dar?
- Gładka odpowiedź. Ani grama niepokoju. Brak zainteresowania.
- On to wszystko wie, pomyślał Zach.
- Zmrużył oczy. Może choć to będzie dla agenta nowość:
- A jeśli ona nie jest człowiekiem?
- Parker zakrztusił się winem, a Zach się uśmiechnął.
- No proszę, wreszcie zasłużyłem na twoją uwagę.
  - To absurd.
  - Czyżby?
  - Widziałem wiele osób obdarzonych zdolnościami. Wszyscy byli

ludźmi z krwi i kości.

– Poszedłem do niej. Domagałem się wyjaśnień.

– Nie dostałeś ich.

Pokręcił głową.

– Bała się, ale nie mnie, tylko tego, co zobaczyła, kiedy dotknęła dłoni Gwen Miller.

– Energii, która cię powaliła.

– Tak myślę. – Zach przypomniał sobie jej słowa. – Bała się, była zdenerwowana. Na mnie, za to, że się wtrącam. Powiedziała, że przeze mnie oboje zginiemy.

Parker nie zareagował, więc Zach mówił dalej.

– Nazwała mnie „Pół Blaskiem”. Wymówiła to takim tonem, jakby chciała mnie obrazić. Pół Blask – powtórzył. – O co jej chodziło?

Parker zmarszczył czoło.

– Może o twoje zdolności?

– Nie znasz tego określenia?

Parker ponownie pokręcił głową.

– Nie.

Brzmiał przekonująco. Czy na pewno? Nie zaskoczył go brak reakcji Zacha na Knight ani opis nietypowo silnej energii, ale nigdy nie słyszał określenia „Pół Blask”.

Zach uznał, że tego nie kupuje.

– Powiedziała też, że światło jest ulotne, a ciemność zachłanna.

– Brzmi jak newage’owe brednie. Ale nie dziwi mnie to. Obdarzeni często doznają pomieszania zmysłów. Poza tym, Zach, skupiasz się nie na tym, co potrzeba. Interesuje nas źródło energii, a nie wróżka wariatka.

– A cyfra siedem?

– To oczywiście, że dla sprawcy miała jakieś szczególne znaczenie. Ale jakie – tego jeszcze nie wiemy. Potrzebujemy więcej informacji.

I znów nie uwierzył Parkerowi. Tylko dlaczego Parker miałby kręcić? Przecież grają w jednej drużynie.

Podniósł dłoń i rozcapierzył palce.

– Czujesz się na siłach?

Parker przyjrzał mu się badawczo.

– A zdołasz zapanować nad transferem?

– Nie wiem. To silna i zła rzecz.

– Wobec tego spasuję.

– Boisz się?

– Po prostu jestem ostrożny.

– Pieprzenie. Kogo ścigamy? Przecież wiesz.

– Nie wiem. Gdybym wiedział, tobym cię nie potrzebował, prawda?

– Dlaczego coś mi mówi, że nie jesteś ze mną szczerzy?

– To już twój problem. Gramy w jednej drużynie.

– Na pewno?

Parker pokazał palcem na telefon Zacha.

– Dzwoni twoja partnerka.

Ułamek sekundy później aparat zabrzączał.

– Nnmnmn cooo? – powiedział Zach do słuchawki, udając świeżo wybudzonego ze snu.

– Pobudka, księżę z bajki. Zaginęła kolejna dziewczyna.

# Rozdział 26

SOBOTA, 13 LIPCA

GODZINA 5:25

Zaginiona dziewczyna nazywała się Patricia Putnam i była córką senatora Rolanda Putnama, szefa wpływowego Komitetu Spraw Zagranicznych.

Micki wpisała się do protokołu i spojrzała na Zacha, który stał w milczeniu obok niej i wpatrywał się w drzwi wejściowe do niewielkiego bliźniaka.

– Posłuchaj, Hollywood, wkrótce zaroi się tu od agentów federalnych. Musimy zrobić swoje, zanim przejmą kontrolę.

Przytaknęła z napiętą miną. Przygotowuje się, pomyślała. Z nas wszystkich akurat on musi to robić w szczególny sposób. Tym razem, inaczej niż w przypadku Gwen Miller, nie byli na miejscu sami.

– Pani detektyw Dare?

Odwróciła się. Mundurowy, kojarzyła go z widzenia. „Perkins” – widniało na plakietce. Był z nim młody mężczyzna. Pewnie sąsiad Putnam, uznała.

Perkins potwierdził przypuszczenia.

– Jeff Spears. To on do nas zadzwonił.

– Witam, panie Spears – powiedziała Micki. – Detektyw Dare, a to mój partner, detektyw Harris. Musimy zadać panu kilka pytań.

Mężczyzna był wysoki i chudy, miał ciemne kręcone włosy. Trzymał ręce w kieszeniach szortów koloru khaki i wyglądał na niespokojnego.

– Jasne.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Nie wiem, co się wydarzyło. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Oho, ktoś tu nie przepada za glinami, pomyślała.

- Zapytam inaczej: co pana skłoniło do sięgnięcia po telefon?
- Ach. – Zrobił długi wydech. – Usłyszałem hałasy z jej mieszkania.
- Jakiego rodzaju hałasy?
- Łomot, tupot. Zrobiło się naprawdę głośno.
- Gdzie pan wtedy był?
- W łóżku. Próbowałem zasnąć. Pracuję jako barista w PJ's. Dzisiaj miałem otwierać lokal.
- O której?
- O piątej. – Westchnął. – Mam nadzieję, że mnie nie wyleją.
- Poproszę Perkinsa, żeby porozmawiał z pańskim szefem.
- Dzięki.
- No dobrze, usłyszał pan hałasy i co potem? – wróciła do tematu.
- Ktoś zaczął walić w ścianę. Pomyślałem, że może Patricia zrobiła imprezę – w końcu miała urodziny.
- Micki podniosła wzrok znad notatnika.
- Urodziny?
- No tak. Dwudzieste pierwsze.
- Łypnęła na Zacha; on też dodał dwa do dwóch – i też wyszło mu trzy.
- Co dalej?
- Dalej było jeszcze gorzej. Takie odgłosy, jakby ktoś rzucał przedmiotami o ścianę.
- Nie było słychać muzyki?
- Lekko zmarszczył czoło, tak jakby zastanawiał się, czemu wcześniej nie przyszło mu to do głowy – jak to: impreza bez muzyki?
- Nie – odparł.
- Śmiechy?
- Nie.
- Krzyki?
- Nie, mój Boże, nie.
- Co potem?
- Wściekłem się i zadzwoniłem do niej.

- Przyjaźniliście się?
- Nie, znaleźliśmy się tylko z korytarza.
- Rozumiem. – Micki zapisała tę informację. – Proszę mówić dalej.
- Nie odebrała. Ale hałas ucichły.
- Dlaczego wtedy nie poszedł pan spać?
- Próbowałem, ale nie mogłem zasnąć, bo to nie dawało mi spokoju.

Wie pani, pomyślałem sobie, że to w sumie dziwne, i zacząłem się niepokoić... – Odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę. – Wstałem i poszedłem upewnić się, że nic jej nie jest.

– Co pan zrobił w pierwszej kolejności?

– Zapukałem do drzwi. Zawołałem. Nie otworzyła i nie odpowiedziała. Ale wiedziałem, że nie śpi, nie po takim harmidrze. No więc nacisnąłem klamkę...

Zaczerwienił się i przeniósł spojrzenie z Micki na Zacha, potem z powrotem na Micki.

– Nie będę miał przez to kłopotów, prawda? Wiem, że jej stary jest jakąś szychą...

– Senatorem. Spokojnie, nie będzie pan miał nieprzyjemności. Drzwi były otwarte?

– Nie. Już miałem wrócić do łóżka, ale coś mnie tknęło. Poszedłem od tyłu, od strony wejścia od kuchni. – Zamilkł, jakby coś ścisnęło go za gardło. – Zobaczyłem bałagan.

– Bałagan?

– Jakby przez kuchnię przeszło tornado. Wszystko było porozrzucone. Pobiegnę do siebie i zadzwoniłem do was.

– Widział pan, żeby ktoś wchodził albo wychodził?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Tak. – Wzruszył ramionami. – Ale nie siedziałem i nie przyglądałem się.

– Dziękujemy panu. – Micki zamknęła notatnik. – Detektywie Harris,

czy...

– Pani partner sobie poszedł.

Zerknęła w bok, tam gdzie jeszcze przed chwilą stał Zach.

– Dokąd?

– Na tył budynku.

Micki kiwnęła głową i wręczyła Spearsowi swoją wizytówkę.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli coś pan sobie przypomni.

Odparł, że oczywiście tak zrobi, a Micki poszła szukać Zacha.



# Rozdział 27

SOBOTA, 13 LIPCA

GODZINA 5:47

Zach postanowił nie czekać na Mick. Ze słów sąsiada wynikało, że kuchnia zaginionej wyglądała, jakby wybuchła w niej bomba. Zach wołał, żeby nikt nie widział jego reakcji na to miejsce. Coś drażniło mu końcówki nerwów, mimo że jeszcze nawet nie wszedł do budynku.

Podszedł od tyłu domu. Podobnie jak wiele innych w tej okolicy, ten również wzniesiono na słupach. Do wejścia prowadziły trzy schodki. Przez otwarte drzwi Zach zajrzał do środka. Chaos.

Zaczął wchodzić po stopniach, z każdym krokiem czując coraz mocniejszy ucisk w piersi. Ciśnienie oddziaływało też na jego uszy, zaburzało równowagę.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się. Wszystkie szafki były otwarte, podobnie lodówka i zamrażarka. Stół i krzesła przewrócone. Butelki i słoiki rozbite, ich zawartość rozrzucona na podłodze.

Ostrożnie ruszył przed siebie. Fizyczny nieład był niczym w porównaniu z wypełniającą to miejsce energią, która szalała dokoła Zacha niczym tornado. Wściekła i agresywna – tak jak ostatnim razem, ale jeszcze silniejsza, jeszcze bardziej uporczywa. Drapała go i szarpała. Chciała dostać się do jego wnętrza. Pragnęła go.

Nie zależy jej na ciebie, pomyślał, czując coraz silniejsze zawroty głowy. Szuka czegoś innego. Miał wrażenie, jakby czaszka miała mu eksplodować. Jakby...

– *Wyjdź stąd! Natychmiast wyjdź!*

Zareagował bez dyskusji. Zawrócił i wypadł na dwór, potykając się o własne nogi. Odetkało mu uszy. Usiadł na najwyższym schodku i schował

głowę między kolanami. Zaczął głęboko oddychać: wdech nosem, wydech ustami.

Powtarzał sobie, że nie zwymiotuje, nie tym razem.

Tylko jak się przed tym obronić?

– *Wykorzystaj swoje światło, Zach.*

Kobiecy głos. Wyraźnie słyszalny, tak jakby jego właścicielka stała tuż za plecami Harrisa. Obejrzał się przez ramię, chociaż wiedział, że nikogo tam nie zobaczy.

Zadzwonił telefon. Parker.

– Masz niezwykle wycucie czasu – rzucił do słuchawki.

– Jesteś na miejscu przestępstwa.

– Przecież wiesz. Wskakuj do wody, póki ciepła.

Parker nie roześmiał się, powiedział za to:

– Federalni już jadą.

– Słyszałem. Wiedzą o mnie?

– Nie. I nie mogą się dowiedzieć.

– Świetnie... – Ściszył głos. – Wiesz, że pogardziłbym pomocną dłonią...

– Coś wymyślisz. Liczymy na rozwiązanie.

Arogancja Parkera rozwścieczyła Zacha.

– Wiesz więcej, niż chcesz powiedzieć. Daj mi coś, na czym mógłbym się zaczepić.

Parker milczał przez dłuższą chwilę.

– Pytałeś, kogo ścigamy. – Pełna napięcia pauza. – Nie kogo, Zach, tylko c o .

I rozłączył się, zanim Zach zdążył zareagować.

# Rozdział 28

SOBOTA, 13 LIPCA

GODZINA 6:07

Micki znalazła Zacha na stopniach prowadzących do drzwi na tyłach domu. Drzwi były otwarte. Wchodziło się przez nie do kuchni.

Spojrzała na partnera. Wyglądał naprawdę kiepsko.

– Z kim rozmawiałeś?

– Z Parkerem – potwierdził jej przypuszczenia.

– Co powiedział?

– Federalni już jadą. Nie wiedzą o mnie i nie mogą się dowiedzieć.

Pokiwała głową. Brzmiał tak samo kiepsko, jak wyglądał.

– Znalazłeś coś?

– Daleko nie zaszedłem... Nie wiem, czy zdołam tam wejść ponownie – dodał po chwili.

– Znowu ta energia?

– Tak. Tyle że coraz gorsza.

– Co to znaczy?

– Bardziej nerwowa, agresywna.

Zmarszczyła czoło.

– Po tym, jak zareagowałeś poprzednim razem, sądziłam, że gorzej być nie może.

– Też tak myślałem.

– Zajrzę tam.

– A ja spróbuję wziąć się w garść.

Wyminęła go i weszła do kuchni. Totalny bałagan. Jakby ktoś w szale zdemolował pomieszczenie. Podłoga zasłana różnego rodzaju produktami. Otwarte i opróżnione szafki. Poprzewracane meble.

Uśmiechnęła się ponuro. Jedno jest pewne – to nie był cichy włamywacz.

Zaczęła przedzierać się przez pobojowisko, chciała dotrzeć do względnie czystego fragmentu podłogi pośrodku kuchni. Oglądała obraz zniszczenia: rozbite słoiki z majonezem, piklami i dżemem. Rozlane mleko z pękniętego kartonu. Rozsmarowane na podłodze masło orzechowe. Rozdeptana foremka z jajkami. Wyraźny odcisk buta. Pośrodku tego wszystkiego: keczup, czerwony niczym serce – też rozdeptany. Zawartość plastikowej buteleczki wystrzeliła jak krew z tętnicy.

Przedmioty zdawały się układać w jakiś kształt. Nierówne półkole.

Micki przyjrzała się raz jeszcze.

– A to sukinsyn – mruknęła, po czym spojrzała na Zacha, który stał na ostatnim stopniu, tuż przed drzwiami. Pokazała na kształt. – Siedem przedmiotów. To nie przypadek.

– Czyżby wizytówka naszego porywacza?

Uniosła brew, zarazem rozbawiona i pełna uznania dla wyrabiającego się kolegi.

– Przyznaj się, Hollywood, że znalazłeś to określenie w Google’u.

– Ba. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, ale nie wyglądało to przekonująco. – Zrobiłem to wcześniej, na wszelki wypadek.

Przeniosła spojrzenie na produkty leżące na podłodze.

– Skoro jego wizytówką jest cyfra siedem, to po co ułożył te przedmioty w półkolu? Dlaczego po prostu, nie wiem, nie namazał siódemki keczupem? Co próbuje nam powiedzieć?

– Gdybym to ja wiedział. – Zawahał się, po czym dodał: – Słuchaj, Mick, a jeśli sprawca to wcale nie „on”?

– Myślisz, że kobieta? – Ściągnęła usta i zamyśliła się. – Nie można wykluczyć takiej ewentualności, ale nie sądzę.

Ukucnęła, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Sprawdźmy, może zostawił dla nas coś jeszcze.

Krople – wyglądały jak krew. Nakapane aż do lodówki. Mick podeszła

do niej i znalazła plamę na drzwiach.

– Bingo. Skaleczył się podczas tej imprezy z demolką.

Zach nie odpowiedział. Odwróciła się do niego i zobaczyła, że partner wpatruje się w nią obojętnym wzrokiem.

– Dziwnie wyglądasz – powtórzyła. – Wszystko w porządku?

– „W porządku”, czyli jak? – Spojrzał przez ramię, a potem z powrotem na nią. – Federalni przyjechali. Będą tu za pięć, cztery, trzy...

Odszedł od drzwi. Zjawili się dwóch agentów, obaj wysocy, ciemnowłosi i schludni.

– Detektyw Harris – przedstawił się Zach. Micki zwróciła uwagę, że nie podał im ręki. Obie dłonie trzymał w kieszeniach. – A to moja partnerka, detektyw Dare.

– Agenci Culpepper i Roberts. Poinformowano was, dlaczego przyjechaliśmy? – Micki pokiwała głową. – Wiem, że badacie podobną sprawę sprzed tygodnia.

– Tak. Dziewczyna nazywa się Gwen Miller. Nie ma związków z polityką. Również zaginęła w swoje urodziny.

– Będziemy musieli prosić was o szybkie wprowadzenie.

– Oczywiście.

Weszli do kuchni. Wyższy zaklął pod nosem.

– Czy miejsce pierwszego przestępstwa wyglądało podobnie?

– I tak, i nie.

Roberts spojrział na Zacha.

– Nie wchodzi pan, detektywie Harris?

– Nie mogę. Mam alergię na orzeszki ziemne. – Pokazał na masło orzechowe, a potem popatrzył na Micki. – Zajmiesz się tym, Mick? Ja wypytam sąsiadów.

# Rozdział 29

SOBOTA, 13 LIPCA

GODZINA 7:02

Zach zacisnął dłonie na kierownicy. Spojrzał w lusterko wsteczne za znikającą kolumną pojazdów policyjnych. Kiedy Mick zorientuje się, co zrobił, rozerwie go na strzępy.

Nikommu nic nie mówiąc, oddalił się z miejsca zbrodni.

Musiał się stamtąd wydostać, nie miał innego wyjścia. Całą siłę woli, jaką dysponował, włożył w podtrzymanie przed agentami FBI wizerunku opanowanego gliniarza.

Teraz jednak czuł, że za chwilę pęknie mu czaszka. Krew coraz szybciej krążyła mu w żyłach, huczała tak głośno, że zagłuszała myśli. Ból był jak silne białe światło, stawał się oślepiająco jaskrawy.

Opuścił szyby w aucie. Owionęło go rześkie powietrze, przynosząc lekką ulgę. Wciągnął je głęboko do płuc i aż przeszedł go dreszcz. „Nie ścigamy kogoś – powiedział Parker – tylko c o ś”.

Z początku Zach nie uwierzył, ale teraz nie miał wątpliwości. Ta rzecz, którą napotkał na miejscu przestępstwa, czymkolwiek była, próbowała dostać się do jego wnętrza.

Naraz wyrwały go z zamyślenia pisk hamulców i salwa klaksonu.

Wjechał na skrzyżowanie na czerwonym. Prosto na niego sunął minivan. Kobieta za kółkiem, na tylnym siedzeniu dzieci. Spojrzenia kierowców spotkały się. Zach ujrzał przerażenie w oczach kobiety.

Przygotował się na zderzenie. Na zgrzyt zgniatanego metalu i brzęk tłuczonego szkła. Na wybuch poduszki powietrznej.

Nic takiego nie nastąpiło, ponieważ auta minęły się dosłownie o włos. Zach niemal fizycznie poczuł drżenie maski silnika drugiej maszyny.

Dotarła do niego powaga sytuacji, świadomość tego, co mogło się zdarzyć. Zaczął się trząść. Było tak cholernie blisko... Przecież mógł zabić tę kobietę albo któreś z dzieci.

Skręcił w boczną uliczkę, zatrzymał się, wyłączył silnik i oparł głowę na kierownicy.

Co się z nim, do diabła, dzieje? Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Co to za energia, która przygniata go i miesza mu w głowie?

Nie został stworzony do tych superbohaterskich bredni. Zanim został Szóstką, żyło mu się dobrze i łatwo. Szybkie auta, dobre ciuchy, piękne kobiety.

Ale to mu nie wystarczało.

Od kiedy został Szóstką, wyraźniej niż przez wszystkie lata hulaszczęj egzystencji czuł, że żyje pełnią życia.

Do ciężkiej cholery! To nie było to, na co się pisał. Miałby się przejmować? Miałby traktować rzecz tak poważnie, że wzruszenie ramionami i odejście w swoją stronę nie wchodziło w grę? O nie! Zach Harris nie wikła się w zobowiązania. Zach Harris zostawia sobie otwartą furtkę.

Ale kim właściwie jest Zach Harris?

Musi wziąć się w garść. Musi wymyślić, jak pokonać tę rzecz – albo jak się przed nią obronić.

Wyprostował się, oparł głowę na zagłówku i zamknął oczy. Musiał się skupić. Pomyślał o swoich zdolnościach. Kiedy pierwszy raz dały o sobie znać, wywróciły jego fizyczne i emocjonalne życie do góry nogami. Musiał nauczyć się panować nad nimi, kontrolować wpływ, jaki na niego wywierały.

Nie był wtedy bezbronny, nie był ofiarą.

I teraz też nie będzie.

Powrócił do tego, co sprawdzone, do tego, co pomogło mu na początku, gdy poznawał swoje zdolności, i później, w trakcie szkolenia. Nabrał dużo powietrza przez nos i wypuścił je ustami. Oczyszczyć głowę. Wyobrazić sobie

chaos, zgromadzić go w jednym miejscu i wypchnąć poza organizm. Kolejny oddech. Czysty, lśniący i jasny. Zamieść wszelkie umysłowe śmieci na jedną kupkę. Mrok i brzydota. Ból i dezorientacja. Smród tej rzeczy, czymkolwiek jest. Wynieść śmieci, pozbyć się ich. Wrócić po kolejne.

Mijały minuty. Drzenie ustało, serce zaczęło wolniej bić. Umysł się oczyścił.

Ze wszystkiego.

Z wyjątkiem światła. Jasnego i połyskującego.

Nagle dotarło do Zacha, trafiło go jak grom z jasnego nieba. Białe światło. Ilekroć oczyszczał umysł, zostawało tylko ono. Zawsze tak było. I zawsze wydawało mu się, że każdy tak ma.

A jeśli nie? Jeżeli u innych ta pustka jest szara? Albo kolorowa jak paleta malarza? Albo nawet czarna jak smoła?

Myśli Zacha popłynęły ku obcemu kobiecemu głosowi, który słyszał w głowie i który zachęcał go do skorzystania ze światła. Z jednej strony zaprzeczał realności głosu, z drugiej – akceptował ją.

Czy był to ktoś zesłany, by mu pomóc? Ale kto? I jak?

Albo może przejaw jego własnej psyche, inny rodzaj reakcji „ja” na atak?

„Arogancki Pół Blask”.

Brite Knight. Ona będzie wiedziała. Ciemność jest zachłanna, światło jest ulotne – tak brzmiały jej słowa.

To nie przypadek.

Zach aż podskoczył, kiedy nagle zawibrował jego telefon. Wyjął aparat i zobaczył na wyświetlaczu, że dzwoni Mick.

Kiedy wcisnął zieloną słuchawkę, partnerka nawet nie dała mu szansy się odezwać.

– Gdzie ty się, u diabła, podziewasz?

– Jestem na ulicy.

– Jakiej ulicy?

– Nie wiem. Tej, po której jeżdżą tramwaje.



– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie. O mały włos... ale to inna historia. – Spojrzał za okno. – Musiałem zjechać i się zatrzymać.

– Jedziesz samochodem? – Mówiła cicho, ale dało się wyczuć, że gotuje się ze złości. – Po prostu wsiadłeś do wozu i odjechałeś z miejsca przestępstwa?

– Owszem, tak zrobiłem. Mick, posłuchaj, musiałem się stamtąd wyrwać.

– Tak nie wolno. Nie możesz zwyczajnie postanowić, że, nie wiem, skoczysz po kawę, i pójść sobie.

Była tak zła, że zaczęła bełkotać, ale bynajmniej nie zamierzał jej tego wypominać.

– Musimy pogadać.

– O tak, kolego, koniecznie!

– Nie przez telefon. – Minęła go kobieta prowadząca wózek z dzieckiem i dziwnie popatrzyła. – W cztery oczy. Gdzieś, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Słuchaj, Harris, to jakieś pieprzenie kotka za pomocą młotka. Musiałam cię kryć. Wymyśliłam bajeczkę, że zniknąłeś, bo pojechałeś sprawdzić cynk.

– Ta energia mnie zaatakowała. Wyjście z kuchni, z domu, nie wystarczyło.

– Jaśniej. I to już!

– Nie, nie w ten sposób. Spotkajmy się w Ósemce.

– Za godzinę – rzuciła i rozłączyła się.

Godzina minęła Zachowi w mgnieniu oka. Jak w transie dojechał na komendę, wszedł do pokoju przesłuchań i usiadł naprzeciwko Mick. Patrzyła na niego, jakby wyrosła mu druga głowa.

– Czułem się, jakby... dobijała się do mnie – zaczął tłumaczyć. – Jakby szukała sposobu wniknięcia we mnie.

– Energia?

– Tak.

Mick zmarszczyła brwi.

– Po co?

– Żeby zepsuć mi dzień albo ukraść duszę... Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś takiego. I nikt, nawet Parker, nie ostrzegł mnie, że jest to w ogóle możliwe.

Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Ja nic nie poczułam. Culpepper i Roberts też nie.

– No to widocznie miałem pecha.

– Opowiedz mi o energii. Mówiłeś, że chodzi o tę samą, co wcześniej.

– Tak, ale tym razem jest bardziej agresywna. Emanuje większą złością.

– I to wszystko?

Wsunął dłoń do kieszeni.

– Na razie tak.

– Na razie – powtórzyła kwaśno. – Cudownie. Zupełnie jakbym miała za partnera cholernego Houdiniego. Co tym razem próbujesz przede mną ukryć?

– Nic.

– Uważaj, bo uwierzę.

– Wydaje mi się, że mogę pokonać tę rzecz.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. To tylko przeczucie.

Nie uwierzyła mu. Wyczytał to w jej spojrzeniu, napiętych mięśniach, zaciśniętych ustach.

– Znaleźliście coś jeszcze? – spytał.

– Poza kuchnią mieszkanie było nietknięte. Żadnych cyfr wyrytych w drzwiach. Obie dziewczyny obchodziły urodziny – dodała po chwili.

– Wszystkie trzy – poprawił ją. – Myślę, że Gomez jest tą, której udało się uciec.

– Skąd ten wniosek?

– Z energii na jej dowodzie tożsamości. I też zniknęła.

Mick pokręciła głową.

– Nie zniknęła, tylko się wymeldowała.

– Zastanów się. Dziewczyna wyjeżdża z domu i rzuca pracę. To dość radykalna zmiana, nie uważasz?

– Czy nie o tym mówił Teddy? Że postanowiła zrobić kolejny krok w życiu?

– Albo uciec, by je ratować.

Mick prychnęła.

– Powtórzę: skąd ten wniosek?

– Posłuchaj. – Zach wstał i podszedł do niej. – Jeżeli ta rzecz jest tak wielka i zła, jak nam się wydaje...

– Hola, hola, Hollywood! Szukamy sprawcy. Człowieka z krwi i kości. Dwie ręce, dwie nogi, głowa i tak dalej.

– Ty szukasz człowieka, Mick, ja ścigam c o ś innego. – Wytrzymał jej spojrzenie, ale po chwili odwrócił głowę. – Moim zdaniem Gomez zetknęła się z tą rzeczą.

– Zatem jeśli znajdziemy Gomez, namierzemy też naszego sprawcę.

– Jak sądzisz, gdzie się ukryła?

– U kogoś z rodziny. U znajomego w Nowym Orleanie. A może wyjechała z miasta.

Oby nie, pomyślał.

– Gdzie są Culpepper i Roberts?

– W tej chwili czytają raport z zaginięcia Miller. Wkurzę się, jeśli znajdą coś, co przeoczyliśmy.

– Nie znajdą.

– Dlaczego nie podałeś im ręki?

Zapamiętaj, pomyślał. Nic się przed nią nie ukryje.

– Nie mogłem. Niewiele brakowało, żeby wejście do tamtej kuchni doprowadziło do zwarcia w moim układzie. A beze mnie i energii nie mielibyśmy żadnych rezultatów.

– Jesteś bardzo pewny siebie, Hollywood, trzeba ci to przyznać, ale

obiecuję, że...

Micki nie dokończyła, bo zadzwoniła komórka Zacha. Gestem dłoni nakazał partnerce milczenie i odebrał.

– Detektyw Harris.

– I co teraz zrobisz, Pół Blasku?

– Pani Knight? – Pokazał Micki, żeby wyjęła notatnik.

– Słyszałam o tej nowej dziewczynie.

– Nowej dziewczynie?

– Putnam. Musimy się spotkać.

– Wie pani coś o zaginionych?

– Być może.

– Wie pani, kto je porwał?

– Wiem, że grozi im niebezpieczeństwo.

– Jakie niebezpieczeństwo?

– Spotkamy się dziś o północy w Café du Monde.

– Będę.

– Sam. Żadnych glin. Żadnych federalnych.

– Jestem policjantem.

– To sprawa między tobą a mną. Bądź sam. Inaczej nie przyjdę.

– Dlaczego pani to robi?

– Angel Gomez. Wiem, gdzie ją znaleźć.

Gomez. Zatem miał rację: udało jej się uciec.

Mogła doprowadzić go do źródła energii.

– W porządku, przyjdę sam.

Schował aparat i spojrzał na Mick.

– Knight chce się spotkać. O północy. W Café du Monde.

– Po co?

– W sprawie zaginionych dziewczyn. Nie powiedziała nic konkretnego, tylko tyle, że grozi im niebezpieczeństwo.

– A to nowina!

– Powiedziała też, że wie, gdzie jest Gomez. Teraz przynajmniej wiemy,

że żyje.

– Uciekła do Knight. – Micki zawahała się, po czym pokiwała głową. –  
Dobrze. Pójdziemy na to spotkanie.

– Wyraźnie podkreśliła, że mam być sam.

– Jeszcze czego, Hollywood. Mowy nie ma.

# Rozdział 30

SOBOTA, 13 LIPCA

GODZINA 23:54

Zach usiadł w Café du Monde. Wybrał jeden ze stojących na zewnątrz stolików – taki, który znajdował się blisko krańca tarasu – aby być widocznym dla Mick, która zajęła miejsce na pobliskich schodach prowadzących na promenadę Moon Walk. Oczywiście nie zgodziła się puścić go samego, ale obiecała, że będzie trzymała się na dystans.

Zastanawiał się, dlaczego Brite Knight wybrała akurat to miejsce. Bo było publiczne i czuła się tu bezpiecznie? Bo tu nikt nie zwróci na nich uwagi? Uśmiechnął się pod nosem. A może dlatego, że tak jak on miała niezdrową obsesję na punkcie kalorycznych słodkości?

Kelner przyniósł zamówienie, zainkasował gotówkę i odszedł do innego stolika. Zach zerknął na telefon. Jeszcze kilka minut do północy. Wybrał numer Mick, upewnił się, że połączenie zostało nawiązane, i odłożył aparat na stół. Najprostszy sprzęt szpiegowski. Mick będzie mogła wysłuchać rozmowy Zacha z wróżką bez konieczności instalowania podsłuchu, ten bowiem wymagał uzyskania pozwolenia. Chyba że Knight się zorientuje.

Oswoił się z myślą, że Mick prawdopodobnie usłyszy rzeczy, o których celowo jej nie powiedział – i nadal wolałby nie mówić – ale trudno, kiedyś i tak musiał to zrobić.

Wbił zęby w posypanego cukrem pudrem ptysia... i nagle cały cukier z ciastka miał na spodniach. Mick prychnęła, a Zach tylko uśmiechnął się pod nosem. To by było tyle, jeśli chodzi o ciszę w eterze.

Wytarł usta, strzepał puder i rzucił brudną serwetkę na telefon. Zegar na wieży katedry wybił dwunastą.

Nadchodzi.

Zach zlustrował rzednący tłum sobotnich imprezowiczów i wyłowił postać Brite Knight. Stała na rogu placu Jacksona i ulicy Chartres, czekała na zmianę świateł.

Ich spojrzenia spotkały się. Miała tak jasne oczy, że nawet z daleka rozpoznawał kolor jej tęczy. Lekko skinęła głową. Zapaliło się zielone i weszła na ulicę. Nagle zatrzymała się tak, że wpadł na nią idący z tyłu pijany mężczyzna, po czym uniosła nieco twarz, skierowała ją do wiatru i zaczęła wachać, jakby była dzikim zwierzęciem, które stara się wyczuć zapach myśliwego.

W następnej chwili obróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwnym kierunku. Zach zaklął i zerwał się na nogi.

– Ucieka – powiedział, zgarniając telefon. – Gonię ją.

Jak na kobietę ubraną w długą, cygańską spódnicę Knight poruszała się niezwykle zwinnie. Zach pomknął na drugą stronę ulicy, lawirując między trąbiącymi samochodami i starając się nie stracić z oczu jasnych kolorowych szali.

Skręciła do parku. Zach biegł za nią i był coraz bliżej. Kiedy dotarł do żelaznej bramy, zauważył znikającą za rogiem katedry czerwoną spódnicę.

Zmniejszyła dzielący ich dystans.

Przyspieszył, biegł z walącym sercem, z trudem łapiąc powietrze. Wróżka obeszła kościół, przecięła ulicę St. Peter i wyszła na Royal. Zrobił dokładnie to samo, ale gdy się tam znalazł, znieruchomiał.

Zniknęła. Zmarszczył brwi. Jak to możliwe? Może dała nura do sklepu...

Nie, przecież jest środek nocy, wszystko pozamykane. Ulica wyglądała jak z innego świata: była upiornie cicha i pusta.

A jednak nie.

Ruszył przed siebie. Napięcie przebiegło mu po skórze. Podniosło włoski na rękach i na karku.

Wiedział, że Knight tu jest. Wyczuwał jej obecność.

Skręcił i skierował się z powrotem w stronę placu. Szedł powoli, oglądał wszystkie tonące w ciemności wnęki, nie zwracając uwagi na nic poza

sygnałami, które prowadziły go do wróżki.

Zatrzymał się przed krótkim zaułkiem, brukowanym i oświetlonym staromodnymi lampami, które rzucały słaby blask.

Mam cię.

Wszedł do zaułka.

– Brite! – zawołał. – Chcę wyłącznie usłyszeć prawdę!

Odpowiedziała mu głęboka i nienaturalna cisza. Postawił jeszcze kilka kroków. Jego zmysły odebrały sygnał alarmowy.

– Czy to panią słyszałem w głowie? Czy to pani radziła mi użyć światła?

– *Uciekaj!* – Znowu ten głos, przechodzący we wrzask. Nagłący ton. – *I to już!*

Zareagował odruchowo. Zatrzymał go szelest. I ciche dyszenie. Odgłosy szamotaniny.

– Brite! – krzyknął i odwrócił się.

Zobaczył ją. Była wciśnięta do spowitej mrokiem wnęki.

Nie, to nie mrok, tylko cień. Cień ciemniejszy od najczarniejszej nocy, pulsujący energią. Częściowo ją zasłaniał, przyciskał do ściany, połykał. Jej blade oblicze kontrastowało z pomroką napastnika. Na jej twarzy widać było grymas, jakby okrutnie cierpiała.

– Ty tam! Cofnij się! Natychmiast! – Zach wyjął broń i ruszył w stronę Brite. – Policja! Odsuń się i...

Nagle uniósł się w górę, niesiony niewidzialną siłą, i rąbnął o kawiarniany stolik, przewracając go razem z krzesłami. Poczul przeszywający ból w barku i zobaczył gwiazdy.

Na szczęście broń nie wypadła mu z ręki. Dźwignął się na nogi i ruszył przed siebie, celując z pistoletu.

– Policja! Odsuń się od tej kobiety albo będę strzelał!

Cień wyparował.

Brite Knight osunęła się na kocie łby.

Zach kilkoma długimi susami znalazł się przy niej. Siedziała w dziwnej, wykrzywionej pozycji. Położył ją na plecach. Jej głowa opadła na bok



i wtedy Zach zobaczył osobliwą ranę tuż poniżej obojczyka. Była okrągła i wyglądała jak skrzyżowanie śladu po ugryzieniu z malinką. Knight nie oddychała. Nie miała też pulsu.

– Mick, natychmiast dzwoń po karetkę! – krzyknął do telefonu.

Rozpoczął reanimację. Pięć wdechów, trzydzieści ucisków. Nic. Pięć wdechów, trzydzieści ucisków. Nadal to samo. Jeszcze raz.

– Zach!

Mick. Wycie syren. Zach uciska, a jego mózg pracuje na najwyższych obrotach.

„Przez ciebie oboje zginiemy, Pół Blasku”.

„Nie kogoś, Zach, tylko c o ś”.

Podbiegli sanitariusze i odsunęli go od niej. Wiedział, że nie zdołają jej pomóc. Ta rzecz, czymkolwiek była, zadbała, żeby Brite Knight nie pisnęła ani słowa. Kiedy osuwała się na ziemię, już nie żyła.

Mick złapała go za ramię. Spojrzał na nią, w oczach miał ocean żalu.

– Powiedziała, że zginie przeze mnie. To moja wina, Mick, moja wina.

– Powoli, partnerze. Co się stało?

– To ją zabiło. Ta rzecz. A ja...

– Zaraz, zaraz. „Rzecz”?

Mick wpatrywała się w niego i czekała na wyjaśnienia.

Musiał jej powiedzieć. Koniec kłamstw i wykrętów.

– Uznasz, że to brednie.

– Przekonajmy się.

Opowiedział jej wszystko, poczynając od pogoni za Knight.

– Usłyszałem coś jak przepychankę. I wtedy ją zobaczyłem. Ją i t o .

– Tę... rzecz?

– Tak. – Stopniowo przypominał sobie szczegóły zajścia, którego był świadkiem. Starał się oddzielać emocje od faktów.

– To było jak ciemna chmura, tylko czarniejsze – stwierdził beznamiętnie. – Z początku myślałem, że to ona, Knight, że to jej sylwetka, ale potem wyraźnie zobaczyłem jej twarz.

Przeszedł go dreszcz na samo wspomnienie.

– Musiała czuć straszliwy ból. Ta rzecz pokrywała ją, przyciskała do ściany... pulsowała energią.

Spojrzenie Mick wyrażało troskę. Zaniepokojenie. Niedowierzenie.

– Jesteś zdenerwowany. To był dla ciebie wstrząs i...

– Niestety – przerwał Mick jeden z sanitariuszy – nie udało nam się jej uratować.

– Wiadomo, co było przyczyną śmierci?

– Stawiałbym na zatrzymanie akcji serca.

– Nie – zaprzeczył Zach. – Została zaatakowana.

Młody sanitariusz zmarszczył czoło.

– Nie zauważyliśmy niczego, co wskazywałoby na przemoc fizyczną. – Przeniósł spojrzenie na Mick. – Brak uszkodzenia ciała, krwotoku, jakichkolwiek ran...

– A ta na prawym barku?

– Niczego takiego nie znaleźliśmy.

– Tuż pod prawym obojczykiem. Okrągła, nieprzyjemna.

Poczuł ucisk w żołądku, widząc spojrzenie młodego człowieka, które mówiło: „Odbiło mu, czy co?”.

– Była tam.

– Proszę pokazać, może coś przeoczyliśmy.

Nie, jednak nie przeoczyli. Szpetny siniak zniknął, skóra w tym miejscu była gładka.

Zach wpatrywał się w nieistniejącą ranę i brakowało mu słów. Sanitariusz poklepał go po ramieniu i rzekł:

– Głowa do góry, detektywie. Światło i cień płatają figle.

Zach odprowadził go wzrokiem „Światło i cień płatają figle”. Dziwne słowa jak na sanitariusza.

– Koroner już jedzie – poinformowała Mick.

– Ta rana tu była, Mick. Widziałem ją na własne oczy.

– Zach, posłuchaj...

- Nie zwariowałem. To nie był zawał serca. Została zamordowana.
- Nikt nie twierdzi, że zwariowałeś.
- Ty tak uważasz, tylko nie mówisz tego głośno.

Odwróciła wzrok.

- To były szalone dni. Zaczekajmy na wyniki sekcji.

# Rozdział 31

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 12:25

Informacja o zniknięciu Patricii Putnam trafiła do mediów w całym kraju. Szczegółów sprawy wprawdzie nie ujawniono, ale Micki domyślała się, że wyciek jest kwestią czasu.

Nie co dzień się zdarza, że ginie dziecko senatora – stąd zainteresowanie prasy, jeden wielki cyrk, z namiotem i pokazami towarzyszącymi włącznie. Major Nichols tak mocno truł jej i Zachowi, że zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś będą mogli spojrzeć mu w oczy. Nie miała do niego pretensji, bo przecież z kolei jemu dziurę w brzuchu wierceili komendant i burmistrz.

Nikt nie przejął się śmiercią wróżki z Dzielnicy Francuskiej.

Nikt poza Zachem.

Dostarczono raport z sekcji zwłok i dla Micki stało się oczywiste, że jej partner jest wariatem. Koroner ustalił bowiem, że śmierć Knight nastąpiła z przyczyn naturalnych. Zatrzymanie akcji serca, tak jak przypuszczał sanitariusz. Knight miała swoje lata i była w złej formie. Koroner zasugerował, że przyczyną ataku serca mogła być ucieczka przed policjantem.

Nie pokrywało się to wersją zdarzeń przedstawioną przez Zacha.

Micki zerknęła w jego stronę. Siedział przy biurku zajęty pracą papierkową. Niewiele rozmawiali od tamtej nocy. To dobrze. Była mu wdzięczna, że dał jej więcej przestrzeni. Że pozwolił przemyśleć pewne sprawy, na przykład to, co powiedział w związku z zagadkową śmiercią Knight – i czego nie powiedział.

Doszła do wniosku, że drugiego jest znacznie więcej, i postanowiła dowiedzieć się, jak wiele Zach przed nią zataił.

Wstała i podeszła do niego. Położyła przed nim raport koronera.

– Czytaj i płacz, Hollywood.

Od razu zabrał się do lektury. Zauważyła, że dostaje wypieków ze złości. Spojrzał jej w oczy.

– Wiem, co widziałem – powiedział. – Knight nie dostała ataku serca.

– Zbadał ją lekarz sądowy. Nie znalazł niczego, co wskazywałoby na przyczyny śmierci inne niż naturalne.

– Nie twierdzę, że nie umarła wskutek zatrzymania akcji serca, ale to, co je spowodowało, zdecydowanie nie było naturalne.

Ściszyła głos.

– A sprawcą był pulsujący energią cień, który próbował połknąć Knight. Uniósł cię i cisnął tobą na drugą stronę ulicy.

– Wiem, że to brzmi jak majaczenie świra. Ale mam dowód. – Podniósł koszulkę i pokazał siniaki na boku.

Mógł się pochwalić pięknie wyrzeźbionym kaloryferem, na podziwianie którego Micki z chęcią przeznaczyłaby nieco więcej czasu, gdyby nie to, że była w pracy.

– I to ma być dowód? Przecież mogłeś je sobie nabić gdziekolwiek.

– Ale nie nabiłem. – Wydał dźwięk świadczący o złości i frustracji. – Brite Knight została zamordowana, a my tu sobie siedzimy, zamiast łapać sprawcę.

– Co zatem proponujesz? Federalni przejęli sprawę, tobie pod żadnym pozorem nie wolno ujawniać swoich supermocy, a mnie trudno zaufać partnerowi, który nie gra ze mną fair.

– Nie rozumiem.

Założyła ręce na piersi.

– Czego?

– Tego o graniu fair.

– Nie wnerwiał mnie.

Patrzyła mu prosto w oczy, chcąc chyba spojrzeniem zmusić go do tego, by zachował się jak mężczyzna i przyznał, że nie był z nią do końca szczery.

Zawahał się, na co prychnęła z odrazą.

– Podobno Knight powiedziała, że przez ciebie zginie. Kiedy konkretnie to od niej usłyszałeś?

– Liczyłem, że nie zauważysz w całym tym ferworze...

Nie rozśmieszyła jej ta próba nadania lekkości rozmowie.

– Po pierwsze, ja widzę wszystko. Po drugie, lód, po którym stąpasz, jest cholernie cienki. Odpowiadaj, Hollywood. Mów wszystko i nie wciskaj kitu.

– Nie tutaj – odparł cicho. – Chodźmy do pokoju przesłuchań.

Zamknął za nimi drzwi. Zaczekała, czy zechce usiąść, czy będzie wolał rozmawiać na stojąco. Kiedy jednak usiadł, zajęła drugie wolne krzesło i spojrzała Zachowi prosto w oczy.

– Czekam.

Pokiwał nieznacznie głową i zaczął:

– Tego dnia, kiedy szukałaś w sieci znaczeń cyfry siedem, pojechałem do Knight.

– Po co?

– Czułem, że coś mnie do niej ciągnie. – Zamilkł na chwilę. – Chociaż kiedy wychodziłem, wcale nie wybierałem się do niej, chciałem po prostu pospacerować i wszystko sobie przemyśleć.

– I przypadkowo trafiłeś na jej ulicę? Do Esplanade jest kawał drogi.

– Nie, zaniósło mnie na plac Jacksona. Zatrzymałem się przed miejscem, w którym rozkłada stragan, i nagle uświadomiłem sobie, że muszę jak najszybciej z nią porozmawiać.

– Dlaczego?

– Wiedziałem, że kłamię w sprawie Miller. Zobaczyła coś, co ją wystraszyło. Chciałem się przekonać, co wzbudziło w niej strach. Uznałem, że o b o j e powinniśmy to wiedzieć.

– Oboje – powtórzyła. – Cóż za ironia.

Skrzywił się, słysząc sarkazm w głosie partnerki.

– Nie był to jedyny powód. Zależało mi na rozmowie z nią, bo... trudno to wyjaśnić...

– Śmiało, Hollywood. Jesteś jedynym, który może mi to wytłumaczyć.

Powoli wypuścił powietrze. Na jego twarzy malowało się coś, czego Micki nigdy wcześniej u niego nie widziała: zwątpienie i brak pewności siebie.

– Dotknąłem jej dłoni i nie odebrałem żadnych sygnałów. Kompletnie nic.

Micki czekała, targana sprzecznymi emocjami: była wkurzona i zafascynowana; pełna wątpliwości i urzeczona.

– Powiniennem coś wyczuć, cokolwiek – mówił dalej. – Ale ona była jak... wyschnięty kanał. Wytrąciło mnie to... Zacząłem się zastanawiać.

– Nad czym?

Odwrócił wzrok.

– Czy Knight jest człowiekiem.

– Dobrze usłyszałam?

Ponownie popatrzył jej w oczy.

– Owszem, dobrze.

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. Mówił śmiertelnie poważnie. Była o tym przekonana, zobaczyła to w jego nieruchomym spojrzeniu i zaciśniętych ustach.

– Czyli znaleźliśmy się po drugiej stronie tęczy.

– Też tak pomyślałem. – Podrapał się po brodzie. – Zapamiętałem jej adres i poszedłem tam. Zapukałem, otworzyła, nie była zadowolona z moich odwiedzin, ale zmusiłem ją, żeby ze mną porozmawiała.

– Wtedy powiedziała ci o świetle i ciemności?

– Tak – przyznał i uśmiechnął się smutno. – Naprawdę nic ci nie umknie.

Niech mu się nie wydaje, że odwróci moją uwagę komplementami, pomyślała.

– I co potem? Wskoczyli Strach na Wróble z Tchórzliwym Lwem?

– Powiedziała, że ciemność jest zachłanna, a światło ulotne.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia.

– Nie kręć, Hollywood.

Zach pokręcił głową.

– Parker też mówi, że nie wie, o co chodzi.

– Wierzysz mu?

Zawahał się.

– Nie. Ale nie mam jak udowodnić, że mnie zwodzi.

– Mów dalej.

– Knight była wyraźnie zdenerwowana i nie chciała ze mną rozmawiać.

Kiedy się sprzeciwiłem, nazwała mnie aroganckim...

– Wreszcie ktoś powiedział prawdę!

– Tak myślałem, że ci się spodoba. Nazwała mnie aroganckim Pół Blaskiem.

– „Pół Blask” – powtórzyła, marszcząc brwi. – Wyjaśniła, co to znaczy?

– A jak sądzisz?

– I dodała, że przez ciebie zginie.

– Dokładnie rzecz biorąc, stwierdziła, że przeze mnie o b o j e zginie.

Jedno już jest martwe.

Micki wyczuła niepokój w jego głosie. Potrząsnęła głową.

– Miała atak serca. To nie twoja wina, partnerze.

Zignorował ją i mówił dalej:

– Zaprzeczyła, jakoby cokolwiek wiedziała o Miller, i zamknęła mi drzwi przed nosem.

– Kłamała.

– Też tak pomyślałem. Moje przypuszczenia potwierdziły się, kiedy zadzwoniła w sobotę wieczorem i powiedziała, że porwanym dziewczynom grozi niebezpieczeństwo.

– I że wie, gdzie znaleźć Gomez.

– Tak.

Micki się zafrasowała. Słowa Knight łączą ze sobą trzy zaginione osoby i potwierdzają słuszność domysłów Zacha, że Gomez udało się uciec



porywaczowi.

Trzy dziewczyny. Nie dwie.

Zach miał słuszość, ale to oczywiste, bo przecież wykorzystał poufne informacje.

Wyprostowała się. Wykorzystał poufne informacje. Było to sprzeczne z jej etyką, z zasadami, których twardo się trzymała. My kontra oni. Dobro przeciwko złu.

Rodzina.

– Dlaczego to przede mną zataiłeś?

– Co takiego?

– Wszystko.

Rozłożył dłonie.

– To skomplikowane.

– Wcale nie. Powinno być proste. Przecież jesteśmy partnerami.

– Wydawało mi się wtedy, że to... – zawahał się – ...dotyczy wyłącznie Szóstek.

Miała wrażenie, jakby jego słowa zawisły na chwilę w powietrzu, po czym z hukiem spadły na podłogę. Poczowała, że czerwieni się ze złości.

– Nie gramy w jednej drużynie – wycodziła w końcu.

Był nieswój.

– Tego nie powiedziałem.

– To prawda, zawsze uważnie dobierasz słowa. Liczy się jednak to, co robisz. „Odgrywasz” mojego partnera, ale działasz za moimi plecami.

– Nie rozumiesz.

– Masz rację, nie rozumiem. – Wstała wściekła i zraniona; tego pierwszego się chwyciła, to drugie odsunęła od siebie. – Jesteśmy partnerami albo nie jesteśmy. Gramy w jednej drużynie albo nie gramy. Można ci ufać albo nie można.

– W moim świecie nic nie jest czarno-białe. Przez kilka ostatnich dni liczba odcieni szarości zdecydowanie wzrosła.

– Twoje słowa świadczą o tym, jak bardzo jesteś pobłażliwy wobec

samego siebie. Życie rządzi się zasadami, Hollywood. Istnieją pewne granice, których nie należy przekraczać.

– To twoje zasady, Mick. I twoje granice.

– Wobec tego powiedz, czym kierujesz się w życiu – odparowała. – Po co żyjesz? A nie, poczekaj, już wiem. Żyjesz dla siebie.

– Spójrz najpierw na siebie – wycedził. Przebiła się przez jego fasadę niefrasobliwego czarusa. Jaka ciemność się pod nią kryła?

– Biedny superbohaterek. Zawsze dostawał to, czego chciał. Och, serce mi pęka.

Na chwilę zastygł, po czym w dwóch krokach znalazł się przy niej.

– Chcesz to usłyszeć? Całą prawdę?

– Nie myśl sobie, że to jakaś gra.

– Ani mi się śni.

Był wściekły, ale od niej też biła złość. Spojrzała mu wyzywająco w oczy. I natychmiast zrozumiała swój błąd.

Nie potrafiła odwrócić wzroku. W jego intensywnie niebieskich oczach było bowiem coś nieskończonego jak letnie niebo i głębokiego jak ocean.

Magnetyzm. Połączenie dwojga ostatnich ludzi na świecie. Związek wykraczający poza cielesność i materialność. Pozbawiony granic. Doskonały.

Przeszedł ją dreszcz i wyrwał z osłupienia. To te jego czary-mary, uzmysłowiła sobie. Moc, której używa, aby podporządkowywać sobie innych. Wyciskać z nich ckliwy sentymentalizm.

Obiecał, że nigdy nie wykorzysta swoich zdolności przeciwko mnie, pomyślała. No już, Micki, odwróć wzrok. Uwolnij się!

Zmobilizowała całą siłę woli i choć to bolało, zerwała połączenie.

Zrobiło jej się najpierw gorąco, a potem zimno. Poczwała się porażająco samotna.

– Ty sukinsynu – wycharczała. – Dałeś słowo, że mi tego nie zrobisz.

– Chciałem, żebyś skupiła na mnie całą swoją uwagę.

– Zawsze masz jakąś wymówkę, Hollywood. Jak myślisz, teraz ile jest

warte dla mnie twoje słowo?

– Kiedy pojechaliśmy do domu Putnam, zadzwonił do mnie Parker – odezwał się łagodnie. – W sprawie zaginionych. Mówił o tym, kto je porwał.

– Zamilkł na chwilę. – Właśnie w tym cała rzecz, Mick. Nie „kto”, a „co”.

Nie pozostało to bez echa. Zamrugła szybko i zmrużyła oczy.

– Chcesz przez to powiedzieć...

– Właśnie tak. Nie pasuje do twojego czarno-białego świata, prawda?

Przekracza granice, które sobie wyznaczyłaś.

Czarne.

I białe.

Potrząsnęła głową, starając się odzyskać równowagę. Oczyścić umysł. Skupić się. Zrobiła krok do tyłu.

– Muszę stąd wyjść.

– Po tym, co zobaczyłem tamtej nocy, gdy zginęła Knight, jestem skłonny uwierzyć Parkerowi. Ta rzecz ją zabiła. A w domu Putnam chciała dopaść mnie.

„Nie kto”.

„Co”.

Odwróciła się do wyjścia. Złapał ją za rękę.

– Uciekasz, Mick? Myślałem, że chcesz dołączyć do mojej drużyny.

Zadrzała.

– Zabierz rękę.

– Żadnych granic. Wszystkie odcienie szarości. Tak wygląda mój świat, Mick. Nadal chcesz być jego częścią?

Jego dłoń parzyła. Gorąco przenikało aż do głębi, kręciło się od niego w głowie, sprawiało, że myśli wirowały jak karuzela na spidzie.

Próbowała wymyślić jakąś sarkastyczną ripostę. Coś ciętego i zjadliwego. Coś w stylu Wściekłego Psa.

Nic jej jednak nie przychodziło do głowy. Nic zupełnie, oprócz mętliku.

– Wychodzę – oznajmiła, uwalniając się z uścisku Zacha.

# Rozdział 32

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 13:40

Kiedy Zach odprowadzał Micki wzrokiem, towarzyszyła temu gonitwa myśli w jego głowie. Szum krwi w skroniach niczym przebudzenie. Nowe życie. Pulsowanie. Połączenie.

Poczuł siłę jej złości i głębię zdrady, której się dopuścił. Niezwykłą potęgę jej woli. I coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać.

„Zawsze masz jakąś wymówkę, Hollywood. Jak myślisz, ile jest teraz warte dla mnie twoje słowo?”.

Rozumiał to. Naprawdę. Ale czy ona rozumiała jego wyjątkowe położenie? Owszem, pominął ją i działał bez jej wiedzy, ale przecież starał się godzić interesy dwóch agencji, musiał być lojalny wobec dwóch zwierzchników i funkcjonował niejako w dwóch światach. Jednym –ludzkim i drugim – zamieszkanym przez pulsujący morderczy cień.

To chyba wystarczająco dużo wymówek.

Rozzłoszczony swymi przemyśleniami wziął kurtkę i wyszedł z pokoju przesłuchań. Wpadł prosto na J.B.

– Powoli, Hollywood. Gdzie się pali?

– Przepraszam. – Chciał go wyminąć, ale zanim zdążył to zrobić, J.B. położył mu rękę na ramieniu.

– Widziałem, że twoja partnerka wyszła zła jak osa. Kłótnia kochanków?

– Spadaj, J.B.

– Oho, trafiłem w czułe miejsce.

Zach strącił jego dłoń.

– Żłób z ciebie.

– Dzięki, żeś zauważył! – zawołał za nim J.B.

Zach go zignorował. Podszedł do biurka Sue.

– Dostałem cynk. Spotkam się z Mick na miejscu.

Wyszedł na korytarz i po chwili był już na zewnątrz. Od razu wyczuł energię, ale nie tę mroczną, którą próbowali namierzyć, lecz gwar, ten sam, który wdarł się do jego głowy pierwszego dnia pobytu w Nowym Orleanie. Gwar, hałas, ryk.

Zaskoczył go tak, że Zach aż przystanął. Opływało go morze przechodniów. Większość nie zwracała na niego uwagi, niektórzy posyłali mu pełne irytacji spojrzenia.

Potrząsnął głową i spróbował się skupić. Zdusić tę energię, opanować chwilową panikę, stłumić ryk.

Kiedy w końcu mu się udało, ruszył w stronę placu Jacksona. Dlaczego akurat teraz?, zastanawiał się. Co to oznacza?

Uchwycił swoje odbicie w witrynie sklepowej i znów się zatrzymał. Niewyraźny refleks, rozmyty cień.

„Ile jest teraz warte dla mnie twoje słowo?”.

No ile? Dla niej. Dla każdego. Odbicie zdawało się przywoływać go do siebie. Zbliżył się. Wyteżył wzrok. Chciał wiedzieć. Ile jest wart? I ki m właściwie jest?

Usłyszał stukanie w szybę i odskoczył. Sprzedawczyni. Pokazuje, żeby sobie poszedł. Patrzy na niego, jakby był niespełna rozumu albo naćpany. Odwrócił się i odszedł zawstydzony. Może jednak nie jest materiałem na superbohatera. Może powinien pozostać przy tym, co potrafi najlepiej?

Korzystać z daru po to, by prowadzić dobre życie. Iść po linii najmniejszego oporu. Odejść z Szóstek. Opuścić to piękne, stare miasto pełne psychicznych zakłóceń, zabójczej energii oraz drażliwych partnerek, które domagają się lojalności i nieprzekraczania granic.

Zabuczał telefon. Parker. Miał ochotę go zignorować, ale wiedział, że nie ukryje się przed agentem.

– Halo.

– Co ty wyprawiasz?

– Śnię sen o Kalifornii.

– To się obudź. Nie stać cię na taki luksus.

– Wal się. Słyszałeś, że Brite Knight nie żyje?

– Tak.

– To moja wina. Powiedziała, że przeze mnie zginie. I stało się.

– Ach, więc stąd to uzalanie się nad sobą.

Odebrał psychiczne wibracje Parkera.

– Myślisz, że wiesz, co mi siedzi w głowie? Nie bądź taki pewny.

– Gdzie jesteś?

– Przed Ósemką. A ty?

– Na lotnisku. Wylądowałem przed dziesięcioma minutami.

– Patolog stwierdził, że Knight zmarła śmiercią naturalną. Dostała ataku serca.

– Słyszałem.

– Obaj wiemy, że to bzdura.

– Czyżby?

– Byłem tam. – Zamilkł na chwilę. – Widziałem to, Parker. Tę rzecz, która ją zamordowała.

W słuchawce zapadła długa cisza.

– W takim razie musimy porozmawiać.

– Musimy. Chcę, żeby była przy tym Mick.

– To nie jej działka.

– Jest moją partnerką.

– Tylko w sprawach, którymi zajmuje się Ósemka. We wszystkich innych twoim partnerem jestem ja. Powinieneś zachowywać się lojalnie w stosunku do mnie i Szóstek.

– Przykro mi, Parker, ale nie ma mowy.

– Słucham?

– Słyszałeś. Pracuję z nią ramię w ramię. A ty co? Latasz po świecie.

– Harris, ona nie może się o tym dowiedzieć. Jeszcze nie teraz.

– Wobec tego kiedy?

– Kiedy przyjdzie pora.

– Czyli? Domyślam się, że nigdy. – Podniósł głos. Zorientował się, że ludzie na niego patrzą, i dodał ciszej: – Znowu kręcisz, Parker.

– Mówimy o sprawie dużo poważniejszej niż foch detektyw Dare. To coś ważniejszego nawet od Szóstek.

Słyszac to, Zach się zatrzymał. Ważniejsze od programu Szóstek? Od ukochanego dziecka Parkera?

– Jak to?

– Wkrótce się dowiesz.

– To coś próbowało mnie zabić. Musimy się jak najprędzej zobaczyć.

– Po południu mam jeszcze jedno spotkanie. Umówmy się w pół do ósmej.

– Gdzie?

– U ciebie. Bo mogę się spóźnić.

– I wtedy powiesz mi wszystko?

– Powiem ci tyle, ile mogę.

– No chyba lecisz ze mną w...

Parker się rozłączył.

– Szlag! – rzucił Zach do głuchej słuchawki i schował telefon.

Parker od samego początku – od kiedy poznali się w barze – wodził go na sznurku. Dozował informacje. Drażnił się z nim, trzymał w niepewności.

Że niby byli partnerami. I co jeszcze! Partnerzy dzielą się wiedzą, osłaniają się nawzajem, tworzą więź opierającą się na lojalności.

Jakby słyszał słowa Mick. Przywiązanie. Lojalność. Oddanie. Czemuś, komuś, nie tylko samemu sobie.

No proszę!

# Rozdział 33

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 15:05

Micki zaparkowała przed budynkiem, w którym mieszkała Jacqui. Siedziała w aucie z włączonym silnikiem. Tylnie siedzenie starego rzęcha, którym chwilowo jeździła, było wyładowane zakupami z pobliskiego sklepu. Wybrała podstawowe produkty, te zawsze mogą się przydać, a także ulubione dania i przekąski Alexandra: gotowy makaron z serem, kurczakowe nuggetsy, krakersy i markizy.

Jacqui nie będzie zadowolona zwłaszcza z tej ostatniej pozycji.

Ale przecież każde dziecko potrzebuje w życiu dorosłego, który rozumie, jak ważne jest zjedzenie deseru przed obiadem.

Wbiła spojrzenie w odległy punkt za szybą wozu. Scysja z Zachem – jeśli w ogóle można tak nazwać tę osobliwą wymianę zdań – wytrąciła ją z równowagi. Wszystko, co się wydarzyło: od niestworzonych historii Zacha – mordercza energia nie z tego świata! – przez złość na jego dwulicowość po szokującą reakcję na spojrzenie i dotyk partnera sprawiło, że straciła grunt pod nogami.

Czuła, że niewiele brakuje, a wybuchnie jak szybkarz z zatkanym otworem do odprowadzania pary.

Wyszła z komendy, nikomu nic nie mówiąc. Niech tym razem to hollywoodzki Houdini poskłada sobie tropy do kupy. Potrzebowała czasu, żeby pomyśleć i oddzielić fakty od odczuć. Uspokoić się. Jej czarno-biały świat runął. Pragnęła go odbudować. Zatęskniła za bezpieczeństwem i wygodą, które zapewniał.

Za fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Jedno wielkie kłamstwo.

Na ulicach grasuje coś, co potrafi bez śladu odebrać życie. Będzie



musiała uznać to za prawdę, jeżeli postanowi uwierzyć partnerowi, człowiekowi, który udowodnił, że jest zarówno kiepskim gliniarzem, jak i zdolnym kłamcą.

Ale nie wariatem, pomyślała. Ani oszustem. Przez tydzień poznała go na tyle, by wiedzieć, że nie może go całkiem skreślić.

Uwierzyć w kłamstwo? Trzymać się go, bo jest bezpieczne? Czy raczej stawić czoło prawdzie, jakkolwiek szokująca by była?

– Jak myślisz, Hank? – spytała na głos. – Jak ty byś postąpił na moim miejscu?

Stukanie w szybę od strony kierowcy wyrwało ją z zamyślenia. Jacqui. Olśniewająco białe zęby na tle hebanowej skóry. Troska w spojrzeniu nie współgrała z promiennym uśmiechem.

Do diabła, przecież przyjaciółka doskonale ją zna.

– Co się dzieje? – zapytała Jacqui, kiedy Micki otworzyła drzwi. – Mówisz do siebie.

– Tak? – Micki wysiadła, przytuliła przyjaciółkę na powitanie i pokazała kciukiem na tylne siedzenie samochodu. – Przywiozłam prezenty.

Jacqui zajrzała do środka i zmarszczyła czoło.

– Zakupy? Mick, przecież mówiłam, że nie musisz już tego robić. Jestem ci wdzięczna, naprawdę, ale Alexander i ja nieźle sobie radzimy.

Micki otworzyła tylne drzwi i zaczęła podawać Jacqui torby.

– Robię to, bo chcę. I sprawia mi to przyjemność. Kto wie, może to jedyna rzecz, dzięki której nie pójdę do piekła.

– Nie doceniasz siebie, Mick.

– Może masz rację. – Błysnęła uśmiechem. – Nie ma tak wielkiego dobrego uczynku, który pozwoliłby mi przekroczyć bramy raju.

Jacqui pokręciła głową.

– Wiem, że obie będziemy sączyły kawkę na rajskich błoniach, i nic nie zmieni mojego przekonania.

Obładowane torbami poszły do budynku.

– Gdzie Alexander?

– Śpi. Miał dzisiaj spotkanie z kolegami. Było pływanie, potem piknik i znowu pływanie.

– Padł wykończony.

– A żebyś wiedziała. – Wychodząc po Micki, Jacqui zostawiła drzwi uchylone, więc teraz tylko pchnęła je biodrem i otworzyła na całą szerokość. Położyła palec na ustach i nadstawiła uszu. Na szczęście mały nadal spał.

Weszły do małej, ale praktycznej kuchni Jacqui i dziewczyna zaczęła wypakowywać zakupy.

– Zobaczyłam ten dziwny samochód przed domem i aż nie mogłam uwierzyć, że to ty. Co to za złom?

– Policyjny, zastępczy. Chevrolet trafił do warsztatu. Został ranny w akcji.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Otworzyła markizy, wzięła jedną i poczęstowała Micki.

– Nie bardzo – odparła Micki, zdając sobie sprawę, że brzmi równie ponuro, jak wygląda.

– Czy to miało coś wspólnego z tym twoim piękniśm z mocami?

Micki o mało się nie zakrztusiła ciastkiem.

– Co powiedziałaś?

– Piękniś. Z mocami.

– Skąd ci przyszło do głowy takie określenie?

– Sama go użyłaś. – Jacqui podeszła do lodówki i zaczęła chować produkty o krótszej trwałości. – Parę dni temu. Kiedy zadzwoniłam.

Rzeczywiście, przypomniała sobie Micki. Rzuciła taki komentarz na słowa majora Nicholisa o tym, że Zach wpada w oko. Jak mogła być tak nieuważna?

– Zapomnij, że to powiedziałam, Jax. Gadałam głupoty.

Jacqui uniosła brew i zajęła się pozostałymi produktami.

– Nie jest ładny?

– Nie.

– Ma moce?

– Jedną: wybitnie działa na nerwy. – Zamilkła. Potem spojrzała na przyjaciółkę i powtórzyła: – Zapomnij, co wtedy ode mnie usłyszałaś, dobrze?

– Skoro tak chcesz.

– Tak, to ważne.

Rozpakowawszy torby, Jacqui przeniosła ciastka na nieduży, okrągły stolik.

– Usiądź. Napijesz się czegoś? Wody?

– Poproszę.

Kilka chwil później Jacqui usiadła naprzeciwko Micki.

– No, to kim on jest? Ten facet?

– Moim nowym partnerem.

– Co?! – Tym razem to Jacqui prawie się zakrztusiła. – Ale Carmine...

– Dostał awans.

– Kiedy to się stało?

– Właśnie się stawało, kiedy zadzwoniłaś.

– Kurczę, Mick. Wiedziałaś o tym?

– Nie. Oboje nas zaskoczono.

– Do bani.

– Nawet nie masz pojęcia – mruknęła Micki i sięgnęła po szklanę. Lód zadzwonił o szkło.

– No i?

– Co?

– Jaki on jest? Poza tym, że ładny.

Żałowała, że nie może powiedzieć przyjaciółce całej prawdy. Miała to na końcu języka. Poczwałyby się znacznie lepiej, gdyby wyrzuciła to z siebie. Ale niestety, rozkaz to rozkaz.

– Jest spoza policji nowoorleańskiej.

– U! Diabeł wcielony – skomentowała Jacqui.

– Śmieć się, śmieć. Ale ten gość to prawdziwy wrzód na dupie. Wiesz, to jeden z tych w typie kowboja.

– Co, nie lubisz, jak ktoś wkracza na twoje terytorium?

– Jestem graczem zespołowym, Jax.

– O ile gra toczy się według twoich reguł.

Zabolało.

– Dzięki, Jax, za miłe słowa.

Przyjaciółka nie dawała się wciągnąć do zabawy pod tytułem „poużalajmy się nad Micki”.

– Chcesz powiedzieć, że on nie potrafi grać w zespole?

– Tak. Wiesz, jak ważne jest zaufanie między partnerami. Muszę mieć absolutną pewność, że mogę na niego liczyć. W tym przypadku tak nie jest.

– Zaufanie działa w obie strony.

– Wiele razy udowodniłam mu, że może mi zaufać. Przez niego rozbiłam chevroleta. Musiałam poświęcić auto, żeby uratować go po tym, jak zachował się niczym tępy kowboj.

– A ty nigdy nie dałaś ciała?

– Nie o to mi chodzi. – Poirytowana wzięła szklanekę i zaniósła ją na blat. – Sądziłam, że przynajmniej spróbujesz mnie zrozumieć.

– Staram się. Ale też pamiętam, jak z początku narzekałaś na Carmine’a.

– Wcale nie.

Jacqui roześmiała się cicho.

– Jest jak słoń w składzie porcelany – powiedziała, naśladując Micki. – Rusza się jak żółw. Muszę mu dwa razy powtarzać. To takie denerwujące!

Micki skrzywiła się, przypominając sobie te i inne narzekania.

– Dzięki, że bierzesz moją stronę.

– Nie wiedziałam, że mam stanąć po czyjejś stronie. – Jacqui popatrzyła przyjaciółce w oczy. – Czy jest coś, czego mi nie mówisz, Micki?

– Nie, nic. – Odwróciła głowę, ale po chwili spojrzała na Jacqui. – Uważasz, że jestem zbyt sztywna?

– W jakim sensie?

– W sposobie myślenia o świecie. I o tym, jak powinien działać.

– Masz zdecydowane poglądy na to, czego oczekiwać od innych i od

siebie. Na to, co jest dobre, a co...

– ...złe – dokończyła Micki, myśląc o odcieniach szarości, o których mówił Zach. – Jestem czarno-białą dziewczyną.

– Nie ma w tym niczego niewłaściwego. – Jacqui zmarszczyła czoło. – Dlaczego pytasz? Czy to ma coś wspólnego z twoim nowym partnerem?

– Nie, po prostu przemawiają przeze mnie hormony.

Usłyszały tupot małych stóp i w drzwiach stanął Alexander. Miał pomarszczony od snu policzek i zmierzwioną jasnobrązową czuprynę.

Kiedy zobaczył Micki, wydał okrzyk zachwyty:

– Ciocia Myska!

Podbiegł do niej, a ona wzięła go na ręce. Zanim urodził się Alexander, nie ogarniała fenomenu dzieci. Nie pojmowała, jak z pozoru stabilni emocjonalnie dorośli mogą tracić głowę dla tych małych stworzeń.

Teraz już rozumiała.

Posiedziała u Jacqui jeszcze godzinę. Nie rozmawiały już o problemach Micki z partnerem, lecz skupiły się na Alexandrze.

Potem przyjaciółka odprowadziła ją do drzwi.

– Wiesz, gdzie możesz mnie znaleźć, jeżeli będziesz mnie potrzebowała.

– Na pewno sobie poradzę.

– Pamiętaj, Micki: zaufanie działa w obie strony.

Pokiwała głową, wyszła z mieszkania, ale nagle zatrzymała się i odwróciła.

– Jax?

– Tak?

Otworzyła usta, żeby powiedzieć, że ją kocha, że ona i Alexander są najważniejszymi osobami w jej życiu i że nie wie, co by bez nich zrobiła. Ale zamiast tego powiedziała tylko:

– Dziękuję. Potrzebowałam tego.

– Wiem. – Jacqui się uśmiechnęła. – Ja też cię kocham.

Micki poszła do samochodu, usiadła za kierownicą i zatopiła się w myślach. Zakończyła tę wizytę tak, jak ją rozpoczęła.

Czarne i białe. Czarne plus białe.

Odcienie szarości.

Istnieją. To wszystko możliwe. Włączyła silnik i nagle pomyślała o Alexandrze. Czarne i białe. Jakże cudowny odcień powstał ze zmieszania tych dwóch kolorów.

Pokręciła głową i ruszyła. Micki, spójrz w oczy prawdzie, pomyślała, jakkolwiek szalona i przerażająca by była.

Zrób to teraz.

# Rozdział 34

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 17:55

Micki skręciła w swoją ulicę, leżącą w części miasta zwanej Riverbend. Pomimo upału kilkoro jej sąsiadów siedziało na werandach albo schodkach prowadzących do domów i smażyło się na słońcu. Uśmiechali się i machali do niej zadowoleni, że w najbliższej okolicy mieszka policjantka. Nie była zresztą jedyna – ulicę dalej swój dom miała jej koleżanka z komendy, Stacey Killian. Wiedziała, że Micki szuka nowego lokum, i poinformowała ją o wolnej nieruchomości, gdy tylko agent wbił przed domem tabliczkę „na sprzedaż”.

Riverbend znajdowało się w jednej z lepszych dzielnic miasta i przylegało do zakola Missisipi, które od zachodu obejmowało śródmiejską część Nowego Orleanu. Leżało na wzniesieniu, dlatego nie ucierpiało od powodzi po ataku Katriny. Huragan, jak na ironię, przyczynił się do rozwoju okolicy, młodzi przedstawiciele wolnych zawodów zaczęli bowiem wykupować rozpadające się rudery na wynajem i remontować je. Micki miała szczęście, że udało jej się wtedy podpiąć pod ten trend.

Jej dom miał sto lat, był zbudowany w amfiladzie i przechodził nieustający remont – typowa skarbonka bez dna. Ale Micki uwielbiała go niemal tak, jak swojego chevroleta.

Wiedziała, że Zach już na nią czeka. Nie potrzebowała do tego specjalnych zdolności. Po prostu przysłał jej wiadomość.

*U ciebie. Musimy pogadać.*

Tak, to akurat prawda.

Zaparkowała swój złom obok jego niemal identycznego rzęcha, który stał na wąskim żwirowym podjeździe przed domem. Zach siedział na

najwyższym stopniu niewielkiego ganku, w cieniu lagerstremii. Towarzyszył mu miejscowy bezpieczni dachowiec w tygrysie pasy; kotka, bo to była ona, wyglądała jak pomarańczowo-biały sfinks.

Micki wysiadła z auta i podeszła do schodków.

– Skąd masz mój adres?

– Od Sue.

– No jasne. Napaliła się na ciebie.

– Wiem.

– Ależ oczywiście, że wiesz. – Wyjęła klucze. – Może wejdziemy do środka.

– Wolałbym posiedzieć tutaj, jeśli ci to nie przeszkadza. Ładne popołudnie, upał jakby lżejszy.

– Chyba ci odbiło, Hollywood. Jest parno i robaczywie. Ale jak chcesz... Posuń się.

Usiadła obok. Dotknęła go ramieniem i poczuła bijące od niego ciepło. I coś jeszcze, coś magnetycznego. Magicznego.

Skrzywiła się do swoich myśli i odsunęła się o kilka centymetrów.

– Ma jakieś imię? – spytał Zach, pokazując na kotkę.

– Nie jest moja. Kręci się po okolicy.

– Ale pewnie jakoś ją nazywasz.

– „Kotka”.

– Hm, oryginalnie.

Zwierzę spojrzało na nią wyniośle, zupełnie jakby chciało dać do zrozumienia, że zgadza się z komentarzem Zacha.

– Czy twoje zdolności obejmują umiejętność porozumiewania się ze zwierzętami?

Roześmiał się.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A co?

– Bo widzę, że ty i kotka doskonale się rozumiecie.

– Naprawdę? – Podrapał zwierzaka za uchem, ten zaś otarł się o jego dłoń i zaczął mruczeć.



– Nigdy nie widziałam, żeby pozwalała się tak... – Nagle uświadomiła sobie, o co chodzi, i wybuchła śmiechem.

– Co cię tak śmieszy?

– Ty i kobiety, Harris. Wiek i... gatunek nie mają znaczenia. Nie potrafią ci się oprzeć.

– Ty jesteś wyjątkiem.

Uśmiech Micki przygasł. Odwróciła wzrok. Z początku tak było, ale jej opór z każdym dniem słabł.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wchodzę w to.

– Wchodzisz?

– Do końca. W całą tę stukniętą historię. W pulsujące chmury śmierci. W to, że nie wiadomo, skąd wiesz różne rzeczy, i że jakimś cudem ze wszystkiego wychodzisz czysty jak łąza, a ja trafiam na YouTube w kompromitującej pozie.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała go gestem dłoni.

– Ale stawiam warunki, inaczej się nie da. Szczerłość. Przejrzystość. Szacunek. I zaufanie.

– Mick...

Ponownie nakazała mu milczenie.

– Pozwól mi dokończyć, zanim znów mnie wnerwisz jakąś kulawą wymówką. Muszę wiedzieć, że mogę ci całkowicie zaufać. Dasz słowo, że absolutnie nigdy nie wykorzystasz na mnie tych swoich sztuczek magiczek, i dotrzymasz go. Odpłacę ci zaufaniem. Wejdę w to.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Oddaję ci głos.

– Potrzebuję cię, Mick. Potrafisz robić rzeczy, o których ja nie mam pojęcia. Gdyby nie ty, byłbym już trupem. – Nie czekał, aż przyzna mu rację. – Niepotrzebnie wypchnąłem cię poza nawias. Kłamałem – dałem ciała na całej linii. I jeszcze ten urok... to był błąd. No, ale stało się. To moja flagowa sztuczka, trik, który wykorzystuję od tak dawna, że... stał się

jak odruch.

– Kiedy nie możesz postawić na swoim.

– Kiedy chcę postawić na swoim.

– Czyli co?

– Nie potrafię obiecać, że odruch nigdy się nie włączy. Mogę za to przyrzec, że nigdy nie uruchomię go w świadomy sposób, a nawet jeśli zacznie działać automatycznie, natychmiast go stłumię. Czy taka szczerość i przejrzystość ci wystarczy?

– Zmierzasz w dobrym kierunku.

– Ale?

– To było odrażające, Harris. Czekałam, aż znów się włączy ten twój... odruch.

– Odrażające? – Speszony podrapał się po brodzie. – Jeszcze nigdy nie podziałam na kobietę w taki sposób...

– A może podziałeś, tylko nie wiesz o tym?

Roześmiał się, a potem pokręcił głową.

– Racja.

– No dobrze, to chyba już ustaliliśmy, że nie reaguję na ciebie tak jak większość kobiet.

– Mam wrażenie, że Parker i spółka wiedzieli o tym, kiedy mnie z tobą parowali.

– Niby skąd?

– Nie mam pojęcia. Może powinniśmy go o to zapytać?

– My?

– Owszem, ty i ja. Partnerzy. Spotykam się z nim o wpół do ósmej.

– Dzisiaj? – Zerknęła na zegarek. – Jest siódma.

– Aha. Wchodzisz w to?

– O tak. Wchodzę.

– Tak przypuszczałem. – Potarł dłonie o siebie. – Nie będzie łatwo. Parker uprzedził, że nie będzie z tobą rozmawiał.

– Zaskoczę go.

- Kogoś takiego jak Parker nie da się zaskoczyć.
- Jest agentem FBI – i co z tego? Ja też mam zdolności.
- Mick, on jest wyjątkowy.
- Co chcesz przez to... – Nagle ją olśniło. – Jest taki jak ty. To Szóstka.
- Jedna z pierwszych. Ma bardzo wrażliwe zmysły. Wyczuje cię, zanim zdołasz się do niego zbliżyć.
- Gdzie się umówiliście?
- U mnie, w Marigny.
- Zaczekam w mieszkaniu, schowam się. Albo będę...
- Wyczuje cię.
- To może przez telefon, tak jak wtedy z Knight...
- Wyczuje cię – powtórzył Zach. – Już raz to zrobił.
- Poważnie? A to sukinkot. – Pokręciła głową. – Masz jakiś pomysł?
- Wziąć go bezpośrednio i zaskoczenia.
- Czy jedno z drugim się aby nie gryzie?
- Właśnie nie. Trzeba się będzie podkraść i wykręcić mu rękę, w starym stylu.
- To, jak się domyślam, moje zadanie.
- Miał być żart, ale Zach się nie roześmiał.
- Przede wszystkim trzeba doprowadzić do tego, żebyście znaleźli się w jednym pomieszczeniu.
- Jak skłonimy go do mówienia?
- Uśmiechnął się ponuro.
- Będzie trudno, ale moja w tym głowa.
- I co potem?
- Potem albo się okaże, że nasz plan zadziałał, albo oboje stracimy pracę.

# Rozdział 35

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 19:30

Zach siedział na kanapie i czekał. Wpatrywał się w zegar. Wiedział, że Parker przybędzie o czasie. Dokładnie o dziewiętnastej trzydzieści Mick wyjedzie z parkingu przy Jax Brewery i skieruje się w stronę Marigny. W ten sposób Zach zyska dziesięć minut – przez ten czas postara się wy badać, jak bardzo Parker jest gotów się otworzyć – zanim agent wyczuje obecność Mick.

Kiedy Mick dotrze na miejsce, zacznie się jazda.

Minęło w pół do ósmej. Rozległ się dzwonek do drzwi. Zach wstał i poszedł otworzyć.

– Co do sekun... – Urwał zaskoczony wyglądem Parkera: zapadnięte policzki, nabiegłe krwią i podkrążone oczy. Tak jakby od ostatniej rozmowy nie zmrużył oka albo poszedł w ostre tango. – Co ci się stało?

– Nic mi nie jest.

Wpuścił Parkera do mieszkania.

– Jasne, właśnie widzę.

Parker zdjął marynarkę i poluzował krawat.

– Do rzeczy. Mów, co widziałeś.

– Wolałbym, żebyś na początek powiedział mi, co sam wiesz.

– Nie tak to będzie wyglądało, agencie Harris.

I tu masz rację, pomyślał Zach. Jeszcze się zdziwisz.

– W porządku, rozumiem. Najpierw powiem ci, co widziałem, a potem ty ujawnisz tylko tyle informacji, by móc to wytłumaczyć.

– Bystry jesteś. Zasada „tylko takie informacje, jakie są potrzebne do działania” nadal obowiązuje.

Zach patrzył Parkerowi wyzywająco w oczy, jednocześnie licząc w głowie upływający czas. Nie chciał sprawiać wrażenia, że zbyt łatwo się poddał. Kiedy odliczanie dobiegło końca, odezwał się:

– Większość przekazałem ci przez telefon. Knight została zamordowana. Zabił ją czarny obłok energii. Kiedy próbowałem go powstrzymać, rzucił mną na drugą stronę ulicy.

Parker nie reagował, więc Zach mówił dalej:

– Knight miała ranę tuż pod prawym obojczykiem. Wyglądało to jak malinka, tylko było wyraźniejsze. Zanim przyjechała karetka, po ranie nie było śladu.

– Detektyw Dare jej nie widziała?

– Nie, ale tak jak ci mówiłem przez telefon...

– O wilku mowa.

– Gdzie?

– Chodnik po drugiej stronie ulicy. Teraz już po tej.

– To świetna policjantka – powiedział Zach. – Bez niej nie sprostam zadaniu.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Jeżeli jej nie wtajemniczę, detektyw Dare może wycofać się z programu.

– Niech się wycofuje. Znajdę kogoś innego.

– Ale była twoim pierwszym wyborem, na pewno nie bez powodu.

– Wchodzi do budynku. – Parker spojrzał na Zacha. – Nie może się dowiedzieć tego, co wiemy. Jeszcze nie teraz.

– Mówiłeś, że to coś ważniejszego od Szóstek. Co miałeś na myśli?

– Pozbądź się jej, to ci powiem. – Nie odrywał oczu od Zacha. – Już tu jest.

– Zaufaj mi – odezwał się po chwili.

– *Dlaczego miałbym to zrobić?*

– *Jesteśmy tacy sami. Ona nie jest jedną z nas.*

– *To prawda, nie jest.*

- *Czy widziała ranę, zanim ta zniknęła?*
- *Nie. Ale opowiedziałem jej o wszystkim.*
- *Trudno. Poradzimy sobie.*
- *Jak?*

Zanim Parker zdążył odpowiedzieć, Micki zapukała do drzwi. Zach sięgnął do klamki, a Parker położył mu dłoń na ramieniu. Zach spojrzął na agenta.

- *Nie może się dowiedzieć. Jeszcze nie teraz.*

Zach wytrzymał spojrzenie i pokiwał głową. Otworzył drzwi. Micki wyminęła go i wpadła jak burza do mieszkania.

– Ty sukinsynu! Mówiłam ci, że wchodzę w to. Ale ty zachowujesz się jak zwykle!

Zawahał się. To, jak się sprawy potoczą, zależało od jego odpowiedzi. On i Parker byli do siebie podobni. Niewiele osób mogło się pochwalić tym, co obaj mieli. To ich łączyło. Ale Parker wymagał zaufania, którego Zach mu odmawiał. Poza tym jego i Micki łączyło coś znacznie silniejszego: człowieczeństwo.

- *Czego się spodziewałaś, partnerko? Przede wszystkim jestem Szóstką.*

– *Już ci mówiłam. Albo wchodzę do końca, albo w ogóle. Nie mogę mieć za partnera kogoś, kto dzieli się ze mną tylko połową prawdy.*

Zach ustawił się obok Parkera.

- *Nie mogę tego zmienić.*

Spojrzała na Parkera zdecydowanym wzrokiem.

– *Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? Zmuszasz mnie do działania. Wiesz, że mnie potrzebujesz.*

– *Nie sądzę – odezwał się Parker. – To ty popełniasz błąd. Rezygnujesz ze sławy tej, która torowała nowe drogi w walce z przestępczością. Nie wspominając o tym, że najpewniej stracisz pracę.*

– *Ciebie nie obchodzi nic poza programem i tym, jak jego sukces przełoży się na twoją karierę.*

- *Przykro mi, że tak uważasz.*

– Byłam tam, kiedy zginęła Knight. Widziałam...

– Co takiego, pani detektyw? Kobieta, która zmarła z przyczyn naturalnych?

– A zaginione dziewczyny? Masz informacje, które mogłyby pomóc nam je odnaleźć. Widziałam...

– Nic nie widziałaś – uciął.

Nagle Zach pojął, na czym polegała przewaga Parkera. Zrozumiał jego pewność siebie. Mick nie mogła zobaczyć morderstwa – ranę, zanim zniknęła, owszem, ale nie morderstwo samo w sobie, nawet gdyby stała tuż obok.

Był to widok zarezerwowany dla osób obdarzonych zdolnościami.

– Powiem ci, jak wygląda prawda. Otóż Brite Knight żyła – a po chwili była martwa. Żadnych ran, żadnych uszkodzeń ciała. Biedna kobieta, miała atak serca. Jedynie detektyw Harris twierdzi, że było inaczej. A kto mu uwierzy, skoro nawet ja mu nie wierzę?

– Ta rzecz, która dopadła Knight...

– Rzecz? – Parker wybuchł śmiechem. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Oboje z Harrisem szukacie przecież człowieka z krwi i kości.

Spojrzała na Zacha.

– Nie masz nic do powiedzenia?

– Tylko tyle: rób, co masz robić.

To był sygnał. Zach chwycił Parkera za lewą dłoń i przytknął do niej swoją prawą. Mick błyskawicznie sięgnęła po kajdanki.

Zanim Parker zorientował się, co się dzieje, Mick zdążyła skuć ich ze sobą.

– Przykro mi, Parker – powiedział Zach, przyciskając dłoń do dłoni agenta – ale nie dałeś nam wyboru.

– Ty durniu, nie masz pojęcia, co...

Cokolwiek Parker miał do powiedzenia, utonęło w huku przetaczającej się przez głowę Zacha krwi, w chwili gdy nastąpiło połączenie i doszło do transmisji. Wstrząsy u podstawy czaszki, niczym wybuchy sztucznych ogni

na skórze, rozeszły się dalej, zbiegły po ramieniu i stopiły połączone dłonie w jedno. Zach poczuł, że krew mu płonie, odebrał jednocześnie piekące gorąco i porażające zimno. Zaczął się trząść.

Widział pełny zdumienia wyraz twarzy Mick. I miał świadomość, że zrobił coś głupiego, coś niewiarygodnie głupiego. To nie on bowiem kontrolował transmisję, lecz robiła to ta rzecz.

Ta, która zabiła Brite Knight i próbowała ukatrupić też jego samego.

Myśli Zacha wypełniły ponure obrazy, wizje cierpienia i zniszczenia. Najczarniejsza czerń, najmroczniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek odwiedził, miejsce pozbawione wszelkiej nadziei.

Otoczyła go pustka. Ciężka, dusząca.

Dotarł do niego wrzask Mick. Krzyczała, żeby przestał.

Otworzył oczy. Wizja zniknęła. Parkerem wstrząsały konwulsje.

To zabijało Parkera.

Poprzez Zacha.

Coś się w nim przebudziło, uwolniło z głębi jestestwa. Jasne i gorące ruszyło do przodu, aż Zachem szarpnęło.

Błysnęło mu przed oczami i myśli wypełnił obraz kobiety. Pięknej kobiety o intensywnie błękitnych oczach, jakie widział pierwszy raz w życiu. Uśmiechnęła się.

A potem wszystko zniknęło.



# Rozdział 36

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 20:05

Kiedy Zach się ocknął, obaj leżeli na podłodze – Zach mniej więcej trzy metry od Parkera. Agent był blady jak ściana. W powietrzu unosił się lekko drażniący zapach.

Mick stała z boku i wielkimi oczami patrzyła to na Harrisa, to na Parkera.

– Co to było, do jasnej Anielki?

Zach próbował się zaśmiać, ale wyszedł mu chrapliwy rechot.

– Wody – wydusił.

– Dwa razy.

Mick skinęła głową i wyszła. Zach spojrzał na Parkera.

– Przypuszczam, że „przepraszam” to w tej sytuacji zdecydowanie za mało?

– Ty durniu! Mogłeś zabić nas obu! Zresztą prawie ci się udało, nieodpowiedzialny kretynie!

– W porządku, dotarło. – Zacha przeszedł dreszcz. – Obiecuję, że nigdy więcej nie postąpię tak głupio.

– Nie składaj obietnic, których nie zdołasz dotrzymać. Patrz! – Parker podniósł ręce. Na jego lewym nadgarstku wisiały pęknięte kajdanki. – Trzęsę się jak osika.

– I włosy stoją ci dęba.

Widok był komiczny: zwykle nienagannie przyczesany Parker wyglądał, jakby wsadził palec do gniazdka.

Pewnie wyglądam tak samo, pomyślał Zach.

Parker dotknął włosów i pokręcił głową.

– Słyszałem o ich mocy, ale do tej pory nie poczułem jej na własnej skórze.

– Czyjej mocy? – spytała Mick, wracając z kuchni.

Podeszła do ich i wręczyła szklanekę najpierw Parkerowi, potem Zachowi.

– Serio? – prychnęła, gdy zorientowała się, że Parker nie zamierza odpowiedzieć. – Po tym, co właśnie zobaczyłam, nadal bronisz mi wstępu do tego waszego tajnego klubu supermocarzy? – Uniosła brwi w geście niedowierzania. – Mój partner się ś w i e c i ł .

– Świeciłem się?

– Jak żarówka. I nie powiem, zdrowo się przestraszyłam.

– Kto jak kto, ale t y ? – Zwrócił się do Parkera. – Naprawdę pora na wyjaśnienia.

Parker potrząsnął głową.

– Odpowiadam przed przełożonymi. Przysięgałem przestrzegać dyrektyw. Podzwonię i zobaczymy, może uda mi się uzyskać zgodę na wtajemniczenie detektyw Dare.

– „Może”? Gdyby nie wyrwała mnie ze stanu, w którym się znalazłem – czymkolwiek był ten stan – już byś nie żył.

– Ale gdyby nie przyszła, nie spróbowałbyś na mnie tej idiotycznej sztuczki!

– Nie bądź taki pewny – odgryzł się Zach, wstając. Miał nogi jak z waty i musiał chwycić się kanapy, żeby ustać. – Nie byłeś ze mną szczery.

Parker wziął przykład z Zacha i też wstał, opierając się o kanapę.

– Okaż mi trochę więcej szacunku, a może zdobędę się na szczerłość.

Mick wkroczyła między nich.

– Spokój! Nie jesteśmy na szkolnym boisku. – Spojrzała na agenta. – Słuchaj, Parker, wchodzę w to do końca, cokolwiek to oznacza, i bez względu na wszystko. Możesz mi zaufać.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Zach zastanawiał się, czy jeśli Parker nie skapituluje, Mick ponownie zakuje go w kajdanki.

Poddał się jednak. Westchnął głęboko i powiedział:

– Muszę się napić. Wam też się przyda.

Usiedli przy stole w kuchni. Parker postawił na nim butelkę szkockiej i trzy szklaneczki. Nalał sobie na dwa palce i pokazał, żeby się obsłużyli. Mick odmówiła, a Zach wybrał dolewkę wody.

Parker wziął szklanę i zaczął sączyć whisky. Po chwili odstawił szklaneczkę i popatrzył na Mick i Zacha.

– O tym, co wam teraz powiem, wie bardzo mało osób, nawet wśród obdarzonych zdolnościami.

– Och, więc ja, szara myszka, powinnam czuć się zaszczycona i wyjątkowa – mruknęła Mick.

– Otóż nie – odparł Parker z kamienną twarzą. – Jediną wyjątkową osobą jest Zach.

– Dlaczego?

Zach nagle zrozumiał.

– Ponieważ widzę, czym jest ta rzecz.

– Tak. I czujesz jej energię. – Parker uniósł szklaneczkę. Od zmarszczonej powierzchni bursztynowego płynu odbiło się światło. – Jako istoty ludzkie wierzymy w to, co podpowiada nam nasze pięć zmysłów. Dążymy do naukowego potwierdzenia prawdziwości każdego zjawiska. Kiedy okazuje się to niemożliwe, uznajemy, że badany fenomen nie istnieje. Albo wymyślamy istoty rzekomo odpowiedzialne za to, czego nie potrafimy zrozumieć.

– Na przykład?

– Wampiry – akurat są na fali.

– Rana, którą widziałem u Knight – odezwał się Zach – wyglądała jak ugryzienie.

– Ale nie była nim.

– Czy zwykli ludzie mogą zobaczyć takie rzeczy? – spytała Micki.

Parker pokiwał głową.

– Tak, choć bardzo szybko znikają.

Zach spojrział na Mick.

– I co? Jednak nie zwariowałem.

Jakoś nie było jej do śmiechu.

– Ludzie myślą, że oszaleli albo mają halucynacje wywołane stresem pourazowym.

– Zapewniam cię – odparł Parker – że to nie przywidzenia. To naprawdę istnieje. Artyści w swoich dziełach od wieków starają się nadać tym zjawiskom fizyczny kształt. Jednym z moich ulubionych jest *Nocna mara* Heinricha Füssliego. Ale przychodzą mi do głowy też Delacroix i Goya. Gargulce i gryfy. Ponury Żniwiarz. Powtarza się to w każdej epoce.

Kiedy Parker przerwał, Zach uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Powoli wypuścił powietrze.

– Czym zatem są te zjawiska? – spytał.

– Nazywamy je Zwiastunami Ciemności. Pragną naszej śmierci.

# Rozdział 37

WTOREK, 16 LIPCA

GODZINA 20:45

Micki wpatrywała się w Zacha i Parkera. Zorientowała się, że trzęsą jej się ręce, i położyła je na kolanach. Czy to się dzieje naprawdę? Na służbie stykała się z różnego rodzaju dziwactwami, ale wszystkie one pochodziły jednak z tego świata, istniały tu i teraz, dawały się dotknąć, poczuć, ogarnąć cholernym rozumem.

Ale to? Mordercze, niematerialne istoty, widzialne jedynie dla garstki ludzi? Partner potrafiący przekazywać energię za pośrednictwem dłoni oraz – zupełnie przy okazji – świecić w ciemności?

Uznała, że pozostało już tylko spakować swoje zabawki i przenieść się do innej piaskownicy. Po co komu odznaki, pistolety, śledztwa i dochodzenia, kiedy po świecie krążą tacy nadludzie?

Musiła też jednak przyznać, że w życiu nie widziała czegoś bardziej fascynującego.

Zach sięgnął po szkocką. Micki też poprosiła o kapkę. Nalał jej i sobie, po czym oboje podnieśli szklaneczki i jednocześnie wychylili zawartość. Alkohol zapiekł w gardle i przyspieszył bieg myśli.

– Dlaczego zamordowali Brite Knight? – zapytała Micki. – I czemu chcieli zabić Zacha?

– Proste. Stanowimy zagrożenie dla ich istnienia. Tylko my możemy je powstrzymać.

– My, czyli obdarzeni zdolnościami – doprecyzowała. – Szóstym zmysłem. Stąd Szóstki.

– Zgadza się.

– Czy wszyscy z waszej bajki potrafią się tak... komunikować, jak wy to

zrobiliście?

– Chyba nie. Wiem tylko o sobie i Zachu. Ale nie jest wykluczone, że istnieją też inni, którzy mają tę umiejętność.

Przetrawiła informację.

– Kim jesteście?

– Kto? Zach i ja?

– Tacy jak wy. Jak Brite Knight. Obdarzeni.

– Ludźmi.

– Nie o to mi chodziło. Zwiastuny Ciemności mają swoją nazwę – to znaczy wy im ją nadaliście.

– I co z tego?

– Ciekawi mnie, jak oni nazywają was.

– Nie wiem, czy w ogóle nas nazywają.

Nadal coś ukrywa. Wyczuła, że Zach pomyślał to samo.

– Jak zabili Knight?

– Doprowadzili do zatrzymania akcji serca.

– Jak?

– Mają swoje sposoby.

– To za mało, agencie Parker.

– Musi wystarczyć, detektyw Dare. Sposób, w jaki odbierają życie, nie ma znaczenia dla tego śledztwa.

Uważała, że jest odwrotnie, ale odpuściła.

– Czego ta rzecz, ten Zwiastun Ciemności, chce od Gomez, Miller i Putnam?

Parker zmarszczył brwi.

– Przepraszam, dzwonią z Quantico.

Ułamek sekundy później zabręczał telefon. Niesamowite, pomyślała Micki, odprowadzając go wzrokiem, gdy wychodził z pokoju.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Zach się jej przygląda. Uniosła brew.

– No co?

– Jestem pod wrażeniem.

– Tak? A czego? Moich nieistniejących supermocy?

Uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Chyba tak.

– Zejdź na ziemię. – Pokręciła głową. – Najistotniejsze jest to, czego Parker nam n i e mówi.

– Zgadza się.

– Jak cię nazwała Brite Knight?

– Pół Blaskiem.

– A ta rzecz nosi miano Zwiastuna Ciemności. – Zabębniła palcami o blat stołu. – Światło i ciemność. Yin i yang. Życie i śmierć.

– Dwie strony medalu.

– Właśnie. Jedno nie może przebywać w obecności drugiego, ale też nie może istnieć bez niego.

– Kiepska wiadomość dla mnie, partnerko, bo ta rzecz jest o niebo silniejsza ode mnie. Nic dziwnego, że Knight twierdziła, że przez to oboje zginiemy. Ją już dopadło.

Na jego twarzy wyczytała obawę.

– Nie twoja wina. Przecież to ona zaproponowała spotkanie.

– W sprawie Gomez, a nie Miller. Knight podobno wiedziała, gdzie znajdziemy dziewczynę.

– Dlaczego akurat studentki?

– Dobre pytanie, pani detektyw.

Oboje odwrócili się w stronę Parkera, który stał w wejściu do kuchni.

– Dzwonił dyrektor – powiedział. – Upoważnił mnie do podzielenia się z wami wszelkimi informacjami, które doprowadzą do odnalezienia córki senatora.

– Wielkoduszny gest – mruknęła Micki. – Jak to dobrze, że Miller trafiło się takie towarzystwo. W przeciwnym razie miałyby przerabane.

Zignorował tę sarkastyczną uwagę.

– Ta rzecz, którą zobaczyłeś, gdy mordowała Knight – zwrócił się do Zacha – nie jest porywaczem, którego szukacie. Ścigacie człowieka z krwi

i kości. Jesteśmy pewni, że to mężczyzna. Dwudziestokilkuletni, przystojny.

– Tak – odparła Micki. To rozumiała. To potrafiła objąć rozumem. – Ten mężczyzna... jest magnesem na młode kobiety. Wabi je, kiedy bawią się w klubach i barach Dzielnicy.

– Chwileczkę – wszedł jej w słowo Zach. – Tym, co łączy miejsca zbrodni, jest energia. Widziałem ją, tego Zwiastuna Ciemności, jak zabijała Knight.

– Zwiastun Ciemności manipuluje porywaczem. Obaj żywią się bólem, cierpieniem i strachem zaginionych dziewczyn. Natomiast Gomez nie ma z tym nic wspólnego. To samo Brite Knight.

– Jak to? – Zach zmarszczył brwi. – Gomez zaginęła w dniu swoich urodzin. Na jej dowodzie wyczułem tę samą energię, którą znalazłem w mieszkaniach Miller i Putnam.

– Rzeczywiście, zetknęła się ze Zwiastunem Ciemności. Nie mamy pewności, kiedy ani jak. Knight została zamordowana być może z powodu Gomez. Albo po prostu dlatego, że Zwiastuny Ciemności lubią pozbawiać życia.

– Ludzi takich jak my.

– Tak.

Micki zastanawiała się nad skrawkami informacji, którymi uraczył ich Parker, i próbowała poskładać je w całość. Uchwyciła się zwłaszcza jednego.

– Powiedziałeś, że ten dwudziestoparolatek, nasz sprawca, żywi się strachem Miller i Putnam. Użyłeś czasu teraźniejszego. Czy to znaczy, że twoim zdaniem porwane dziewczyny żyją?

– Na razie tak.

– Jak długo?

– Nie jesteśmy pewni, ale sądzimy, że do ostatniej soboty lipca.

– Dlaczego akurat do tego dnia?

– Wtedy ani Zwiastun Ciemności, ani jego marionetka nie będą ich już potrzebowali.



Micki miała milion myśli na sekundę.

– Lipiec to siódmy miesiąc roku. Sobota to siódmy dzień tygodnia. W lipcu mamy cztery soboty. Cztery dziewczyny. – Serce podeszło jej do gardła. Natrafiła na spojrzenie Parkera. – Porwą jeszcze dwie dziewczyny.

– Tak przypuszczamy – potwierdził. – Chyba że uda wam się go namierzyć i powstrzymać.

Zach od dłuższego czasu milczał. Odezwał się dopiero teraz.

– Powiedziałeś, że nie będą już potrzebowali porwanych studentek. Skąd wiesz?

– Siódemka to boska cyfra, oznaczająca kompletność, ukończenie.

– Co takiego się zakończy?

– Przeobrażenie marionetki, detektywie. Narodzi się nowy Zwiastun Ciemności.

– Kolejny? – Zach przeczesał włosy palcami. Dłoń lekko mu drżała. – Niedobrze.

– W rzeczy samej – skomentował Parker.

– Czy możemy zakłócić przeobrażenie? Przerwać je, zanim się zakończy?

– Tak. Macie czas do północy ostatniej soboty.

– A dziewczyny? Czy możemy je ocalić?

– W niedzielę dwudziestego siódmego lipca na pewno wszystkie będą martwe. Wcześniej – kto wie? Mają szansę przeżyć.

– Podrzuc nam coś – poprosiła zniecierpliwiona Micki. Krew szumiała jej w uszach. – Coś, co pomoże nam wpaść na ich trop.

– Pracujecie jako zespół. Dare wykorzystuje swoje zdolności detektywistyczne. Harris śledzi energię Zwiastuna Ciemności. – Parker napił się whisky. – Porywaczowi coraz trudniej wabić dziewczęta. Przeobrażenie jest bolesne, pod koniec to prawdziwy koszmar.

– Traci moc – powiedział Zach.

– Tak. Umysłu i ciała. Jest zdesperowany. Jego urok ma już wyłącznie powierzchowny charakter. Jeśli spojrzycie w jego oczy, nie zobaczycie

w nich życia.

– Jest jak rekin. – Zach zerknął na Micki. – Drapieżnik.

– Mówisz, że to bolesny proces – odezwała się. – Nie rozumiem. Czy on umiera?

– Fizycznie? Nie.

– Wobec tego co...

– Przeobrażenie pozbawia go – z braku lepszego określenia – duszy.

# Rozdział 38

ŚRODA, 17 LIPCA

GODZINA 11:45

Parker nie chciał powiedzieć nic więcej. Dodał tylko, że są zdani wyłącznie na siebie oraz że wszystko, co od niego usłyszeli, jest, rzecz jasna, ściśle tajne.

Nie ma ciśnienia. Przecież na szali leży jedynie życie czterech młodych kobiet...

Micki siedziała przy biurku i wpatrywała się w obraz na ekranie komputera. Ten, o którym wspomniał Parker. *Nocna mara* Heinricha Füssliego. Śpiąca kobieta. A może omdlewająca? Tak czy owak, całkowicie bezbronna. Przyczajona istota przypominająca gargulca. Mrok i klimat. Brak wyraźnych linii, rozmazane postacie – jak we śnie. Upiorne i zdumiewające.

Z samego rana major Nichols wezwał Micki i Zacha do siebie. Na prośbę FBI oboje mają wrócić do sprawy zaginionych dziewczyn. Prośba nadeszła ze strony tych agentów FBI, którzy wierzą w potwory, czy tych, którzy nie wierzą?

Zach wrócił z wyprawy po lunch i postawił na biurku Micki torbę pełną jedzenia na wynos oraz dwie butelki wody.

– Dobrze się czujesz?

– Czy dobrze się czuję? Odchodzę, do cholery, od zmysłów.

– A nie widać.

– Dzięki Bogu. – Obróciła monitor. – Czy tak wyglądał Zwiastun Ciemności?

– Tak. I nie.

Zmarszczyła brwi i sięgnęła do torby z jedzeniem.

- Jaśniej, proszę.
- Jeśli dosłownie potraktować ten wizerunek, to nie.
- Czyli nie jest gargulcem. Okej, ulżyło mi. A dlaczego „tak”?

Zach otworzył styropianowe pudełko i wbił widelec w znajdującą się w nim sałatkę.

– Był niewyraźny, niedookreślony. Ale poza tym jego widok podziałał na mnie mniej więcej tak jak ten obraz.

Poczucie bezbronności i zagrożenia. Nagle straciła apetyt i odłożyła kanapkę. Od poprzedniego wieczoru niewiele rozmawiali, głównie przerzucali się płytkimi uwagami, jakby uciekając się do lekkich tematów, wzbraniaли się przed stawieniem czoła temu, czym podzielił się z nimi Parker. Jeśli już, to prześlizgiwali się po problemie – tak jak teraz.

Nie mieli jednak wyjścia i prędzej czy później musieli poruszyć trudny temat. Tropili potwora. Oznaczało to, że wkrótce niegrzeczny chłopiec da o sobie znać i wtedy będą zmuszeni do podjęcia wyzwania.

– Kiedy cię nie było, dostałam akta z Biura. Zrobiłam kopie dla nas obojga. – Nie odpowiedział, bo miał usta pełne sałatki, więc tylko pokiwał głową. Micki wręczyła mu egzemplarz. – Zrobili w sprawie Putnam to samo, co my w sprawie Miller. Odtworzyli przebieg dnia, wypytali rodzinę, znajomych i sąsiadów. Dotarli do każdego, z kim miała kontakt.

– Co z nagraniem z monitoringu?

– Załatwione. – Micki odnalazła informację w dokumentach. – Szukali miejsca, w którym przecinałyby się drogi obu dziewczyn...

– Poza tym, że obie świętowały w Dzielnicy swoje dwudzieste pierwsze urodziny.

– Tak. – Znow zrobiła się głodna i jednak sięgnęła po kanapkę. Spojrzała na Zacha. – Czy to na pewno pszenica?

– Pełne ziarno, partnerko. Jedyne słuszne wybór.

– Jaja sobie robisz. Przypomnij mi, że następnym razem ja idę po lunch.

– Westchnęła i ugryzła kawałek.

Zach przyglądał się, jak Micki powoli żuje, przełyka i znow gryzie.

– No i? – spytał.

– Złe nie jest.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Teraz nie czujesz różnicy, a niedługo nie będziesz chciała jeść nic innego.

– E tam. – Spojrzała z powątpiewaniem na opakowanie pieczonych chipsów, ale po chwili dobrała się i do niego. – Jak należało się spodziewać, Biuro przeprowadziło bardzo szczegółowe dochodzenie, łącznie z przeszukaniem ogólnokrajowych baz danych pod kątem przestępstw o podobnym charakterze.

– I co?

– Nic nie pasuje do podanych kryteriów.

– Studentka, dwudzieste pierwsze urodziny, cyfra siedem? – wymienił.

– Zgadza się.

Nadział porcję sałatki na widelec, włożył do ust i przeżuwał w milczeniu. Widać było, że intensywnie myśli.

– FBI na pewno zawęziło listę podejrzanych. Jak wygląda ich domniemany sprawca?

– Jest podobny do naszego. Mężczyzna, od dwudziestu do trzydziestu lat, ciemne włosy...

– Chwileczkę. Ciemne włosy? Skąd ten wniosek?

– Rodzina i znajomi ofiar wskazali, że miały one słabość do ciemnowłosych mężczyzn.

– Typowe. Zwróć uwagę, że nigdy nie mówią o wysokich, przystojnych blondynach.

– Czyżbyś miał kogoś konkretnego na myśli?

– Skąd, po prostu walczę ze stereotypami.

Przewróciła oczami, a potem zerknęła do notatek.

– Silny, dobrze zbudowany. Obezwładnia i uprowadza, nie zostawiając śladów. Czarujący – czytała dalej. – Charyzmatyczny. Regularny bywalec klubów albo pracownik sektora usług. Barman, wykidajło – ktoś taki.

Wybiera ofiary losowo, zmienne metody działania.

Zach wygrzebał z pojemnika resztki sałatki, po czym sięgnął po chipsy Micki.

– Zmieniają się, to prawda. I stają się coraz bardziej chaotyczne. A będzie jeszcze gorzej. – Oddał jej chipsy. – Jak zatem proponujesz – jak to ująć? – skierować naszych kolegów ze służby federalnej na właściwą drogę?

– Spójrz na to. – Odsunęła papiery, żeby zrobić na blacie miejsce na mapę Dzielnicy Francuskiej. – Zaznaczyłam wszystkie kluby, które odwiedziły Putnam i Miller. Na czerwono bary Miller, na niebiesko knajpy Putnam. Na fioletowo te lokale, w których obie się bawiły tego dnia, gdy zaginęły.

Przyjrzał się mapie.

– Ulice Bourbon, Conti, St. Peter. Wszystkie imprezownie w jednym miejscu, dosłownie dwa kroki od siebie, można krążyć między nimi z drinkiem w ręku.

– No właśnie. FBI twierdzi, że nasz porywacz jest albo bywalcem tutejszych barów, albo pracuje w usługach. Stawiam na to drugie. Zinfiltrujemy kluby znajdujące się najbliżej. – Pokazała na mapie. – Zaczniemy od razu. Każde z nas – upewniła się, że nikt ich nie podsłuchuje – zrobi to, co potrafi najlepiej. Jutro zbiera się zespół FBI, żeby omówić plany na weekend. Przypuszczam, że będą chcieli wysłać do Dzielnicy armię agentek, które będą udawały, że świętują dwudzieste pierwsze urodziny, i polowały na naszego sprawcę. Chcę do nich dołączyć.

Zadzwoił telefon Zacha. Harris wstał, odebrał i kilka chwil później wrócił do biurka.

– Kto to był? – zapytała w zamyśleniu, nie podnosząc wzroku znad mapy.

– Dzwonili z recepcji. Na dole czeka Fran z kanapkarni Teddy’ego. Podobno chce rozmawiać wyłącznie ze mną.

– Ta znajoma Angel Gomez?

– Zgadza się.

Może przypomniało jej się coś, co przyniesie przełom w śledztwie?

– Sprowadź ją tu. Przygotuję pokój przesłuchań.

Dziesięć minut później kobieta siedziała przed Micki i Zachem i popłakiwała. Wyraźnie się bała.

– Nie wiedziałam, co robić, więc przyszedłam do was.

Micki podsunęła jej opakowanie chusteczek. Fran wzięła jedną, a po chwili drugą.

– Dobrze pani zrobiła. Chce pani coś do picia albo jedzenia?

Potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję. Właśnie wyszłam z pracy.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Angel wróciła.

– Kiedy? – spytała Micki.

– Trzy dni temu. Zjawiła się u mnie w mieszkaniu w środku nocy.

– Czy jest tam teraz?

Fran pokiwała głową.

– Chowa się.

– Przed kim?

Fran się zawahała.

– Powiedziała, że mam nikomu nie mówić.

– Ale wie pani, jak powinna postąpić – odezwał się łagodnym, wręcz przesłodzonym tonem Zach. – Dlatego przyszła pani do nas.

Jej oczy zaszkliły się łzami.

– Tak. Ja... boję się Angel.

– Dlaczego?

– Bo mówi, że coś próbowało ją zabić. – Podniosła głowę i spojrzała zapłakanymi oczami na Zacha. – Słyszeliście, co powiedziałam? Nie ktoś, tylko coś! – Objęła się w pasie. – Jakieś stworzenie. Potwór.

Micki spojrzała na Zacha i zobaczyła, że jej partner nie może usiedzieć. Jeżeli Gomez nie ucieknie z mieszkania Fran, będą mieli przełom.

– Nie wiem, co się z nią stało. To prawda, że zawsze była... inna. Ale teraz... jakby zupełnie nie była sobą. – Fran wzięła kolejną chusteczkę i zaczęła ją rwać. – To moja wina. Nie powinnam była zabierać jej na tę imprezę. Na pewno ktoś dosypał jej czegoś do drinka i coś jej się porobiło. Zachowuje się, jakby przechodziła załamanie psychiczne. Zwija się z bólu, ale nie wiem, czy rzeczywiście potrzebuje lekarza, czy to wszystko dzieje się w jej głowie. Nie chce wyjść z domu, bo twierdzi, że ta rzecz ją zabije.

Micki pochyliła się do przodu.

– Czy powiedziała, gdzie była?

– Mówiła, ale to nie miało sensu. Na pewno bredziła... – Naraz podniosła głos. – Mam dość. Niech ktoś się nią zajmie, bo ja już nie wiem, co robić!

– Fran, proszę na mnie spojrzeć – odezwał się Zach. Zrobiła, jak kazał. – Wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się tym razem z detektyw Dare. Zaopiekujemy się Angel. Proszę się nie martwić.

Wystarczyło jedno spojrzenie w magiczne błękitne oczy Zacha i dziewczyna zrobiła się spokojna jak śpiący kociak. Mick pokręciła głową. Cholerne hokus-pokus. Nadal ją to zdumiewało.



# Rozdział 39

ŚRODA, 17 LIPCA

GODZINA 14:05

Położone w Mid-City na skraju alei Tulane'a mieszkanie Fran znajdowało się nad koreańską restauracją i wyglądało na zapuszczone, ale było zaskakująco przestronne. Fran powiedziała, że Angel śpi na podłodze w sypialni na końcu korytarza.

– Strasznie to wygląda – wyszeptała, wkładając klucz do zamka w drzwiach. – Zasłoniła okna workami na śmieci tak, że z zewnątrz nic a nic nie widać. Strasznie – powtórzyła.

– Nic jej nie będzie, Fran. Proszę nam zaufać.

Pokiwała głową i otworzyła drzwi.

– Angel! – zawołała, wchodząc do środka. – To ja. Przyniosłam ci coś z Maca!

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale Zach wiedział, że jest w mieszkaniu. Odebrał jej energię, strach, który rozszedł się falą po jego zakończeniach nerwowych.

Spojrzał na Mick.

– Wie, że przyszliśmy. I boi się.

– Angel – odezwał się łagodnym tonem. – Nazywam się Zach. Jestem policjantem. Przyszedłem, żeby ci pomóc. Jest ze mną moja partnerka. Ma na imię Micki.

Nadal brak odpowiedzi. Wszedł dalej.

– Wiem, że się boisz, ale przyszliśmy ci pomóc.

Spojrzał na Fran. Pokazała na kuchnię. Kiwnął głową i ruszył w tamtą stronę.

– Fran powiedziała nam, co się wydarzyło. Żebyśmy mogli pomóc.

– Poradzisz sobie – odezwała się Micki. – Ja popilnuję drzwi.

Zgodził się.

– Fran, proszę z nią porozmawiać i zapewnić, że nie chcemy zrobić jej krzywdy.

– Angel, nie gniewaj się na mnie – powiedziała Fran. – Musiałam pójść na policję. Nie wiedziałam, co robić.

W korytarzu, który zaczynał się w kuchni, znajdowały się dwie sypialnie, a między nimi łazienka. Pierwszy pokój zajmowała Fran. Zach przystanął przy drzwiach do łazienki i uchylił je. Prysznic, umywalka, sedes. Nie ma się gdzie ukryć.

– Zach jest bardzo miły – powiedziała Fran. – Obiecał, że ci pomoże.

Drzwi do drugiej sypialni były niedomknięte. Usłyszał urywany, przesycony strachem oddech dziewczyny.

– Angel, wejdę teraz do twojego pokoju. – Powoli otworzył drzwi. Ich spojrzenia się spotkały. Miała oczy schwytanego do klatki dzikiego zwierzęcia. – Angel – powtórzył łagodnie – chcę ci pomóc...

Nagle skoczyła na niego, zaczęła drapać i kopać. Stracił równowagę, poleciał do tyłu i uderzył głową o futrynę. Zanim zdążył się otrząsnąć, Angel już pognąła korytarzem w stronę wyjścia z mieszkania.

Ruszył za nią, wyobrażając sobie, że Micki zdążyła powalić biedną dziewczynę na podłogę i założyć jej kajdanki.

Tymczasem okazało się, że obie siedzą na podłodze, Micki obejmuje płaczącą Angel, a pistolet policjantki nadal spoczywa w kaburze.

Pokręcił zaskoczony głową. Wydawało mu się, że zdążył poznać Wściekłego Psa Dare, ale nie – wciąż musiał się sporo o niej nauczyć.

\*\*\*

Nieco ponad godzinę później Zach i Mick siedzieli w salonie u Mick i patrzyli, jak Angel siorbie mrożoną kawę. Postanowili, że nie zabiorą dziewczyny na komendę – bo jak by wytłumaczyli jej obecność? – a mając do wyboru mieszkanie Zacha albo Mick, uznali to drugie za odpowiedniejsze.

Zach się rozejrzył. No tak, pomyślał, wieczny remont. Podłogi, okna, ściany, wszystko albo wymieniane, albo odnawiane. Ale jednocześnie jest wygodnie i przytulnie.

– Lepiej się pani czuje? – spytała Micki.

– Tak, pani władzo.

Zdecydowanie dziewczyna z Południa, uznał Zach. I to z głębokiego – te staroświeckie maniery...

– Przestraszyła nas pani.

– Tak? – Spojrzała na Micki. – Nie wiedziałam, pani władzo.

– Baliśmy się, że coś się pani stało. Pani dowód tożsamości znajdował się w rękach złoczyńcy. Kiedy przyszliśmy, żeby go pani zwrócić, Fran powiedziała nam, że pani zniknęła.

„Złoczyńcy”? Zachowi zachciało się śmiać. Skąd się wziął ten łagodny, ugłaskany Wściekły Pies? Miał wrażenie, jakby ktoś podmienił mu partnerkę.

Angel pociągnęła kawę przez słomkę.

– Kto go miał?

– Mężczyzna o nazwisku Martin Ritchie.

– Handlarz narkotyków... – dodał Zach.

– Nie biorę narkotyków.

– Oczywiście, że nie – powiedział śmiertelnie poważnie i z zaskoczeniem uświadomił sobie, że w tej scenie odgrywa rolę złego gliny.

– Nie biorę!

– ...i alfons – uzupełnił.

Otworzyła szeroko oczy.

– Ależ... ja nigdy nie robiłam takich rzeczy!

– Ritchie nie żyje.

– Och.

– Wie pani, w jaki sposób mógł wejść w posiadanie pani dowodu?

– Nie. – Zmarszczyła brwi. – Wiem tylko tyle, że dowód mi się

zapodział.

– Proszę opowiedzieć o swoich urodzinach – poprosiła łagodnym, zachęcającym tonem Micki. – Co się wydarzyło tamtej nocy?

– Poszłam na imprezę z Fran, ale zostawiła mnie, bo ulotniła się z jakimś facetem, a ja tam nikogo nie znałam. Pewnie pomyśleli, że jestem jakaś dziwna. Wszyscy tak myślą.

Powiedziała to tak, jakby chodziło o coś, do czego zdążyła się przyzwyczaić. Zach doskonale ją rozumiał.

– No więc wyszłam.

– Tak po prostu? Nie próbowała pani znaleźć Fran albo kogoś zawiadomić?

Pokręciła głową.

– Kiepsko się czułam. Bolało mnie w boku, i to mocno.

– Fran się o panią martwi – wtrąciła Micki. – Jej zdaniem powinna pani pójść do lekarza.

– Nie, to tylko moje dziary.

– Dziary?

– Tatuaze. Tak mają, że czasem bołą. Pieką.

Micki wydawała się zaniepokojona.

– Gdzie je pani ma?

Angel obróciła się i podciągnęła koszulkę, pokazując lewy bok i fragment pleców. Kilka tatuazy. Czarno-białe z odrobiną koloru.

– Najbardziej dokucza mi ten najnowszy.

Mick spojrzała na Zacha. Tatuaze nie wyglądały, jakby coś było z nimi nie tak, ale w tej okolicy w ciele znajduje się kilka ważnych organów i uporczywy ból może świadczyć o poważnej chorobie.

Zach wrócił myślami do kolejności zdarzeń owej feralnej nocy w dniu urodzin Angel.

– Wyszła pani z imprezy. I co dalej?

– Przeszłam przez kampus Tulane'a. Pomyślałam, że złapię tramwaj do centrum. Wtedy to usłyszałam.

– Co takiego?

Zawahała się.

– To brzmiało, jakby ktoś mnie śledził.

– Słyszała pani takie odgłosy, jakby ktoś za panią szedł? – spytał Zach, chcąc się upewnić.

Angel przestała sączyć kawę i zamyśliła się.

– Z początku tak. Nawet doszłam do wniosku, że idzie za mną paru tych durnych studenciaków z bractwa. Wiecie, wpadli na pomysł, żeby mnie nastraszyć dla zabawy. Ale potem cień zaczął rosnać...

– Cień?

– Nieważne. To głupie.

– Proszę nam powiedzieć, Angel – zachęciła ją Micki. – Uwierzymy pani.

Zrobiła minę, jakby zastanawiała się nad szczerością tego zapewnienia, po czym wzruszyła ramionami.

– Cień posągu stojącego na środku dziedzińca. Miałam wrażenie, że sięga po mnie. Głos w mojej głowie kazał mi uciekać. Więc uciekłam.

Powiedziała to niemal wyzywającym tonem. Zach przypomniał sobie swój przypadek, kiedy to kobiecy głos w jego głowie nakazał mu ucieczkę.

– Czy to był pani własny głos?

Posłała Micki spojrzenie pełne irytacji.

– Nie, to nie był mój głos. Należał do kogoś innego. Mówiłam przecież, że ludzie myślą, że jestem dziwna. Po prostu przytrafiają mi się takie rzeczy.

– Czy to był męski głos? – spytał Zach.

Wydawała się zaskoczona pytaniem.

– Tak, męski.

– Jest pani pewna? – Potwierdziła skinieniem głowy. – Zatem posłuchała go pani i zaczęła biec?

– No tak, ale nieważne, w którą stronę pobiegłam, to cały czas było ze mną.

– Podążało za panią?

– Nie, było... nade mną.

– Leciało?

– Tak. Było wielkie i ciemne jak... Nie, to głupie. Pewnie wszystko sobie ubzdurałam.

Zach spojrzał jej prosto w oczy.

– Wcale pani tak nie sądzi. I my też nie.

Lekko uniosła brodę. W jej oczach znów pojawił się przekorny błysk. Tak jakby rzucała Zachowi wyzwanie: no, spróbuj się zaśmiać.

– No dobrze. Jak ten taki ptak-dinozaur.

– Pterodaktyl – podsunęła Micki.

Angel przytaknęła.

– Albo smok. Ale nie spojrzałam w górę. Za bardzo się bałam.

– To skąd pani wie, jak to wyglądało?

– Czułam to. Wydało przeraźliwy dźwięk. – Wstrząsnął nią dreszcz. Objęła się rękami i rozmasowała ramiona, jakby chciała rozgonić gęsią skórkę. – Eli mnie uratował.

– Eli?

– Elijah. Był na parkingu.

– Chwileczkę. Jakim parkingu?

– Na tym, do którego doprowadził mnie głos. Paliło się tam światło. Ale kiedy do niego biegłam, zgasło.

Przekorną iskrę w oczach zastąpiła desperacja. Chce, żebyśmy jej uwierzyli, pomyślał Zach. Tak jakby sama z trudem wierzyła w tę część swojej opowieści.

– Stał tam. Otworzył drzwi do samochodu.

– A pani wskoczyła do środka.

– Właściwie tak.

– Proszę nam o nim opowiedzieć – odezwała się Micki.

– Przystojny, atrakcyjny. Chociaż starszawy.

– „Starszawy”?

– Mniej więcej w waszym wieku. Dla mnie za stary.

– Które urodziny pani obchodziła tamtej nocy?

– Osiemnaste.

Zach i Mick wymienili spojrzenia. Angel nie pasowała do profilu ofiary; zarówno Miller, jak i Putnam w dniu zaginięcia kończyły dwadzieścia jeden lat.

– Co się później wydarzyło?

– Eli przekonał mnie, że nie mogę wrócić do domu, bo to niebezpieczne.

Zadzwoił do kogoś i razem uznali, że zawiezie mnie do Brite.

Mick przekrzywiła głowę.

– Eli był dla pani obcym mężczyzną. Wydaje się pani rozsądną osobą.

Jak mu się udało panią przekonać?

Angel zmarszczyła czoło.

– Wiedziałam, że mogę mu zaufać.

– Skąd?

– Po prostu wiedziałam.

– Nie – odezwał się Zach. – Nie jest pani pierwszą naiwną i nie ufa byle komu. – Pochylił się. – Proszę powiedzieć, skąd pani w i e d z i a ł a, że może mu zaufać.

Zadrżały jej usta. Znow wyglądała na przestraszoną.

– Bo to mój brat.

# Rozdział 40

ŚRODA, 17 LIPCA

GODZINA 16:10

Przez chwilę jedynym źródłem dźwięku w pokoju była Angel i słomka, przez którą dziewczyna siorbała ostatnie krople kawy.

Zach spojrzał na Mick, a potem z powrotem na Angel.

– Eli to pani brat?

– Aha. Ale nie w sensie, że rodzony.

– Nic nie rozumiem.

– Ja też z początku nie wiedziałam, o co chodzi. Ale Eli mi wyjaśnił.

Oboje jesteśmy wyjątkowi, różnimy się od większości ludzi.

Jest obdarzona zdolnościami. Ależ oczywiście!

– To samo Brite. Są też inni.

– Wiem, Angel – odparł Zach. – Jestem jednym z nich.

– Tak myślałam.

– Tak?

– Aha. – Przeniosła spojrzenie na Micki. – Ale pani nie.

– Niestety.

Popatrzyła z powrotem na Zacha.

– Co pan potrafi?

Zrozumiał, co dziewczyna ma na myśli.

– Wiem o ludziach różne rzeczy. Wiem, co im się przytrafiło. Czasem, kiedy ich dotykam, widzę to, co oni widzieli, zwłaszcza jeśli towarzyszyła temu silna energia. Nie widzę wszystkiego, a jedynie migawki.

– Tylko czasami?

– Często. Ale nie zawsze. – Pomyślał o Brite Knight i że nie udało mu się jej przeczytać. Czy Angel jest taka sama?



– Super. Dlatego chce pan mnie wziąć za rękę.  
– Skąd pani wie?  
– Widziałam. – Spojrzała na Micki. – Bałam się, że z niego jakiś zboczeniec.

Micki się roześmiała.

– W pewnym sensie.  
– To nie było miłe! – zaprotestował.  
– Przepraszam, partnerze, nie potrafiłam sobie odmówić. – Uśmiechnęła się do Angel. – Nie jest zboczeńcem, po prostu jest irytujący i nie liczy się z własnymi siłami.

Angel zachichotała.

– Wiem.  
– Czy wobec tego mogę potrzymać panią za rękę?  
– Chce pan się przekonać, czy zdoła zobaczyć tę rzecz, która próbowała mnie dopaść.

– Zgadza się.

– Pozwoliłabym, ale... – Pokręciła głową. – Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Czemu nie?

– Mogę zrobić panu krzywdę.

– Skąd pani to przyszło do głowy?

– Brite mi powiedziała. Mówiła, że muszę trzymać się na dystans. To samo twierdził Eli. I pozostali.

„Pozostali”. Zachowi zabrakło tchu.

– Jak to: pozostali? – wybąkał. – Ilu?

– Nie wiem. Siedziałam w osobnym pokoju, ale słyszałam sporo z tego, o czym rozmawiali. Mówili, że jestem groźna z powodu tej rzeczy, która próbowała mnie dopaść.

– Nie może mi pani zrobić krzywdy. A ja naprawdę muszę to zrobić.

Micki spiorunowała go wzrokiem. Rozumiał dlaczego – bała się, że powtórzy się to, co stało się z Parkerem.

– W porządku – powiedziała Angel i podniosła się z kanapy. – Ale najpierw muszę się wysikać.

Micki wytłumaczyła jej, jak trafić do łazienki, a potem zwróciła się do Zacha:

– Oszalałeś? Nie rób tego.

– Muszę. – Wzjął głęboki oddech i zatarł dłonie. – Mówili o energii Zwiastuna Ciemności. Ta dziewczyna musiała nią nasiąknąć.

– Właśnie dlatego nawet jej nie dotknęli. I ty też nie powinienes.

– Dam radę.

– A jeśli ją zabijesz?

– Bardziej prawdopodobne, że to ona zabije mnie.

– Wspaniale. To mnie pocieszyłeś! – Wstała, podeszła do okna i po chwili wróciła. – Byłam tam. Widziałam, co się stało, i uważam, że to zły pomysł.

– To, co robiłem z Parkerem, jest możliwe wyłącznie między nim a mną. Mogę przekazywać mu wszystko, co sam odbiorę. Natomiast tutaj, z Angel, nie ma mowy o żadnej transmisji.

– A w mieszkaniu Miller? Powaliło cię samo przebywanie w pobliżu śladu obecności tej rzeczy. A u Putnam...

– Ile dni minęło od jej kontaktu ze Zwiastunem? Dziesięć? Energia z czasem się rozprasza. Poza tym siedzę tu i w ogóle jej nie czuję.

– Na co liczysz?

– Że zobaczę tę rzecz, która ścigała Angel. I przekonam się, czy to to samo, co zabiło Knight.

– Słucham? – Odwrócili się jak na zawołanie. W drzwiach stała blada Angel z szeroko otwartymi oczami. – To... to coś zabiło Brite?

Nie wiedziała, że Knight nie żyje!

Jej oczy wypełniły łzy, a broda zaczęła się trząść. Mick podeszła do niej, otoczyła ją ramieniem i zaprowadziła na kanapę.

– Przykro mi, kochanie. Sądziliśmy, że wiesz. Przepraszam... możemy ci mówić na ty?

Angel pokiwała głową. Wtuliła się w Mick, ale nie płakała.

- Okropnie mi jej szkoda, chociaż nie przepadałam za nią.
- Poznałem ją – powiedział Zach. – Nie była najprzyjemniejszą osobą.
- Ale przygarnęła mnie. Nie chciała, ale zrobiła to. – Angel wytarła łzy.

– Nie wydaje wam się, że to przeze mnie...

- Nie – zaprzeczyła Micki. – Zdecydowanie nie.

Zach podszedł do dziewczyny i kucnął przed nią.

- Angel, skoro nie wiedziałaś, że Brite nie żyje, to dlaczego opuściłaś jej dom i poszłaś do Fran?
- Kazała mi wyjść. Powiedziała, że to coś po mnie idzie. – Zawahała się.

– Powiedziała mi to w głowie.

- Telepatia – orzekł Zach. – Kiedy to było?
- Nie pamiętam. Dni mi się mieszają...
- Weź głęboki oddech – poinstruowała ją Micki. – Oczyść umysł. Cofnij się myślami.

Zastygła. Nabrała powietrza i powoli je wypuściła. Raz... dwa... trzy...

- Kilka dni temu. Wieczorem. W sobotę. Pamiętam, że oglądałam *Saturday Night Live*. Była końcówka programu.

Sobota. Wtedy zginęła Brite Knight. Zach ułożył sobie w myślach kolejność zdarzeń. *Saturday Night Live* kończy się o północy. O północy miał się spotkać z Brite. Ale zanim dotarła na miejsce, zawróciła i zaczęła uciekać. Nie przed nim ani dlatego, że wyczuła obecność Micki, lecz przed Zwiastunem Ciemności. Biegła, by ocalić życie. Swoje i być może Angel.

Zach spojrzał na Micki i przekonał się, że myśli o tym samym.

- Dlaczego poszłaś do Fran?
- Bo to moja jedyna przyjaciółka.
- Czemu nie do Eliego?
- Nie wiedziałam, gdzie go szukać. Powiedział, że robi doktorat na Tulanie, ale to wszystko, co o nim wiem.
- I nie usiłował się z tobą skontaktować?
- Jeśli masz na myśli telepatię, to nie. Próbowалаm wezwać go myślami,

ale nie udało się. – Głos jej zadrżał. – Sądziłam, że skoro Brite potrafi, to ja też.

– To wymaga praktyki. Ja sam często ćwiczę, a mimo to nie jestem w tym najlepszy. – Wyciągnął dłoń. – Gotowa?

Była wyraźnie zdenerwowana.

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdzisz.

Już miała podać mu dłoń, kiedy nagle ją cofnęła.

– Chwileczkę! Co mam zrobić z umysłem?

Zach uśmiechnął się i popukał ją palcem w czoło.

– Zatrzymać go tam, gdzie jest.

Przewróciła oczami.

– Chodzi mi o to, o czym mam myśleć? O tej rzeczy?

Podczas szkolenia Szóstek eksperymentowali ze zdolnościami, wypróbowywali różne układy i możliwości, aby przekonać się, co się sprawdza, a co nie. Tym, co najbardziej pomagało – albo przeszkadzało, zależy jak spojrzeć – w przypadku zdolności Zacha, był czas: im bliżej zdarzenia, tym silniejsze jego psychiczne wibracje.

Ale to było, zanim na scenie pojawił się Zły Wilk z innego świata. Zmieniły się zasady gry – to pewne. Ale c o dokładnie się zmieniło – z tym gorzej.

– Nie, nie próbuj przywoływać wspomnień. Rozluźnij się. Udawaj, że nie wiesz, kim jestem i co chcę zrobić.

– Okej. – Odetchnęła głęboko i wzięła Zacha za rękę. Natychmiast popłynęły do niego obrazy. Dziecko porzucone na stopniach kościoła. Dziewczynka o wielkich brązowych oczach i ciemnych włosach. Płacze. Chowa się. Mężczyzna z pasem w dłoni woła ją do siebie. Ulice. Samotność.

Spróbował przeskoczyć do przodu. Historia życia Angel nie należała do niego, nie miał prawa jej oglądać. Obrazy się zmieniły. Kolejna noc. Niedawno. Impreza w bractwie. Przeszywający ból w boku.

Gęsta ciemność. Złowieszcza. Obserwująca.

Tropiąca.

Sylwetka. Czarna jak smoła na tle nocnego nieba. Dźwięk. Łopot ogromnych skrzydeł. Skowyt przypominający skrzypienie starych drzwi.

Strach Angel. Panika. Nie, przerażenie. Walące serce. Szybki, płytki oddech Angel...

...a teraz również jego. Serce wali mu w piersi, krew szumi w głowie. Szybki oddech, powietrze ucieka przez rozchylone usta.

Nagle oślepiające światło, które przeszywa ciemność. Cudownie pieści, jest jak porażenie prądem.

Zach puścił dłoń Angel. Zrobił krok do tyłu, żeby nad sobą zapanować. Dziewczyna, młoda i bezbronna, patrzyła na niego. Miała szczęście, uświadomił sobie. Miała niebywałe szczęście, że uszła z życiem.

# Rozdział 41

ŚRODA, 17 LIPCA

GODZINA 21:15

Angel zasnęła przed telewizorem. Micki przygotowała dla niej miejsce w dodatkowej sypialni, zmieniła pościel, przyszykowała ręczniki i przybory toaletowe – zrobiła właściwie to samo, co cztery lata wcześniej dla Jacqui.

Tym razem jednak okoliczności były zupełnie inne.

– Widzę, że masz dobrą rękę do zagubionych nastolatków – mruknął Zach, kiedy wrócili z Micki do salonu.

– Na to wygląda.

– Skąd w tobie ta delikatność, Mick? Zupełnie mnie zatkało.

Klapnęła na wysłużony fotel. Przesunęła dłonią po wytartej tkaninie, przypominając sobie identyczny ruch, jaki wykonywały wielkie, pokryte zrogowaciałą skórą palce Hanka.

– Myślę, że w ten sposób spłacam dług.

– Założę się, że kryje się za tym jakaś historia.

– Zgadza się.

– Którą pewnego dnia mi opowiesz?

– Może. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Sądzisz, że postępujemy słusznie, każąc jej tu zostać?

– A dokąd miałyby pójść? Nie ma takiego miejsca, które moglibyśmy uznać za bezpieczne dla niej.

– No właśnie... a czy na pewno będzie bezpieczna tutaj, u mnie? Może powinniśmy zadzwonić do Parkera?

– Jeszcze nie. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że z nami nic jej nie grozi. Przynajmniej na razie.

Zapadła cisza, którą przerwał warkot przejeżdżającego za oknem

samochoodu.

– No i? – odezwała się Micki.

– No i co?

– Co zobaczyłeś, kiedy wziąłeś ją za rękę?

– Angel nie miała łatwego życia. – Zamilkł na chwilę, jakby się zamyślił. – Energia... była inna od tej, która zabiła Brite. I od tej, którą wyczułem w mieszkaniach Miller i Putnam.

– Jak to?

– Nie emanowała taką złością. I nie była chaotyczna.

– Co to znaczy?

– Żebym to ja wiedział. – Wstał, przeciągnął się i z powrotem usiadł. – Pamiętasz ten obraz, który mi wcześniej pokazałaś?

– *Nocną marę?* Co z nim?

– Chodzi o tę rzecz, która unosiła się nad śpiącą dziewczyną. To było coś takiego.

Micki ściągnęła usta i zamyśliła się.

– Wiesz co, Zach?

Spojrzał na nią.

– To, co się stało, gdy trzymałeś Angel za rękę, nie przypominało tych sytuacji, kiedy rozmawialiśmy z kimś i dotykałeś dłoni tej osoby, żeby ją przeczytać.

Zmarszczył czoło. Czekał.

– Kiedy wasze dłonie się zetknęły – powiedziała Micki – stworzyliście światło.

– Daj spokój, Mick. Chyba nie mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie, partnerze. Zdarzyło ci się coś takiego podczas szkolenia?

– Nie.

– Czy czułeś się inaczej, kiedy dotykałeś Angel?

Pokręcił głową przecząco, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

– Pójdę już. Powinienem się przespać – stwierdził. – Dasz sobie radę sama?

– Jasne – odparła, patrząc mu w oczy. – Myślisz, że jeśli wpakuję w tę rzecz cały magazynek, to ona umrze?

– Szczerze?

Kiwnęła głową, mimo że wiedziała już, jaką usłyszy odpowiedź.

– Przykro mi, ale nie.

– Mimo to spróbuję.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Wiem. – Wstał i podszedł do drzwi. – Zadzwoń do mnie, jeśli wydarzy się coś nietypowego – poprosił.

– Oczywiście. Jutro spróbujemy znaleźć Elięgo, dobrze?

– Być może znajdziemy jakiś trop na uczelni. W końcu ilu mogą mieć doktorantów o imieniu Elijah?

– Więcej niż jednego. Nawet nie wiemy, w czym się specjalizuje. – Oparła głowę o wysoki zagłówek fotela. – Szkoły niechętnie udzielają takich informacji bez nakazu sądowego.

– Wyciągnę z nich wszystko, czego potrzebujemy.

Pewny siebie – z byt pewny siebie, bo przez całe życie zawsze dostawał, czego chciał. Ciekawe, jak to jest, pomyślała, kiedy po jednym spojrzeniu albo dotyku wiesz, że wszystko pójdzie po twojej myśli. Zapewne czujesz się jak bóg.

– Supermoce supermocami, ale nie bądź taki pewny. – Przekrzywiła głowę, żeby lepiej go widzieć. – Założę się, że Parker załatwiłby nam dane tego Elięha w dwie minuty.

– Nie, Mick, nie chcę go w to angażować. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego nie? Pytam poważnie, Harris. Skąd to niezdecydowanie?

– Bo czuję, że jeśli przekazemy mu Gomez, stracimy do niej dostęp. A jest nam potrzebna.

– Do czego?

– Tego też jeszcze nie wiem. To tylko przeczucie. Tak jak to, że... –



zawahał się, jakby nie był przekonany, czy powinien głośno o tym mówić –  
...że ona też nas potrzebuje.

Zapadła cisza. Micki pomyślała o pierwotnym planie, który zakładał, że rozejrzą się po klubach w Dzielnicy Francuskiej, ubiegając w tym FBI, i westchnęła.

– Co?

– Plan A poszedł do diabła.

– Niekoniecznie. Mogę sam zrobić rundę po klubach. Powęszę, może uda mi się złapać trop energii Zwiastuna Ciemności.

– Ja mogłabym pójść.

– Oboje wiemy, że jeśli chodzi o opiekę nad Angel, twoje zdolności przewyższają moje.

– Wiem. I to mnie wkurza. Bardzo.

Roześmiał się.

– To dla ciebie coś nowego, że musisz siedzieć w domu i zbijać bąki.

– A żebyś wiedział.

– Mick, oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, że nie wolno nam zostawić Angel samej.

Zmrużyła oczy.

– Czyżbyś czytał mi w myślach, partnerze?

– Gdzie tam. Po prostu zaczynam cię rozumieć... Obiecuję, że będę cię informował na bieżąco.

# Rozdział 42

ŚRODA, 17 LIPCA  
GODZINA 23:15

Zach sporządził listę barów zaznaczonych na mapie Mick. Postanowił zacząć od ulicy Bourbon, tam gdzie ta wpada w ulicę Canal, i przesuwać się w stronę alei Esplanade, a następnie zaliczać kolejne przecznice, aż dotrze do budynku Jax Brewery – tam znajdowała się meta tego osobliwego clubbingu.

Okazało się, że środowe wieczory w połowie lipca należą raczej do spokojnych. Nawet szum energii utrzymywał się na przyzwoitym poziomie i przypominał buczenie jarzeniówki.

Zach wędrował od klubu do klubu, z jednej strony ulicy na drugą, odtwarzając trasy eskapad Miller i Putnam, tak jak je sobie wyobrażał. W każdym lokalu zamawiał koktajl, którego nie zamierzał pić, ucinał pogawędkę z barmanem, nawet tańczył, kiedy puszczała kawałek, który znał, i krążył w poszukiwaniu energii Zwiastuna Ciemności.

Ale po Złym Wilku nie było śladu.

Ostatnią knajpą na liście Zacha była Kudzu, która znajdowała się na piętrze w budynku Jax Brewery. Panował tam największy tłok.

Wszedł do klubu i nagle szum w jego głowie ustał. Nic. Zupełna cisza.

Dziwne. I to bardzo.

Przecisnął się przez tłum imprezowiczów, podszedł do baru i usiadł na jedynym wolnym stołku. Zauważył troje barmanów: dwóch mężczyzn i kobietę.

Uchwycił spojrzenie jednego z barmanów i dał mu znak. Poczł lekkie mrowienie w palcach.

Barman podszedł i położył przed Zachem podkładkę pod szklanę.

– Co podać?

Dwadzieścia kilka lat. Przystojny. Ciemne włosy i oczy. Niewymuszony uśmiech, lśniące, białe zęby. Jak ulał pasuje do opisu porywacza.

– Wodę gazowaną z limonką.

Barman uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Glina?

– Skąd ten wniosek?

– Stąd, że pijesz wodę gazowaną.

Zach się roześmiał.

– Racja. Pewnie mało kto zamawia coś innego niż alkohol.

– Zwłaszcza samotni faceci w barze w środku tygodnia.

No proszę, pomyślał Zach. Kto tu kogo rozpracowuje?

– To mój piąty przystanek. A jutro do roboty.

Barman przygotował napój i postawił szklaneczkę przed Zachem.

Pochylił się nad blatem.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem handlowcem. – Zach wziął szklanę do ręki. Zimna i wilgotna.

Energii nadal ani śladu. Upił łyk. – Sprzedaję oprogramowanie.

– Twoja twarz wygląda znajomo.

– Wątpię. Jestem pierwszy raz w Nowym Orleanie.

– A skąd pochodzisz?

– Z Kalifornii. – Wypił jeszcze łyk. – U was, mam na myśli klub, przynajmniej coś się dzieje. W innych lokalach pusto, że hula wiatr.

– To dlatego, że jesteśmy modni.

Chciał odejść, ale Zach go zatrzymał.

– A jak jest w piątki wieczorem? Warto zajrzeć?

– To zależy, co lubisz. W piątki przychodzą raczej młodzi ludzie.

– Na przykład ci, którzy właśnie kończą dwadzieścia jeden lat?

Nagle źrenice barmana rozszerzyły się i pociemniały. Wyglądały jak płynne, czarne kręgi... Zach zamrugał i potrząsnął głową.

– Dobrze się czujesz?

Jednak nie, to zwyczajne brązowe oczy, a w nich jedynie ciekawość.

– Trochę zakreśliło mi się w głowie.

– Dobrze, że przerzuciłeś się na wodę gazowaną. – Barman się uśmiechnął. – W takim upale trzeba bardzo uważać, żeby się nie odwodnić. Lepiej się napij, partnerze.

Partner. Mick. Dlaczego tak się do niego zwrócił?

Barman zaczął obsługiwać innego klienta. Zach obserwował go kątem oka. Zauważył coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Co kilka chwil mężczyzna delikatnie się wzdrygał, tak jakby nie czuł się dobrze we własnej skórze. Przez jego ramiona przebiegał lekki dreszcz.

Coś było z nim nie tak.

Zach sięgnął po szklankę. Zobaczył, że dłoń lekko mu się trzęsie. Zmarszczył brwi i cofnął ją. Co jest? Może rzeczywiście się odwodnił? Kiedy ostatnio wypił szklankę wody?

Poczuł pot na górnej wardze. Wytarł go, czując na sobie spojrzenie barmanki. Ponownie spróbował wziąć szklankę. Była pełna.

Nie pamiętał, żeby zamawiał dolewkę. Chyba że może jednak. Dlaczego nie potrafi sobie przypomnieć?

– Ostatnie zamówienia – odezwała się dziewczyna.

Dwadzieścia parę lat, spokojne spojrzenie, ładna.

– Już?

– Mój drogi, ja tu siedzę od dziewiątej, więc dla mnie nie „już”, tylko „wreszcie”.

Mówiła z południowym akcentem. Zach pomyślał o Micki. Powinien się odezwać. Zerknął na zegarek. Trzecia czterdzieści pięć.

Niemożliwe. Przecież wszedł do klubu o północy i siedzi tu dopiero od dwudziestu minut.

– Która godzina? – spytał.

– Za kwadrans czwarta.

– Czas szybko leci, kiedy człowiek się dobrze bawi.

Trochę bełkotał, ale dziewczyna zdawała się nie zwracać na to uwagi.

– Jak masz na imię?

– Mike. A ty?

– Amanda. – Rzuciła okiem na jego dłoń. – Nie nosisz obrączki. Wolny czy tylko udajesz?

– Wolny. I to bardzo.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się. – Bo flirtujesz ze mną całą noc.

– Przecież dopiero się poznaliśmy, Amando.

Roześmiała się.

– Jasne. No, ostatnie zamówienie to ostatnie zamówienie. Na co masz ochotę?

Zaproszenie pod płaszczykiem pytania. Zignorował je.

– Na nic. Już mi wystarczy.

– Co robisz sam w barze w taki wieczór?

– Niedawno przyjechałem do miasta. Sprawdzam, czym Nowy Orlean żyje w środku tygodnia.

Pochyliła się i wsparła brodę na dłoni. Wyeksponowała dekolt tak, że mógł podziwiać kształt jej piersi.

– Jutro będzie jeszcze znośnie, ale w weekend – wariatkowo. A podczas Mardi Gras albo któregoś ze świąt – daj spokój, szpilki nie wetkniesz.

Teraz, doskonała okazja.

– Posłuchaj, Amando, ten twój kolega – pokazał brodą na Nerwusa, jak go ochrzcił – dobrze się czuje?

– Kenny? A co?

– Jakiś taki nieprzyjemny. Zapytał, czy jestem gliną. Czy ja wyglądam na policjanta?

– Chyba że na takiego z Hollywood.

Hollywood. Potrząsnął głową.

– Co powiedziałaś?

Roześmiała się.

– Wiesz, jak Bradley Cooper, Brad Pitt, Matthew McConaughey. Hollywoodzcy gliniarze.

– Traktuję to jak komplement.  
– Bardzo słusznie.  
– To co z tym Kennym?  
– Już mnie o to pytałeś. – Roześmiała się. – Nie dolewasz sobie czegoś do tej wody?

Nie pamiętał. Nic a nic.

Zatrzymał spojrzenie na szklance z napojem. W jednym z klubów ktoś musiał dosypać mu czegoś do drinka. Popatrzył na Kenny'ego, który wdał się w ożywioną dyskusję z drugim barmanem. Zach poczuł, jak wali mu serce.

– Opowiedz jeszcze raz.

Słowa wybrzmiały mu w głowie dziwnym echem, jak wykrzywane w tunelu.

Amanda zachowywała się, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

– Ogólnie jest spoko, ale niedawno rzuciła go dziewczyna i od tamtej pory chodzi struty.

„Struty”? Czy oprócz wzdrygnięcia się obejmuje to porywanie studentek, rycie cyfr na drzwiach i przeobrażanie się w Zwiastuna Ciemności?

– Biedaczek – skomentował Zach.

– Ba.

Kątem oka zauważył, że Kenny wychodzi zza baru i rusza do wyjścia.

Amanda pokazała na pustą szklankę Zacha.

– Na pewno nie chcesz jeszcze jednego? Na koszt firmy.

– Dzięki, ale muszę lecieć. – Położył dwie dwudziestki na blacie i spojrzał Amandzie głęboko w oczy. – Wrócę jutro wieczorem. Ale nie będziesz mnie pamiętała.

– Okej. – Wzięła pieniądze. – Nie mogę się doczekać.

# Rozdział 43

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 3:50

Zach zsunął się ze stołka. Miał nogi jak z waty, ledwo mógł ustać.

Weź się w garść, chłopie, pomyślał. Jeżeli Kenny to człowiek, którego szukamy, może cię doprowadzić do miejsca, gdzie przetrzymuje Miller i Putnam.

Wyszedł z klubu i zamiast zjechać windą, poszedł schodami. Uznał, że z wysokości pierwszego piętra będzie miał lepszy widok na ulicę St. Peter, plac Jacksona i Café du Monde.

Postawił stopę na podeście, lekko się zachwiał i musiał chwycić się poręczy, żeby nie stracić równowagi. Wyminęły go dwie chichoczące dziewczyny. Ich głosy rozbrzmiewały mu w głowie. Zdał sobie sprawę, że śmieją się z niego, bo myślą, że jest pijany.

Zignoruj je. Zbierz się w sobie.

Zszedł na dół i złapał się poręczy oddzielającej chodnik od jezdni. Tłum pieszych znacznie się przerzedził, samochodów na ulicy też było dużo mniej niż wieczorem. Nagły powiew wiatru przyniósł woń czegoś obrzydliwego.

Zach spojrzał w kierunku, z którego doleciał do niego zapach. Kenny. Kieruje się w stronę nabrzeża. Idzie powoli, zgięty wpół, potyka się. Wygląda na pijanego. Albo chorego.

Na pewno nie to pierwsze, pomyślał Zach, bo przecież chwilę wcześniej widział go całkiem trzeźwego. Zatem coś mu dolega. Parker powiedział, że przeobrażenie w Zwiastuna Ciemności jest potwornie bolesne i z czasem coraz trudniej zachować pozory. Pod koniec przekształcenia staje się to praktycznie niemożliwe.

Zach ruszył za Kennym. Ostrożnie, bo nie chciał, żeby barman wyczuł

jego obecność – ale też z obawy przed upadkiem. Nie mógł go teraz zgubić.

Mężczyzna szedł, zataczając się. A może to ja się zataczam?, pomyślał Zach.

Barman skręcił w boczną uliczkę. Zach szedł za nim w bezpiecznej odległości. Kenny wybierał wyludnione i słabo oświetlone alejki. Osiedle. Szeregi domów w amfiladzie, wszystkie zbudowane na palach, większość wyposażona w niewielkie ganki.

Czy Kenny mieszka w jednym z tych budynków? Wyglądają niepozornie. Zupełnie jak dom Ariela Castro w Cleveland<sup>[3]</sup>. Czy barman przetrzymuje tu Putnam i Miller? Związane? Skute? W zamkniętym pokoju? Na strychu?

Zach próbował zapamiętywać nazwy mijanych ulic, żeby dać wskazówki Micki i pozostałym.

Kenny'ego prawie nie widział, za to dobrze słyszał jego chrapliwy oddech i ciężkie kroki na chodniku.

Od czasu do czasu dolatywała do niego woń śmierci.

Uliczka zaczęła się zwężać, a stojące po obu stronach domy urosły i wydłużyły się. Otaczały Zacha, napierały na niego.

Zatrzymał się. Ucichły też kroki Kenny'ego. Nie było słychać jego oddechu.

Zach z trudem nabierał powietrza i usiłował opanować serce, które biło jak oszalałe. Próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni widział przed sobą sylwetkę barmana. Ile czasu minęło? Dwie minuty? Dziesięć? Więcej?

Zdał sobie sprawę z własnego błędu. Powinien był zadzwonić do Micki, kiedy miał ku temu okazję. Albo do Parkera. Wezwać posiłki.

Teraz już nie mógł się zatrzymać.

Nagle zapadła upiorna cisza. Przetoczyła się przez Zacha silna energia, odczuł ją jako przejmujące zimno na rozgrzanej skórze.

Kraniec uliczki utonął w mroku. Zwiastun Ciemności, uzmysłowił sobie Zach. Czeka na niego. Wyczuł jego obecność, jego przyciąganie.



Z myśliwego stał się zwierzyną.

Odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Serce waliło mu tak, że mało nie wyskoczyło z piersi. Strach. Prawdziwy strach, jakiego Zach nigdy nie doświadczył. Krążył w jego żyłach, zmuszał go do wysiłku.

Czy to samo czuła Brite Knight? Tę duszącą energię? Jej niesłabnące przyciąganie?

To wrażenie, że żaden opór, nawet najsilniejszy, na nic się nie zda? Przeczucie, że umrze?

– *Parker... mam kłopoty... potrzebuję...*

A zatem to już. Koniec. Nic więcej nie zostało. Nic już nie mógł...

– *Pomocy... Parker...*

– *Kryjówka. Kościół św. Marii przy dawnym zakonie urszulanek.*

– *Gdzie?*

– *Róg Ursulines i Chartres. Dasz radę?*

Poczuł taką ulgę, że prawie się przewrócił. Widział to skrzyżowanie, na pewno widział.

– *Nie wiem – odpowiedział. – Może.*

– *Boczne wejście. Ze złotym dzwonkiem. Powiem im, że...*

Głos Parkera utonął w zakłóceniach. Zach biegł. Jego serce waliło jak młot, płuca paliły żywym ogniem, a mięśnie ledwo dawały radę go nieść.

Naraz uświadomił sobie, że nie zdąży. Nie dotrze do kryjówki, umrze na ulicy, zamordowany przez potwora, który nawet nie powinien istnieć.

Zwolnił, postawił kilka niepewnych kroków. Czy sklasyfikują go jako ofiarę ataku serca, tak jak Brite Knight? A może Zwiastun Ciemności ma wobec niego inne plany?

Już prawie słyszał triumfalny śmiech potwora. Dusił go strach. Odbierał mu wolę walki. A co z Mick? Zna prawdę, ale nie będzie potrafiła jej udowodnić. Czy zostanie ukarana za swoją głupotę? Zdegradowana?

Czy będzie go jej brakowało?

– *Wyzbądź się strachu, synu. On go czuje i wykorzystuje, by tobą manipulować.*

Kobięcy głos. Ten sam co wcześniej. Nie należy do Brite. Kim więc...

Powiedziała „synu”.

Matka.

Ta, która go porzuciła. Ta, którą przez całe życie pragnął poznać.

– *Oddychaj, mój kochany. Nie umrzesz dzisiaj. Chodź za mną.*

Otworzyła się przed nim ulica. Matka była niczym światło, które wskazywało drogę. Podążył za nią na oślep, czując, jak powietrze wraca do jego płuc i ożywia serce oraz mięśnie.

Dumaine, potem przez St. Phillip i na Ursulines. Dalej w prawo na Chartres. Z przodu kościoła, wyrastający z mroku nocy monolit. Rozetowe okna, złote litery na zdobionej fasadzie. Kościół św. Marii.

Już prawie na miejscu, pomyślał. Jeszcze tylko kilka kroków. Odgłos w ciemności. Wycie albo ryk. A może to tylko szum krwi napływającej do głowy?

Zaszedł z boku. Wejście. Dzwonek. Zadzwoił i zaczął dobijać się pięściami do ciężkich drewnianych drzwi.

Otworzyły się. Zach wsunął się do środka i padł na zimną kamienną podłogę.

Ksiądz. Stary i zgarbiony. Pochyliła się nad nim. Ma oczy koloru wiosennego nieba.

– *Matko, nie odchodź.*

Dźwięk zza murów kościoła. Wycie wiatru. Syrena.

Pradawne zło.

– *Matko, nie opuszczaj mnie.*

Głuchy odgłos zamykanych ciężkich wrót. Życzliwe spojrzenie kapłana. Pozostałych wyczuł, ale nie zobaczył. Cisza.

Potem pustka.

# Rozdział 44

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 9:15

Zach obudził się na uporczywy dźwięk dzwonka telefonu. Pękała mu głowa. Czuł się, jakby ktoś borował mu w mózgu wiertłem udarowym.

Po omacku sięgnął po komórkę, ale nie trafił i zrzucił ją z szafki nocnej na podłogę. Przynajmniej przestała brzęczeć.

Szafka nocna. Zmusił się do otwarcia powiek i rozejrzył po pomieszczeniu. Był we własnym mieszkaniu. Przez żaluzje wpadały promienie letniego słońca.

Zapiekły go oczy, więc tylko jęknął i obrócił się na bok. Bolały go wszystkie mięśnie. Piers, plecy, kark, ramiona, ręce – wszystko.

Co, u diabła? Dlaczego...

Kudzu. Nerwus. Mrowienie w palcach, nogi jak z waty.

Ale co potem?

Stęknął i usiadł na łóżku. Następnym etapem było wstawanie. Postawił stopy na podłodze i dźwignął się z materaca. Pełne obciążenie dla nóg. Koszmar.

Nie dał rady, usiadł z powrotem. Zbadał stopy – wyczuł pęcherze. Świeże. Otwarte.

Ucieczka. Tupot stóp na chodniku. Serce walące jak młot pneumatyczny.

Paraliżujący strach.

Poczuł, że w reakcji na wspomnienia przyspiesza mu puls. Przeczesał włosy palcami i podjął drugą próbę wstania pomimo bólu. Udało się. Włożył spodenki i koszulkę.

Śmierdział. Cuchnął tak, że aż łzy pociekły mu z oczu. Przypomniawsobnie. Ciemna noc. Spocony od biegu. Niewiele brakowało, a by się

przewrócił.

Powoli poszedł do łazienki. Odkręcił wodę, skorzystał z toalety, potem wszedł pod gorący strumień. Stał pod prysznicem i pozwalał, by kojąca woda spływała mu po obolałych ramionach, karku i plecach. Ból głowy nieco zelżał. Zesztywniałe mięśnie zaczęły się rozluźniać.

Myślał intensywnie. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły. Przystojny barman. Kenny. Promienny uśmiech i dziwne źrenice, jak płynne okręgi. Miał dreszcze, jakby się wzdrygał.

Jakby czuł się źle we własnej skórze.

Flirt z barmanką – Amandą. Szklanka – ciągle pełna, choć nie pamiętał, żeby prosił o dolewkę. Mijał czas.

Kenny wyszedł z baru. Zach za nim.

Potem... pustka.

Jedynie tupot moich własnych stóp, pomyślał. I strach.

Musiało być coś jeszcze. Wyczuwał to, czaiło się na skraju świadomości, ale uparcie poza zasięgiem.

Namydlił się i umył głowę. Stał pod prysznicem, dopóki woda nie zrobiła się zimna, potem wyszedł. Znowu zadzwoniła komórka, którą zostawił w sypialni. Pewnie Micki albo Parker. Niech dzwoni.

Usiadł na brzegu wanny, posmarował kremem pęcherze na stopach i zakleił je plastrem. Pokręcił głową.

Oto Zach Harris. Superbohater.

Kiedy wracał do sypialni, telefon znowu zabrzączał. Podniósł go z podłogi. Jednak Micki.

– Cześć. – Pierwsze słowo tego dnia. Bardziej przypominało skrzeczenie żaby niż głos człowieka.

– Gdzie ty się, u diabła, podziewasz?

Cała Mick.

– Jestem w domu.

Chwila ciszy.

– Masz pojęcie, która jest godzina?

Odchrząknął.

– Najmniejszego.

– Dziewiąta, do jasnej ciasnej. Właściwie już po.

Pokuśtykał do kuchni.

– Dzwoniłam do ciebie pięć razy...

– Zaczekaj.

Odłożył telefon na blat, wstawił kawę, połknął trzy tabletki przeciwbólowe, popijając je dwiema szklankami wody, i dopiero wtedy ponownie sięgnął po aparat.

– No już.

– Lepiej zacznij gadać, Harris. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wybierałeś się do Dzielnicy Francuskiej na rekonesans i obiecałeś, że będziesz się odzywać. I co? Cisza. Już myślałam, że znajdą cię w jakimś rowie, na miłość boską...

– Och, Mick – udało mu się powiedzieć czystym głosem. – Martwiłaś się o mnie?

– Może nie pamiętasz, ale dostałam rozkaz, aby chronić twoje dupsko.

Wstał, nalał sobie kawy i znów usiadł.

– Ktoś mi podał drinka zaprawionego prochami. Ostro mnie wzięło. Chociaż nie jestem pewien, czy tak właśnie było.

– Wyjaśnij.

Opowiedział jej o rundzie po lokalach, o mrowieniu w palcach, kiedy wszedł do Kudzu, o stracie poczucia czasu, o nogach jak z waty.

– Obudziłem się w domu, ale nie pamiętam, jak się tu dostałem. Mięśnie bołą mnie tak, jakbym pojedynkował się z samym diabłem, a stopy mam całe w pęcherzach... Natomiast dobra wiadomość jest taka, że namierzyłem go. Mam go, Mick, naszego gościa. Wiem, gdzie pracuje.

– Jasna cholera! Gdzie?

– W klubie Kudzu w Jax Brewery. Idealnie odpowiada opisowi.

– Naszemu czy FBI?

– Obu. Zgadza się wiek, kolor włosów, uroda i tak dalej. Tyle że ma tik.

– Jak to: tik? Co to znaczy?

– No, nieregularne skurcze mięśni, coś jak wzruszenie ramionami. Wygląda to, jakby się wzdrygał. I wysyła dziwne wibracje, energię chorego człowieka. Sprawia wrażenie takiego, który ledwo się trzyma.

– A energia Zwiastuna Ciemności? Czy ten człowiek...

– Nie.

– Nie? – powtórzyła.

Usłyszał zaskoczenie w jej głosie. Niedowierzenie. To był ich as w rękawie.

– Nie wyczułem jej. Nigdzie.

– Niemożliwe. Zupełnie nigdzie?

– Mimo wszystko sądzę, że to on. Miał coś takiego w oczach... Wspomniałem o piątkowych tłumach i że dzieciaki świętują dwudzieste pierwsze urodziny, a wtedy jego oczy... zrobiły się dziwne. Tak jakby źrenice rozszerzyły się i zwężyły. Aż dostałem gęsiej skórki.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Mam tylko imię. Kenny.

Micki milczała przez dłuższą chwilę.

– Czy jesteś pewny, że to nasz porywacz?

– Na tyle, na ile może być pewny ktoś, kto stracił poczucie czasu, bo dosypano mu do drinka nie wiadomo czego.

– Rozpoznał cię?

– Nie sądzę. Myślę, że jest chory.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nagle opuścił klub. Poszedłem za nim...

– Chwileczkę. Poszedłeś za nim? Bez wsparcia? Co ty sobie wyobrażasz, Harris! Mogło ci się coś stać! – Zaklęła pod nosem. – Jesteś pewien, że nie zorientował się, że go śledzisz? Jeżeli cię poznał, to już po ptakach. Facet może być teraz gdziekolwiek.

Zach dopił kawę i wrócił do sypialni.

– Nie, spokojnie. Zachowywałem spory dystans. Ani razu nie obejrzał

się za siebie, szedł w miarę równym tempem, mimo że często się potykał i zginał w pół.

Zaczął się ubierać.

– Zgubiłem go gdzieś w Dzielnicy. Ale wtedy już czułem się fatalnie.

– I to wszystko?

– Sądząc po wyglądzie moich stóp, pewnie nie, ale nic więcej nie pamiętam.

Mruknęła coś, czego nie usłyszał, wiedział jednak, że lepiej nie prosić o powtórzenie.

– Trzymamy się planu – orzekła w końcu. – Najpierw pojedziemy na uczelnię i spróbujemy dowiedzieć się czegoś o tajemniczym Elim, który uratował Angel. No, Harris, zbieraj dupę w troki i przyjeżdżaj na Ósemkę.

– Melduję, że dupa zebrana i gotowa do wyjścia.

# Rozdział 45

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 10:50

Dziekanat Uniwersytetu Tulane'a znajdował się na kampusie uczelni, w Gibson Hall. Oczy obsługującej sekretariat młodej, ładnej kobiety zaświeciły na widok Zacha.

Bułka z masłem, pomyślała Micki. Niech rzuci zaklęcie.

– Dzień dobry – odezwała się brunetka, nie odrywając wzroku od Zacha.

– Czym mogę... służyć?

– Detektywi Dare i Harris – powiedziała Micki i pokazała odznakę. – Mamy...

– ...nadzieję, że zachce nam pani pomóc – dokończył za nią Zach głosem ociekającym słodyczą. – Otóż szukamy jednego z państwa doktorantów.

– O. – Sekretarka otworzyła szerzej oczy.

– Proszę się nie martwić, nic mu nie grozi. Po prostu musimy z nim porozmawiać.

Zach się uśmiechnął. W oczywisty sposób oplatał ją swoją siecią. Micki z trudem powstrzymała się przed przewróceniem oczami.

– Jak się nazywa?

– Sęk w tym, że znamy tylko imię. Elijah. – Zach pochylił się nad biurkiem, roztaczając swój czar. – Ale gdyby zechciała pani przeszukać bazę...

– Czym się zajmuje?

– Tego też nie wiemy.

Zwróciła na nich uwagę kobieta siedząca przy drugim biurku. Miała minę, jakby zjadła na śniadanie coś bardzo, ale to bardzo kwaśnego.



Wstała i podeszła.

– Pozwól, Jeanette, że ja się tym zajmę. Mary Maripaus, kierownik dziekanatu. W czym mogę pomóc?

Zachowi jakby podcięto skrzydła. Ale trzeba przyznać, że nawet nie mrugnął okiem.

– Detektywi Harris i Dare. Bardzo nam miło...

– Czy mogę zobaczyć państwa odznaki?

– Ależ naturalnie – odparł Zach.

Obejrzała je z miną fachowca od fałszerstw. W końcu pokiwała głową, oddała dokumenty i zapytała:

– Państwo w jakiej sprawie?

– Staramy się ustalić miejsce pobytu jednego z waszych doktorantów. Ma na imię Elijah, zdrobniale Eli. To niestety wszystko, co o nim wiemy.

– No cóż, przykro mi, ale nie mogę państwu pomóc.

– Pani Maripaus. Mary – powiedział Zach, patrząc jej prosto w oczy. – Zdaję sobie sprawę, że nasza prośba nie należy do typowych, ale jestem przekonany, że m o ż e nam pani pomóc. I na pewno c h c e to zrobić.

Wpatrywała się w niego. Jest jego, pomyślała Micki, ale wtedy kierowniczką ściągnęła usta i jej mina zrobiła się jeszcze bardziej skwaśniała.

– Muszę pana rozczarować. Uśmiech i słodkie oczy działają na młode dziewczyny, takie jak Jeanette, ale z pewnością nie na mnie. Prosi pan o dostęp do bazy, oczekując, że udzielę panu informacji o wszystkich studentach, którzy mają na imię Elijah – a zapewniam, że jest ich wielu – po to, by mógł pan ich nachodzić.

Zdumienie Zacha wyglądało wręcz komicznie.

– Pani Maripaus, detektyw Harris nie chciał być nieuprzejmy – wtrąciła szybko Micki. – Musimy porozmawiać z Elim w sprawie dwóch zaginionych studentek. Jedna z nich, jak się pani na pewno orientuje, studiowała na waszej uczelni. Uważamy, że Elijah miał kontakt z jedną z zaginionych. Każda informacja jest cenna i może nas naprowadzić na trop

tych dziewcząt.

Mina kierowniczkii nieco złagodniała, ale Maripaus i tak pokręciła głową.

– Jeżeli naprawdę jesteście z policji, to wiecie, że uczelni nie wolno ujawniać danych osobowych studentów. Nie złamię dla was prawa. Jeżeli uzyskacie nakaz sądowy, oczywiście natychmiast udostępnię wszelkie informacje, jakich zażądacie.

– Liczy się czas. Gdyby mogła nam pani pomóc w jakikolwiek...

– Nie mogę pomóc w żaden sposób. Ale z doświadczenia wiem, że sędziowie działają szybko, kiedy policja dysponuje konkretnymi dowodami.

– Ała – mruknęła Micki, kiedy wychodzili z dziekanatu. Zach nie odpowiedział, więc dodała: – Witaj w świecie zwykłych ludzi, partnerze. Do kitu, co?

– Nie chce mi się o tym gadać – bąknął.

– Jasne, szkoda, że tym razem twoja magia nie ułatwiła nam życia, ale zobaczyc, jak ktoś opiera się twojemu urokowi – to po prostu bezcen...

– Detektywie Harris!

Odwrócili się i zobaczyli śliczną Jeanette z dziekanatu. Kiedy ich dogoniła, miała lekką zadyszkę. Wręczyła Zachowi złożoną kartkę.

– Kojarzę pewnego Eliego. Jest jednym z asystentów profesora Truebella z Wydziału Filozofii. Od razu przyszedł mi do głowy, bo pan mi się z nim skojarzył. Macie podobne oczy.

Uśmiechnęła się i w jej lewym policzku pojawił się słodki dołeczek. Micki uznała, że nienawidzi tej dziewczyny – jej i wszystkich ślicznotek z rozbajającym uśmiechem i dołeczkami w policzkach. Życie nie jest fair.

– Muszę lecieć, zanim Czepialska zorientuje się, że wcale nie wyszłam do toalety.

Pobiegła z powrotem, ale po kilku krokach odwróciła się i zawołała.

– Aha, na kartce jest też mój numer telefonu! Proszę zadzwonić!

Zach uśmiechnął się pod nosem.

– Mówiłaś coś, partnerko?

– Nie chce mi się o tym gadać.

– Nie wiem, czy to poprawi ci humor, ale założę się, że z nas dwojga to ty wpadłaś w oko pani Czepialskiej.

– Stul dziób, Harris. Mamy trop, to pójdźmy nim.

Kwadrans później stali już przed gabinetem profesora Lestera Truebella. Na szczęście zastali go w trakcie dyżuru – ale i tak musieli poczekać, ponieważ właśnie przyjmował studenta.

Po kilku minutach student wyszedł i profesor zaprosił Micki i Zacha do siebie. Wyglądał jak skrzyżowanie Świętego Mikołaja z jednym z jego elfów pomocników, był dziarskim panem z gęstą, siwą brodą, choć drobnym, chudym i żylastym.

Miał młodą twarz, jak na swój wiek, który, jak oceniła Micki, patrząc na jego przerzedzające się i siwiejące włosy, wynosił co najmniej pięćdziesiąt lat.

– Witam – powiedział z uśmiechem. – Nazywam się profesor Truebell. – Przekrzywił głowę. – Nie kojarzę państwa z zajęć.

– Nie jesteśmy studentami. Detektywi Dare i Harris z policji nowoorleańskiej – odparł Zach.

Profesor uniósł brwi.

– Rozumiem, że mogę państwu jakoś pomóc?

– Chyba tak. Szukamy jednego z pana asystentów. Nazywa się Elijah Wetekamm.

– Eliego? A cóż takiego przeszkrobał?

– Chcemy z nim tylko porozmawiać. Niewykluczone, że miał kontakt z jedną z zaginionych studentek. Być może udzieli nam informacji, które pomogą w ujęciu porywacza.

– Jestem przekonany, że chętnie odpowiedziałby na państwa pytania, ale obawiam się, że wyjechał.

– Wyjechał? – powtórzyła Micki. – Na dzień? Na tydzień?

– Niestety, na cały letni semestr. Ktoś w jego rodzinie potrzebował pomocy, więc pojechał. Zrezygnował z prowadzenia zajęć.

– Kiedy to się stało?

– W poniedziałek rano.

Micki zmarszczyła czoło.

– Nie uważa pan, że to dziwne, profesorze?

– W życiu, pani detektyw, nie chodzi o to, co robimy dla siebie, lecz o to, co możemy zrobić dla innych. – Uśmiechnął się. – Ot, przemawia przeze mnie stary filozof.

Było w tym mężczyźnie o prezencji chochlika coś, co sprawiało, że Micki chętnie spędziłaby z nim parę godzin w Shannon's Tavern, przerzucając się opowieściami i mądrościami życiowymi nad piwem i orzeszkami.

Ale to nie wchodziło w rachubę.

– Jak możemy się z nim skontaktować? – zapytała. – Czy ma pan jego numer telefonu? E-mail?

– E-mail owszem, jak najbardziej, na pewno sprawdzi. Ale telefonu komórkowego Eli nie ma.

Micki spojrzała na Zacha i zobaczyła jego pełną niedowierzania minę.

– To zaskakujące, profesorze Truebell. Większość młodych ludzi nie wyobraża sobie życia bez komórki.

– Właśnie dlatego Eli nie ma telefonu. Ja zresztą też nie. Aby aktywnie żyć terażniejszością, należy jej doświadczać. A nie sposób tego robić, będąc uwiązanym do elektronicznej zabawki.

– Widzę, że karmi nas pan filozofią.

Uśmiechnął się.

– Każda okazja jest dobra, by się pożywić. Dam wam ten e-mail. – Podszedł do biurka i napisał adres na kartce, którą wręczył Micki. – Żałuję, że nie mogę bardziej pomóc.

– Jeżeli pan Wetekamm się odezwie, proszę mu powiedzieć, żeby do nas zadzwonił. To może być sprawa życia lub śmierci.

Truebell przyjął wizytówkę. Zach wyciągnął do niego rękę.

– Dziękujemy, profesorze.

Truebell przyglądał się chwilę dłoni Zacha, ale w końcu ją uścisnął.

– Bardzo proszę. Powodzenia w śledztwie.

Micki zerknęła na minę Zacha: drgnęły mu kąciaki ust, zatem to, co jej partner wyczytał w profesorze, musiało go rozbawić.

– Co cię tak rozśmieszyło? – zapytała, kiedy już byli przy samochodzie.

– Wpadłaś profesorowi w oko. Okazuje się, że nasz filozof lubi ostre laski.

– „Laski”?

– To jego określenie, nie moje. Kręcą go kobiety z bronią.

– Cudownie. – Przewróciła oczami. – I to wszystko? Nic o Elim albo Angel?

– Nic. Mówił prawdę. Eli wyjechał, żeby zaopiekować się kimś z rodziny.

– Możliwe, że to wcale nie ten Eli, którego szukamy.

– Sądzę, że to jednak on.

– Po tym, co Jeanette powiedziała o jego oczach?

– Tak, oraz po tym, że wyjechał „w nagłej sprawie rodzinnej” akurat wtedy, kiedy zamordowano Knight.

– Gdzie masz tę kartkę, którą dostałeś od Jeanette?

– Noszę ją na sercu – zażartował. – A co?

– Poszukam go w Google’u. – Wsiedli do auta. – Przypomnij mi nazwisko.

– Wetekamm. Elijah.

– Przeliterujesz? – Zrobił, o co prosiła. Wklepała nazwisko do wyszukiwarki. – Jest. Rzeczywiście ma błękitne oczy i wyjątkowo intensywne spojrzenie.

Uruchomił silnik i nachylił się do Micki.

– Pokaż.

Podsunała mu telefon i przewinęła stronę.

– Udziela się w fundacji pomagającej trudnej młodzieży. Lubi uszczęśliwiać innych, nawet wbrew ich woli.

- Pasuje do tego, co mówił o nim Truebell.
- Tu masz zdjęcie, na którym są razem. Jakaś impreza. Truebell odbiera nagrodę.
- Musimy upewnić się, że chodzi o właściwego Elijaha. Pokażmy...
- ...Angel jego zdjęcie. Też mi to przyszło do głowy.
- Nie może być. – Wyjechał z parkingu. – Czy to znaczy... aż boję się zapytać... czy to znaczy, że myślimy podobnie?
- Prychnęła.
- Chyba śnisz, Houdini z Hollywood. To t y zaczynasz myśleć tak jak ja. Posłał jej rozbawione spojrzenie.
- To dobrze?
- Uśmiechnęła się.
- Jeszcze jak. Za godzinę zbiera się zespół. Myślę, że powinniśmy podzielić się obowiązkami.
- Zgoda. Ty mówisz ich językiem, Mick. Ja tylko bełkoczę po superbohatersku. Nie zrozumieliby mnie.
- Roześmiała się.
- Masz rację, Hollywood. Sprawdź, co u Angel, i pokaż jej zdjęcie. Ja zajmę się spotkaniem. Widzimy się później.
- Rozkaz!

# Rozdział 46

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 13:10

Rozdzielili się przed Ósemką. Zach pojechał do mieszkania Micki, po drodze robiąc dwa przystanki. Najpierw zajrzał do kanapkarni Teddy'ego i pocieszył Fran, że Angel jest cała i zdrowa – a także poprosił, by każdemu, kto będzie pytał, odpowiadała, że nie widziała przyjaciółki i nie wie, gdzie jest. Dodatkowo zaopatrzył się w lunch dla siebie i Angel. Następnie wstąpił do CC's CoffeeHouse i kupił jedną z mrożonych kaw, za którymi Angel przepadała.

Po przyjeździe do domu Micki zastał Angel w pokoju. Siedziała po turecku na łóżku, pochylona nad notatnikiem.

– Cześć – powiedział, stając w drzwiach. – Mogę?

Podniosła głowę i rozsunęły się ciemne, jedwabiste włosy, które zasłaniały jej twarz niczym kurtyna scenę w teatrze.

– Pewnie.

Podsunał sobie niskie, rozchybotane krzesło.

– Co robisz?

– Rysuję.

Tym razem nie spojrzała na niego. Sądził, że będzie siedziała przed telewizorem albo w internecie, a nie pochylona nad notatnikiem wielkości szkolnego zeszytu.

– Mogę zobaczyć?

– A naprawdę chcesz?

– Tak.

Podawała mu notatnik i prędko odwróciła głowę, jakby bała się zobaczyć jego minę, kiedy będzie przeglądał zawartość.

Notatnik wypełniały szkice różnymi technikami: ołówkiem, długopisem, flamastrami. Jakby rysowała po prostu tym, co akurat miała pod ręką. Obrazy były mroczne, poetyckie, nasycone symboliką i niepokojem: tym, co piękne i brzydkie, życiem i śmiercią, radością i bólem.

Były niesamowite.

Popatrzyła na niego nieśmiało, kiedy jej to powiedział.

– Naprawdę tak sądzisz?

– W przeciwnym razie bym tego nie mówił. Uczyłaś się rysunku?

– Zabawne.

– Co takiego?

– Niby gdzie miałabym się uczyć?

– Nie wiem. Ale właściwie to niewiele wiem o tobie.

– Chciałabym być artystką.

– Patrząc na zawartość tego notatnika, można śmiało powiedzieć, że nią jesteś. Angel, to są naprawdę dobre rysunki.

Zarumieniła się i wzruszyła ramionami.

– Wyśniły mi się i tyle. Więc chyba nie jestem „prawdziwą” artystką.

– Nie rozumiem. Co to znaczy, że się „wyśniły”?

– W nocy rodzą się i rozwijają. A kiedy się budzę, przychodzą do mnie.

– Każdej nocy?

– Nie, nie każdej.

Oddał jej notatnik.

– Co to znaczy, że się „rozwijają”?

– Pokażę ci.

Przewertowała notatnik i znalazła rysunek serca wypuszczającego korzenie. Przerzuciła kilka stron i pokazała niemal identyczny rysunek, ale tym razem serce spowijały płomienie. Kilka stron dalej to samo serce miało skrzydła. A w następnej odsłonie w półkolu pod sercem widniały gwiazdozbiory.

Zach przekrzywił głowę. Obraz wydał mu się znajomy, choć był pewien, że nigdy wcześniej go nie widział.



- Skończony?
- Nie wiem. – Pomasowała się po boku. – Ale raczej nie.
- Znowu cię boli?
- Trochę, to nic wielkiego. Może dlatego, że o tym rozmawiamy.
- O czym?
- O moim tatuażu.
- Wytatuowałaś sobie ten rysunek na boku?
- Pomyślałam, że to ważne. Bo mogę na przykład zgubić notatnik. –

Speszona odwróciła głowę. – Wiem, że to dziwactwo.

- Nie oceniam cię, Angel.

Łypnęła na niego.

- Nie jest przyjemnie, kiedy ludzie to robią. Nie lubię tego.
- Ja też nie.

Zamilkła na chwilę.

– Wczoraj powiedziałaś, że tak jak Brite i Eli różnimy się od innych i to nas łączy.

- Zgadza się.

Zmarszczyła lekko czoło, jakby analizowała jego słowa.

- Zastanawia mnie coś.
- Co takiego?
- Przez całe życie nie spotkałam nikogo podobnego do mnie.
- Ja też nie. I co z tego?
- Dlaczego akurat teraz?

Zaskoczyło go jej pytanie.

- Ale z ciebie mądrała, wiesz?

Roześmiała się i zmarszczyła nos.

- E tam. Ale poważnie: jak myślisz? Dlaczego teraz?

Szóstkę, pomyślał, ale potem odrzucił tę odpowiedź.

- Nie wiem. Co usłyszałaś od Eliego i Brite?
- Tylko tyle, że jestem wyjątkowa. – Znowu pomasowała się po boku. –

No, ale to już przecież wiedziałam.

– Bardzo boli?

– Mniej niż tamtej nocy.

– Kiedy spotkałaś Elięgo, uciekając przed cieniem?

Potwierdziła skinieniem głową.

– Znaleźliście go?

– Być może. – Zach wyjął telefon i otworzył plik ze zdjęciem. Podał jej aparat. – Czy to twój Eli?

– Aha. Nic mu nie jest?

– Nie. Dlaczego nie powiedziałaś, że ma takie oczy jak ja?

Oddała telefon.

– Nie sądziłam, że to ważne.

– Pewnie masz rację. – Wstał. – Przyniosłem lunch od Teddy'ego. I mrożoną kawę.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i zsunęła z łóżka.

– Super! Padam z głodu!

Roześmiał się i zaprowadził ją do kuchni, gdzie dosłownie rzuciła się na kanapkę z pieczoną wołowiną. Zagryzła ją frytkami maczanymi w sosie. Zach był zdumiony ilością jedzenia, jaką zdołała pochłonąć – a także tempem, w jakim to zrobiła. Siorbała już kawę, kiedy on dopiero przymierzał się do drugiej połowy kanapki. Postanowił zawinąć ją z powrotem w papier i zostawić na później – dla Angel.

Kiedy jej o tym powiedział, nagrodziła go uśmiechem.

– Dzięki. Nie znalazłam tu zbyt wiele do jedzenia. – Pokazała na kuchnię Micki.

Jakoś go to nie zdziwiło.

– Słuchaj, muszę już jechać. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie mam jak się z tobą skontaktować.

– Dam ci numer. – Wziął od niej ołówek i notatnik, a następnie dużymi, starannymi literami zapisał swoje nazwisko oraz numer telefonu. – Dzwoń o każdej porze. Bez względu na wszystko.

Spojrzała na niego lekko zdziwiona.

– Ale wrócisz, prawda?

– Jasne, że tak. Mick też.

– To dobrze. – Przekrzywiła głowę. – Lubię cię, Zach. Z początku nie byłam pewna, ale już jestem.

Uśmiechnął się.

– Ja też cię lubię.

– Obiecujesz, że wrócisz?

– Obiecuję. – Zebrał się do wyjścia. – Posłuchaj, Angel – odezwał się w progę. – Skąd wiesz, że to, co robisz, nie jest dziełem prawdziwego artysty?

Ściągnęła usta w zamyśleniu.

– Bo prawdziwy artysta rysuje to, co widzi, i potrafi sprawić, że wygląda to dobrze. Ja tak nie umiem.

– Nie zawsze. Byłaś kiedyś w muzeum sztuki?

Pokręciła głową.

– Nie, ale zaglądałam przez okno do paru galerii w Dzielnicy.

– Chciałabyś pójść, kiedy już się uspokoi?

– I będę bezpieczna?

– Tak.

Pokiwała głową.

– A jest takie muzeum w Nowym Orleanie?

– Jest, w City Park.

– Chętnie. Dzięki, Zach.

– Nie ma za co. Pamiętaj: nie wychodź z domu ani nikomu nie otwieraj.

Przyrzekła, że będzie o tym pamiętała.

Kiedy wyszedł od Micki, spotkał Parkera, który czekał w aucie z włączonym silnikiem. Pochylił się, otworzył drzwi od strony pasażera i powiedział:

– Wsiadaj.

# Rozdział 47

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 14:15

- Dokąd jedziemy? – zapytał Zach, zapinając pasy.
  - Musisz się z kimś spotkać.
  - Z kim?
  - Dowiesz się na miejscu – odparł Parker i ruszył. – Wiem, że macie dziewczynę.
  - Jaką dziewczynę?
  - Zgrywanie idioty do ciebie nie pasuje, Harris.
  - Skąd o niej wiesz?
  - Od przyjaciela. – Spojrzał na niego. – Prędzej czy później dowiem się o wszystkim, co robisz.
  - Może być dużo, dużo później – zauważył Zach.
  - Albo prędzej niż pomyślisz. – Parker skręcił w aleję St. Charles i ruszył w stronę Carrollton. Po torach między jezdniami przetoczył się jasnoczerwony tramwaj. – Ukryliście Gomez u Dare, zgadza się?
  - Tak.
  - Słusznie. Powinna być tam bezpieczna. Przynajmniej na razie. Jak ją znaleźliście?
  - Przez Fran, jej przyjaciółkę. Angel przyszła do niej po tym, jak Brite ostrzegła ją, że Zwiastun Ciemności...
  - ...przybywa po nią.
  - Skąd wiedziałeś?
- Parker zignorował pytanie.
- Powinieneś był natychmiast dać mi znać. Dlaczego tego nie zrobiłeś?
  - Bo czułem, że ze mną i z Mick Angel będzie bezpieczniejsza – odparł,

decydując się na ujawnienie tylko części prawdy.

– Miałaś rację.

– W mieszkaniu Mick nic jej nie grozi, ponieważ Mick nie jest jedną z nas.

– Tak.

– Czy kontakt ze mną może być dla niej niebezpieczny?

– Na razie nie. Ale będziecie musieli ją przenieść do kogoś, kogo Dare zna i komu ufa, a kogo ty nie znasz.

– Dlaczego? Co się dzieje?

Parker patrzył prosto przed siebie.

– Wkrótce się dowiesz.

– Znowu robisz uniki? – Zach prychnął. – Mam już tego serdecznie dość.

– Mówisz jak Dare.

– Ona nie jest taka zła. Z nią przynajmniej wiem, na czym stoję.

– O to właśnie chodzi.

Zach chciał zapytać Parkera, co ma na myśli, ale odpuścił sobie, ponieważ wiedział, że nie dostanie jasnej odpowiedzi.

Zamilkli. Zach patrzył na ulice, które mijali, i notował w pamięci ich nazwy: Oak, Willow, Spruce<sup>[4]</sup>. Brzmi zachęcająco, pomyślał.

W miarę jak zbliżali się do węzła łączącego aleję Carrollton z autostradą I-10, rozłożyste dęby i piękne stare budynki zaczęły ustępować nijakim, sfatygowanym punktom usługowym.

Parker nie skręcił na autostradę, tylko wybrał pas do jazdy prosto. Kiedy wyjechali spod estakady, znów znaleźli się w otoczeniu typowym dla dzielnicy mieszkalnej. Po obu stronach ulicy stały stare domy w amfiladzie i bungalowy w południowym stylu. Większość w opłakanym stanie.

– Jesteśmy w Mid-City – powiedział Parker. – Katrina dokonała tu wielu zniszczeń, ale dzielnica powoli wraca do stanu sprzed kataklizmu.

Parker przejechał kilka przecznic i skręcił w ulicę Canal. Zupełnie inny krajobraz – stare budynki, którym dano nowe życie, zamieniając je w punkty usługowe i siedziby firm: tu agencja reklamowa, tam pensjonat, kancelarie

prawnicze, restauracje. Zakład pogrzebowy. Większość ze lśniącoymi szyldami i połyskującymi witrynami, zadbanymi ogródkami i świeżo pomalowanymi okiennicami.

– Już prawie dojechaliśmy.

– Ludzie, z którymi mam się spotkać. Kryjówka. – Pokręcił głową. – Przesadzasz z tymi tajemnicami.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

Zach posłał Parkerowi długie, badawcze spojrzenie.

– Chyba nie chodzi o mokrą robotę?

Parker się uśmiechnął.

– Pracujemy w FBI, a nie dla mafii.

– Dobrze, że wyjaśniłeś. Bo przez chwilę miałem wątpliwości.

– Mandina's. – Parker wskazał palcem jedną z knajpek. – Mają najlepsze kanapki ze smażonymi ostrygami. Ale musisz przyjść wcześniej, kiedy oliwa jest jeszcze świeża.

Zatrzymał się przed jednym z odnowionych domów. Torami, które tak jak na St. Charles biegnęły pomiędzy jezdniami, przetoczyły się dwa jadące w przeciwnych kierunkach tramwaje.

Zach przyjrzał się budynkowi: piętrowy, wiktoriański, co najmniej stuletni. Z boku okno witrażowe z nieczytelnym z tej odległości motywem. Przed domem, na niewielkim skrawku trawnika, piękne drzewo, dające dużo cienia, oraz betonowy stół tarasowy z błękitnym parasolem. I drewniana tabliczka, która kołysała się na wietrze.

„Posłannictwo Zagubionych Aniołów”.

Wysiedli z wozu.

– Chodźmy – powiedział Parker. – Czekają na nas.

Zach uświadomił sobie, że to nie Parker odpowiada za spotkanie. Agent jest tylko, nomen omen, posłańcem na usługach kogoś będącego wyżej w łańcuchu pokarmowym.

Ta refleksja dodatkowo pobudziła jego ciekawość. Otworzyli żelazną furte; Zach zauważył, że została podłączona do alarmu na wypadek

nieproszonych gości. Nad wejściem zamocowano kamerę.

Parker zadzwonił do drzwi i popatrzył w obiektyw. Rozległ się brzęczek domofonu i drzwi się otworzyły.

Weszli i znaleźli się w pięknym salonie. Światło, które wpadało przez okno witrażowe, rzucało kolorowe wzory na podłogę z cyprysowych desek. Na piętro prowadziły schody z podwójnym spocznikiem i starą, ale solidną poręczą.

Coś podrażniło zakończenia nerwowe Zacha. Jakby wbiły mu się w skórę odłamki szkła. Energia. Dużo energii. Nie kłuła ani nie szczypała, lecz szumiała.

Zanim Zach zdążył to sobie przetworzyć, na szczycie schodów ukazała się postać profesora Lestera Truebella.

– Dzień dobry, detektywie Harris. Witam w PZA.

# Rozdział 48

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 15:05

Truebell. T Do Zacha dotarło, że to ten „przyjaciel”, który poinformował Parkera o Gomez. Popatrzył na Parkera.

– Jest jednym z nas?

– To zależy, co rozumiesz pod pojęciem „my”, Zachary – odpowiedział za Parkera Truebell, schodząc na dół. Wyciągnął rękę. – Miło cię znów widzieć.

Zach uściskał jego dłoń. Nic. Żadnej reakcji. Cofnął się zaskoczony.

– Co jest, do diabła? Przecież dziś rano...

– Przeczytałeś mnie. – Uśmiechnął się profesor. – Od razu się zorientowałem, kim jesteś. Wiem, na czym polega twój dar, więc trochę się nim zabawiłem.

Raczej mną, pomyślał Zach i zmrużył oczy.

– Postawił mnie pan w niekorzystnej sytuacji.

– Postaram się to naprawić. Proszę za mną. Spotykamy się w sali konferencyjnej. Eli przyniesie przekąski i napoje.

– Eli? Zatem okłamał nas pan.

Truebell zaprowadził Zacha do pomieszczenia, w którym stał owalny stół na osiem osób. Na jednej ze ścian wisiał płaski telewizor, a na innej znajdował się stary kominek.

– Wszystko, co dziś rano powiedziałem tobie i detektyw Dare, było prawdą. Eli rzeczywiście zrezygnował z obowiązków na uczelni, by zająć się sprawami rodzinnymi. Wy zaś dopowiedzieliście sobie, że skoro „wyjechał”, to na pewno gdzieś daleko, poza miasto.

– Co to za „sprawy rodzinne”?



– Morderstwo naszej siostry Brite oraz zaginięcie Angel.

– Już wiemy, że się odnalazła i jest bezpieczna.

Zach odwrócił się i zobaczył Eliego, który stał w drzwiach, trzymając tacę. Nic dziwnego, że wpadł w oko Angel – wyglądał jak grecki bóg: niezwykła uroda, doskonała budowa ciała, blond włosy, intensywne spojrzenie niebieskich oczu, śnieżnobiałe zęby, niewymuszony uśmiech...

To ten uśmiech najbardziej podziałał Zachowi na nerwy.

– Nie wiem, w co pogrywacie, ale daję wam dwie minuty na wyjaśnienie mi – i to tak, żebym nie wkurzył się bardziej, niż jestem – co tu się odbywa, albo wychodzę.

– Usiądź, Zachary – odezwał się Truebell. – Za chwilę wszystko stanie się jasne.

Zach usiadł. Eli postawił na stole tacę z wodą, szklankami oraz półmiskiem owoców.

– Postanowiliśmy, że pora wprowadzić cię do naszego grona – zaczął Truebell.

– To znaczy, że do tej pory nie byłem jednym z was?

– Nie byłeś gotowy.

– A teraz już jestem?

– Może tak, może nie. W każdym razie zmusiłeś nas do działania.

Zach zmarszczył czoło.

– Gomez...

– Tak. Ona jest dla nas ważna. Dla naszej sprawy. Ale chodzi też o to, co wydarzyło się tej nocy.

– Co o tym wiecie?

– Przypomnij sobie, Zachary – powiedział profesor i spojrzał Zachowi głęboko w oczy. – Przypomnij sobie.

I Zach sobie przypominał. Obrazy powróciły wszystkie naraz, hurtem wypełniły mu głowę. Zwiastun Ciemności. Polowanie. Pewność, że umrze. Kontakt telepatyczny z Parkerem. Wezwanie pomocy. Kryjówka. Twarz starego księdza. Głosy.

– Mój Boże – powiedział Zach i popatrzył na Parkera. – To próbowało mnie zabić.

– Prawie mu się udało.

– Uratowałeś mi życie. Ta kryjówka...

– Dojdziemy do tego – uciał Truebell. Zach przeniósł na niego spojrzenie. – Tak jak mówiłem, pora wprowadzić cię do naszego grona.

– Nie jesteście Szóstkami?

– Nie, nie jesteśmy.

– Co to za miejsce?

– Posłannictwo Zagubionych Aniołów. Oficjalnie jesteśmy organizacją non profit, którą założyłem dwadzieścia lat temu. Pomagamy młodym ludziom, którzy pogubili się w życiu. Walczą z uzależnieniami. Pochodzą z patologicznych rodzin. Bezdomnym, porzuconym, niechcianym.

– A nieoficjalnie?

– Odnajdujemy i przygarniamy młodych ludzi takich jak Angel. I jak ty, Zachary.

– Obdarzonych.

– My nazywamy ich Pół Blaskami.

Tego samego określenia użyła Knight. W jej ustach brzmiało jak obelga.

– Dyskryminacja sięga głęboko, Zach. Nawet wśród przedstawicieli naszego gatunku. Brite należała do starej gwardii, a mimo to współpracowała z nami. Próbowała pomóc.

– Czytasz mi w myślach? – spytał Zach, patrząc na Elięgo.

– Przepraszam. – Eli wzruszył ramionami. – Staram się tego nie robić, ale czasem coś prześlizgnie się przez zaporę.

Zach przeniósł spojrzenie na Parkera.

– Ty sukinsynu. Od początku wiedziałeś. Kiedy zapytałem cię o Knight, o to, jak mnie nazwała...

Zamilkł, bo nagle całe jego myśli wypełniły słowa, które wypowiedział Eli: „Dyskryminacja sięga głęboko. Nawet wśród przedstawicieli naszego gatunku”.

Dłoń Brite Knight. Dłoń profesora Truebella. Brak reakcji. Przypomniał sobie, że pomyślał wtedy, że zupełnie jakby Knight nie była człowiekiem.

Zach, weź się w garść, powiedział sobie. Truebell i Knight mają unikalne zdolności, być może jedyne w swoim rodzaju. Tak jak we wszystkich kulturach, również tu istnieją różne formy dyskryminacji. Istnieje podział na tych, którzy mają to tajemnicze coś i którzy go nie mają. Na wyjątkowe jednostki i resztę stada.

– No dobrze – odezwał się. – Macie ten swój klub dla obdarzonych zdolnościami, bardzo się cieszę, ale nie jestem zainteresowany.

Chciał wstać, ale Truebell go powstrzymał.

– Nie jesteśmy ani klubem, ani organizacją.

– Więc czym, do diabła?

– Jesteśmy Strażnikami Światła, Zachary. I ty też nim jesteś.

# Rozdział 49

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 15:35

– W porządku – odezwał się Zach. Patrzył to na Parkera, to na Eliego, aż w końcu jego wzrok spoczął na profesorze. – Powiedzmy, że połknąłem haczyk. Co to takiego ten Strażnik Światła? Stworzenie nie z tej ziemi?

– W pewnym sensie – odparł Truebell lekkim tonem. – Jesteśmy śmiertelnymi aniołami. Opiekunami światła.

Zach parsknął śmiechem, jakim człowiek wybucha, kiedy chce powiedzieć: „No chyba jaja sobie robicie”.

– Szkoda, że nie wiedziałem, że zabierasz mnie na bal szaleńców – zwrócił się do Parkera – bobym się ubrał stosownie do okazji.

– To nie żart, Zach – odparł Parker.

Rozbawiony poważnym tonem i miną Parkera Zach pokręcił głową.

– Rzeczywiście, wasza trójka nie wygląda, jakby miała ubaw. I to mnie, szczerze mówiąc, najbardziej przeraża. – Odsunął się od stołu. – Macie moje poparcie, ale nie interesuje mnie członkostwo w waszym klubie dla czubków.

– Już do niego należysz – powiedział Parker. – Tyko jeszcze tego nie wiesz. Wysłuchaj nas. Zawsze zastanawiałeś się, dlaczego jesteś inny i skąd wzięły się u ciebie wyjątkowe zdolności. Naprawdę chcesz wyjść, zanim się tego dowiesz?

A to sukinkot, pomyślał Zach. Za dobrze mnie zna.

Profesor pochylił się i powiedział z poważną miną:

– Jeżeli nie zechcesz do nas dołączyć, Zachary, będziesz mógł odejść, nikt cię nie zatrzyma. Nie będziemy mieli ci niczego za złe.

Zach się zawahał. Owszem, chciał usłyszeć odpowiedzi, ale wyłącznie

prawdziwe, a nie kolejne wymysły – te bowiem sam wymyślał przez całe życie i nie potrzebował do tego niczyjej pomocy.

– Co masz do stracenia? Raptem kilka minut ze swojego dnia.

Wytrzymał spojrzenie profesora, po czym skinął głową i poprawił się na krześle.

– W porządku. Macie pięć minut.

– Ty, Zachary, a także Parker, Eli oraz ja, należymy do pradawnej armii – zaczął Truebell. – Armii zesłanej przez Stwórcę po to, by pomagała ludzkości, pchała ją ku światłu i odciągała od ciemności oraz czyhających weń destrukcyjnych pragnień. A także po to, żeby walczyła z bestią.

Zach parsknąłby śmiechem, gdyby nie powstrzymało go spojrzenie profesora.

– Bestią?

– Czyżbyś wątpił w istnienie zła?

Czy wątpił? Przecież zło triumfowało. Światem rządziły materializm i chciwość. Ale bestia? Stworzenie, z którym trzeba walczyć? Pokręcił głową.

– Ognistoczerwonego stwora z rogami i ogonem, i z widłami w garści?

– Niczego takiego nie powiedziałem. Zło, Zachary, to siła. Potrafi niszczyć. Potrafi przeniknąć do ciała i unieważnić zdolność czynienia dobra.

Zach pochylił głowę.

– Istnieje zło na świecie, to oczywiste. Są też ludzie, którzy wydają się nim przesiąknięci.

– Ironia losu – odezwał się Eli. – Zesłano nas jako Strażników Światła. Mieliśmy czuwać nad tym, co dobre i święte. Tymczasem wielu z nas pokłoniło się złu.

– Z początku byliśmy czystym światłem – mówił dalej Truebell. – Potem jednak, obleczeni w ludzkie ciało, staliśmy się podatni na pokusy czyhające na człowieka, również na te najgroźniejsze, które sieją spustoszenie w wolnej woli.

Eli pokiwał głową.

– Grzechy, z których wyrasta cała szpetota tego świata. Zawiść i pycha. Nieumiarkowanie. Nieczystość. Gniew. Chciwość i gnuśność.

– Siedem grzechów głównych, Zach – powiedział Parker, pochyliwszy głowę.

Siedem. Boska cyfra oznaczająca kompletność.

Pełność nieświętego kręgu.

– Zesłano nas jako obrońców ludzkości przed ciemnością – mówił dalej profesor – lecz sami jej ulegliśmy. W miarę jak rzedną nasze szeregi, blaknie blask, którego strzeżemy. Gdy staniemy się słabi i pozbawieni światła, poddamy się woli mroku.

W ostatnią sobotę lipca narodzi się nowy Zwiastun Ciemności.

– Chodzi o to przeobrażenie, o którym opowiedział mi Parker – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak.

– Zatem porywacz, który uprowadził Miller i Putnam, jest Strażnikiem Światła?

– Był – poprawił Truebell. – Bestia zdemoralizowała go do tego stopnia, że stracił niemal cały blask.

Zach spojrzał na Parkera.

– Wierzysz w te brednie o Stwórcy i Strażnikach?

– Wierzę, Zach. Bo to prawda.

Pokręcił głową. Pulsowanie w skroniach błyskawicznie zmieniło się w ból.

– Nie.

– Czemu nie potrafisz uwierzyć? Zaakceptowałeś fakt istnienia mrocznej istoty, która zabiła naszą siostrę Brite i próbowała zabić ciebie. Istoty, która stoi za porwaniem Gwen Miller i Patricii Putnam. Skąd te wątpliwości?

– Ponieważ czuję energię tej istoty i widziałem, jak zabijała Knight.

– Zapytałeś mnie, w jaki sposób Zwiastun Ciemności odebrał jej życie.

Pozbawił ją światła. Wyssał je, pożywił się nim. Dlatego jej serce przestało bić.

Rana na ramieniu, pomyślał Zach i wyobraził ją sobie. Była, a potem zniknęła.

Potrząsnął głową.

– To jakieś wariactwo.

– Czy istnieje noc bez dnia, ciemność bez światła? – Profesor splótł dłonie. Zach zauważył, że są drobne i pulchne. – Dobro i zło to awers i rewers jednej monety. Wszystkie inteligentne i obdarzone wolną wolą stworzenia mają zdolność czynienia zarówno jednego, jak i drugiego. Ty, ja, Parker, Eli.

Zach wpatrywał się w niego.

– Załóżmy na chwilę, że byłbym skłonny uwierzyć. Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego ze mną i Szóstkami?

– Stworzyliśmy Szóstki, by móc łatwiej odnajdywać i szkolić silne Pół Blaski. Takie jak ty, Zachary.

– Po co? Do czego jestem wam potrzebny?

– Nasze szeregi zostały przetrzebione. Pół Blaski, ludzie tacy jak ty, są naszą ostatnią nadzieją.

„Pół Blaski. Ludzie tacy jak ja”.

Złożył w całość urywki informacji: oni byli Strażnikami Światła, on – nie do końca. Był Pół Blaskiem, kimś stojącym niżej. Posiadał moc, to prawda, ale stał stopień niżej. Mimo to uznali, że jego pomoc może im się przydać.

– Pół Blask – odezwał się. – Czym konkretnie jest Pół Blask, na przykład w porównaniu z panem, profesorem oraz, jak się domyślam, Elim, Brite Knight, a nawet agentem Parkerem?

– Rzeczywiście, nasza trójka to pełnoprawni Strażnicy Światła. Była nim również Brite. Pan, tak jak wielu innych, narodziliście się wskutek... kontaktów Strażników Światła z ludźmi.

– Zakładam, że teoretycznie takich rzeczy się nie robi. – Po minie

Truebella i pozostałych poznał, że proste „tego się nie robi” nie oddaje istoty rzeczy. – Rozumiem. Ale kto wie, może naprawdę się kochali.

Usłyszał napięcie w swoim głosie i był pewien, że oni też je wyczuli.

– Spróbuj zrozumieć. Zesłano nas, byśmy mieszkali pośród ludzi, ale żyli osobno. Rozpoznajemy się po naszym świetle. Jesteśmy posłańcami, obrońcami i świadkami. Ale nie wolno nam mieszać ras i stawać się ludźmi.

– Mieszać ras – powtórzył Zach. – Czyli nie jestem ani człowiekiem, ani Strażnikiem Światła, tylko produktem ubocznym krzyżówki ras?

– Nie chciałem cię obrazić.

– Ale udało się to panu znakomicie. – Zach zmrużył oczy i przesuwając wzrokiem po twarzach trzech mężczyzn. – Mówicie, że wasza rasa została zdziesiątkowana. Ale nie wskutek wojny ze złem, tylko dlatego, że przegrywacie z własnym libido. Pięknie.

– Przegrywamy z naszym c z ł o w i e c z e ń s t w e m – powiedział Eli. – Jesteśmy śmiertelnymi aniołami, Zach. Z naciskiem na „śmiertelnymi”.

– Naszym największym wrogiem są Zwiastuny Ciemności – odezwał się Parker. – Polują na nas. Przeobrażają. Rozsiewają strach, nieufność i nienawiść.

– Każdy owoc związku Strażnika i człowieka osłabia światło – dodał Truebell. – Z każdym pokoleniem blask przygasa. Zdolności mutują. Stają się nieprzewidywalne, niestabilne. Nieprzydatne w walce ze Zwiastunami Ciemności.

– Coraz lepiej. – Zach założył ręce na piersi. – Od mieszańca do mutanta.

– Są was tysiące. Nie u każdego zdolności rozwinęły się w równym stopniu. Tych, którzy rokowali, wzięliśmy pod swoje skrzydła i wyszkoliliśmy.

– W ramach Szóstek.

– Tak. Zależało nam na wszechstronnym szkoleniu Pół Blasków na dużą skalę. FBI wydawało nam się oczywistym wyborem. Parker pracował w Biurze i miał dostęp do obiektów i ludzi. Wymyślił program Szóstek



w takim kształcie, w jakim go poznałeś, przeforsował go i wdrożył.

– Chcecie mi wmówić, że Biuro, komisje nadzoru, prokurator generalny i dyrektor NSA zostali wtajemniczeni w całą tę historię o aniołach i demonach?

Parker prychnął

– Już to sobie wyobrażam. Szybko wylądowalibyśmy w psychiatriku – i byłoby to najmniejsze z naszych zmartwień. Nie, Zach, „góra” wie tylko tyle, ile jej powiedziałem: że Szóstki to program, w którym wykorzystujemy szczególne zdolności niektórych ludzi – zwróć uwagę: l u d z i – do walki z przestępczością.

– Czyli wziąłem udział w przekręcie.

– Nie w przekręcie, Zachary. W sprawdzianie. We wstępie do czegoś znacznie większego. I dużo ważniejszego.

– Walcie się – powiedział nagle Zach i wstał tak gwałtownie, że krzesło odjechało pod ścianę. – Od samego początku i na każdym kroku manipulujecie mną i okłamujecie mnie. Nie jestem dla was partnerem na żadnym poziomie, jestem wyłącznie pionkiem. W dodatku pionkiem mieszańcem. – Ruszył w stronę drzwi. – Do widzenia.

Parker wstał.

– Zach, potrzebujemy cię. Jesteś wyjątkowy, należysz do pierwszego pokolenia.

Zach zatrzymał się w połowie drogi i się odwrócił. Spojrzał na Parkera.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Znałem twoją matkę. Była jedną z nas, czystą Strażniczką Światła. To czyni cię wyjątkowym. Twoje zdolności są bardziej rozwinięte, a światło – jaśniejsze.

Zach odebrał jego słowa jak cios. Przeszyły go na wylot, rozeszły się po całym ciele. Parker znał jego matkę. Była Strażniczką Światła. Jedną z nich.

„Znałem”. „Była”.

Czas przeszły.

– Gdzie ona jest? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

Parker nawet nie zamrugął.

– Nie żyje.

Zach oparł się dłonią o futrynę.

– Jak umarła? Kiedy?

– Czy to naprawdę ważne?

– Tak, do cholery!

– To się stało krótko po twoich narodzinach. Zabił ją Zwiastun Ciemności.

Zabolało. Głęboko. Zaczęło rozrywać od środka. Jak wyszczerbione ostrze.

– Jak... jak się nazywała?

– Arianna.

Zatem to koniec. Już nigdy jej nie pozna.

– Wasze pięć minut dobiegło końca.

– Wiesz, co to takiego punkt krytyczny? – zapytał profesor.

Zach obejrzał się przez ramię.

– Dlaczego pan pyta?

– To moment, po osiągnięciu którego impetu zmian nie sposób wyhamować. Jest n i e p o w s t r z y m a n y .

– Co to znaczy?

– Niewiele nas dzieli od punktu krytycznego. Bitwa o świat już się zaczęła. Co zwycięży: chaos i zniszczenie czy życie i nadzieja?

Paker wstał i wyciągnął rękę do Zacha.

– Chciałeś być bohaterem, Zach. Więc masz okazję. Dołączysz do nas?

Szum w jego głowie zyskał na intensywności. Zach poczuł wściekłość. Poczul się nabrany, zmanipulowany i okłamany.

– Nie – odparł krótko. – Ale dzięki za przywrócenie pamięci, dupki.

# Rozdział 50

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 16:15

Parker dogonił Zacha przy drzwiach wejściowych.

– Zach, zaczekaj. Porozmawiajmy.

Zach zatrzymał się i odparował ze wściekłością:

– Nie! Chcesz, żebym cię wysłuchał, a ja mam już potąd twojego ściemniania.

– Chcę, żebyś się jeszcze raz zastanowił.

– Tak? A ja mam ochotę dać ci w mordę.

– Może powinieneś. Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej.

– Nie kuś. Do widzenia.

Ruszył. Parker zawołał za nim:

– Jeśli teraz odejdziesz, będziesz musiał się pożegnać z Szóstkami!

– Przecież one nawet nie istnieją.

– Powiedz to Dare.

Mick. Jej też namieszali w głowie.

– Kolejny z waszych pionków.

– Nic jej nie będzie. Jest silniejsza od ciebie. Jesteś słaby, Zach. Dlatego rezygnujesz.

Zach zatrzymał się i się odwrócił.

– Ty sukinsynu! Miałem dobre życie. Miałem wszystko, czego chciałem, i wszystko było proste.

– Ale czułeś się pusty. Dlatego zgodziłeś się przystąpić do programu.

Zacisnął pięści.

– Wmawiaj sobie, co chcesz.

– Nie, to ty sobie wmawiasz. Prawda jest taka, że dopuścisz do śmierci

zaginionych dziewczyn, a potem rozsiądziesz się wygodnie i popatrzysz, jak inni będą próbowali uratować...

– Świat? Jasne. Świat nawet nie poczuje, gdy zabraknie moich „wyjątkowych zdolności”.

– Oczywiście! Idź na łatwiznę! Jesteś w tym dobry. Matka wstydziłaby się za ciebie.

Zach błyskawicznie dopadł Parkera. Chwytał go i potrząsał nim ze wściekłością.

– Ani słowa, skurwielu! Znałeś ją...

– Była silna i dobra. Ona...

– Nie pozwoliłeś mi jej poznać. Wszystko przede mną ukryłeś.

– Nie byłeś gotowy! I jak widać, nadal nie jesteś.

Zach odepchnął go od siebie. Parker potknął się i poleciał do tyłu. Zach podszedł do niego. Buzowało w nim pragnienie, by rozkwasić Parkerowi gębę razem z tym triumfującym uśmieszkiem, rozbić ją na krwawą miazgę. Pchnął raz jeszcze. Parker upadł, ale mówił dalej.

– Powinienem był wiedzieć, że nie nadajesz się na bohatera. Jesteś samolubnym, rozpieszczonym bachorem. Używasz zdolności w egocentryczny, wyrachowany sposób.

Zach chwycił go za koszulę i postawił na nogi. Zamachnął się pięścią.

– Jestem twoim wujem.

Zach zamarł.

– Co powiedziałaś?

– Arianna, twoja matka, była moją siostrą. Jedynym rodzeństwem.

– Kłamiesz.

– Przecież wiesz, że to prawda. Byłeś ciekaw, dlaczego potrafimy komunikować się tak, a nie inaczej, i przekazywać sobie energię. Dlatego.

Puścił go.

– Ty sukinsynu!

– Z Arianną też potrafiliśmy się tak łączyć.

Wuj. Parker wiedział wszystko, od samego początku. Znał odpowiedzi

na wszystkie pytania o matkę, które Zach sobie zadawał. Poczł, że zdrada wyżera mu pierś niczym kwas.

– Idź do diabła, agencie Parker.

Parker złapał go za rękę.

– Jak myślisz, dlaczego masz zdolności? Do czego mają służyć? Czy to przypadek, czy część bardziej złożonego planu?

Zach odtrącił jego dłoń.

– Oszczędź mi tych pseudofilozoficznych bredni, bo wchodzisz w paradę profesorowi. Odchodzę.

– I dokąd pójdziesz? – rzucił Parker do oddalających się pleców Zacha. – Sądziš, że uda ci się uciec przed tym, czym jesteš? Gdzie się ukryjesz, znając prawdę? Człowiek, którym byłeś, zanim przystąpiłeś do Szóstek, już nie istnieje!

Zach nie zwolnił, nie odpowiedział ani nawet się nie obejrzał. Być może nie zdoła uciec od tego, kim jest, ale postara się przynajmniej oddalić od Parkera najbardziej, jak to możliwe.

# Rozdział 51

CZWARTEK, 18 LIPCA

GODZINA 17:15

Światło zmieniło się na czerwone. Micki zdjęła nogę z gazu i auto powoli się zatrzymało. Sięgnęła po telefon i sprawdziła, czy jest wiadomość od Zacha. Brak.

Gdzie on się, u diabła, podziewa?

Spotkanie grupy operacyjnej odbyło się bez niego, ale Micki to nie zdziwiło. Zastanawiała się natomiast, dlaczego Zach się nie odzywa. Spodziewała się chociaż jakiegoś zabawnego esemesa o samotnej pani detektyw w pokoju pełnym garniaków. Albo że partner będzie na nią czekał w Ósemce i przywita ją tym pewnym siebie, aroganckim uśmiechem.

Zadzwoiła do niego, zostawiła wiadomość, poprosiła, żeby się odezwał.

Zrobiła to ponad godzinę temu. Nadal nic.

Nie mogła się również skontaktować z Angel. Niepokój sprawiał, że żołądek podjeżdżał jej do gardła. Głupio zrobiła – mogła poinstruować dziewczynę, żeby odbierała połączenia na telefon stacjonarny.

Zmieniło się światło. Micki ruszyła. Na spotkaniu postanowiono przeprowadzić akcję następnego dnia wieczorem. Tajne agentki miały udać się do klubów, które Miller i Putnam odwiedziły w dniu zaginięcia, i tam świętować swoje „urodziny”.

Podczas akcji agentki miały obserwować każdego, kto będzie wchodził z nimi w interakcję, podejmować próby zaprzyjaźnienia się z innymi kobietami, które w tym czasie będą obchodziły urodziny w klubie, oraz wkręcenia się na ich imprezę – wszystko to, rzecz jasna, bez wychodzenia z roli.

Każdej imprezującej agentki miało pilnować trzech agentów, w tym

jeden odgrywający rolę jej towarzysza zabawy. Plan był niezły.

Micki zgłosiła się na ochotnika i poprosiła o skierowanie do klubu Kudzu. Zaproponowała, żeby jej towarzyszem był Zach. Zdawała sobie przy tym sprawę, że trochę to nie fair wobec pozostałych agentek, nie zdradziła bowiem, że niewykluczone, iż Zach zdążył już namierzyć porywacza i operacja FBI w ogóle nie będzie potrzebna.

Ani że w piątek naprawdę wypadają jej urodziny. Akurat to była wyłącznie jej sprawa.

Dotarła do ulicy, przy której mieszkała. Kiedy skręciła, zobaczyła, że przed domem stoi auto Zacha.

Poczuła dojmującą ulgę. A zaraz potem irytację. Ona się tu zamartwia, a on robi swoje, nie oglądając się na nic. Typowe dla Harrisa.

Będą musieli porozmawiać sobie o jego kulejącej umiejętności przekazywania informacji.

Wjechała na swój podjazd, zaparkowała, wysiadła z wozu i pobiegła do domu.

– Hollywood! – krzyknęła, zamykając za sobą drzwi. – Co z tobą, że nie raczysz nawet odebrać telefonu?

Angel wyszła z pokoju. Ziewnęła i odgarnęła włosy z twarzy.

– Co się dzieje?

– Gdzie Zach?

– Nie wiem. – Ziewnęła i przeciągnęła się. – Wyszedł. A ja się zdrzemnęłam.

– Wyszedł? – Micki zmarszczyła brwi. – Ale przed domem stoi jego samochód.

– Pojechał gdzieś z jakimś facetem.

– „Jakimś facetem”?

– No. Wsiadł do jego samochodu. Czarny SUV. Czekał przed domem.

– Wsiadł z własnej woli?

– Co to znaczy?

– Nikt go nie zmusił? Nie przystawił mu pistoletu do głowy?

– Chyba nie. Najpierw pogadał z tym gościem, a potem wsiadł.

– Jak wyglądał kierowca?

– Zobaczyłam tylko ciemne włosy.

Parker, pomyślała Micki. Nie ma innej możliwości. Znów te ich supertajne gierki.

– Spokojnie – powiedziała Angel.

– Jestem spokojna.

Dziewczyna przewróciła oczami, a Micki musiała przyznać, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Niech będzie, jestem wnerwiona. Zach i ja jesteśmy partnerami. Musimy obgadać pewne rzeczy, ustalić plan działania. Powinnam przynajmniej wiedzieć, gdzie go szukać.

Angel pokręciła głową.

– Ale wiesz, że Zach nie pracuje w ten sposób, prawda?

I to doskonale, cwaniaro, pomyślała Micki i uniosła brew.

– A ty skąd o tym wiesz?

Angel wzruszyła ramionami.

– Po prostu wiem. Będzie coś do jedzenia?

– Możemy zamówić pizzę...

Zabrzączał telefon Micki. Dzwonił Harris. Odebrała.

– Hollywood, no wreszcie! Gdzie jesteś?

– U siebie.

Coś jej nie pasowało w jego głosie.

– Co tam robisz? Miałaś być u mnie.

– To koniec, Mick. Rezygnuję.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co powiedział. Pokręciła głową.

– To nie jest śmieszne, Hollywood. Rusz no dupę i przyjedź...

– Nie żartuję. Ty też powinnaś odejść.

Zerknęła na Angel. Dziewczyna miała dziwną minę. Czyżby usłyszała słowa Zacha? A może dostroiła się do jakiegoś nieuchwytnego dla szaraczków kanału?



Micki odwróciła się do niej plecami i przeszła kilka kroków.

– Odejść? O czym ty mówisz?

– Oni nami manipulują. Obojgiem. Kłamią i...

– Byłeś z Parkerem. Co ci powiedział?

– Parker to palant, a Szóstki to lipa. Wracam do domu.

– Zach, zwariowałeś. Nie możesz tego zrobić.

– Nie, Mick, odwrotnie: byłbym szalony, gdybym postanowił zostać.

Odejdź, rzuć to. Wyjedź ze mną.

– Wyjechać z tobą? Po co? Co miałabym robić?

– Jesteśmy partnerami. Coś byśmy wymyślili.

– Ślubowałeś lojalność Szóstkom, służbie... Jesteś to winien Miller i Putnam. – Ściszyła głos. – I Angel.

– Mick, posłuchaj, dowiedziałem się różnych rzeczy i już wiem, że ich nie można pokonać.

– Kogo?

– Zwiastunów Ciemności. Z góry wiadomo, że przegramy.

Jego słowa podziały na nią jak cios w brzuch. Przez chwilę nie mogła złapać tchu.

– I dlatego wywieszasz białą flagę? Właśnie przez to przegrana jest bardziej...

– Nic nie rozumiesz.

– Masz rację, sukinsynu, nie rozumiem. A już zaczynałam wierzyć w ciebie i te twoje czary-mary. Tymczasem okazuje się, że jesteś płytkim egocentrykiem – tak jak od początku podejrzewałam.

– Nie ma nic złego w tym, że chcę odzyskać dawne życie. Nie potrzebujesz mnie. To ty jesteś szefem w tym układzie, a ja tylko żalonym pomagierem. Dasz sobie radę, Mick.

Nie da rady. Nie tym razem. Nie bez niego.

Zamknęła oczy. Próbowwała odnaleźć w sobie dość siły, by mu to powiedzieć. By się obnażyć, pokazać, jak bardzo czuje się bezradna.

Przyznać się do słabości.

Wściekły Pies Dare robił w gacie ze strachu.

– Mick?

Otworzyła oczy. Nie może tego zrobić.

– Ślubowałam, że będę bronić i służyć. Służyć nawet wtedy, gdy ci, którym staram się pomóc, przeklinają mnie. Nawet wtedy, gdy nikt tego nie widzi i nikt nie bije brawo. Ty też przyrzekałeś.

– Na razie Angel jest z tobą bezpieczna – powiedział. – Ale wkrótce przestanie. To słowa Parkera. Umieść ją u kogoś znajomego, kogo nie miałem okazji poznać.

– Miałam rację co do ciebie. Brakuje ci wytrwałości. Zrobiło się gorąco i zaraz...

– Parker mnie zastąpi. Dasz sobie radę.

Wcale nie. Ale nie mogła mu tego powiedzieć.

– Przykro mi, Mick.

– Nie rozłączaj się. Ani mi się waż...

Za późno. Już to zrobił. Zrezygnował ze sprawy i z niej. Odszedł. Kolejna pozycja na długiej liście rozczarowań ze strony mężczyzn.

Komórka, którą nadal trzymała w dłoni, nagle zawibrowała.

– Harris – odebrała i rzuciła do słuchawki, nie patrząc na wyświetlacz. – Ty sukinsynu, jak śmiesz...

– Micki? To ja, Jacqui.

Zawód tak gorzki, że aż zapiekł. Micki poczuła, że nogi się pod nią uginają, podeszła do kanapy i usiadła.

– Cześć, Jax. Co słychać?

– Dzwonię w sprawie twoich urodzin. Co to za „Harris”?

– Mój partner. Dupek pierwsza klasa. Myślałam, że chce przeprosić.

– Jasne. Słuchaj, chcemy cię gdzieś zabrać z Zanderem. Ma dla ciebie własnoręcznie zrobiony prezent, ale nie zdradź, że cię uprzedziłam.

– Nie dam rady. Ani jutro, ani w sobotę. Śledztwo, które prowadzimy...

Zamilkła, bo przypomniała sobie, co mówił Zach o przeniesieniu Angel w bezpieczniejsze miejsce.

- Jax, czy mogę cię prosić o przysługę?
- Micki, przecież wiesz, że możesz mnie prosić o wszystko.
- Muszę na pewien czas umieścić jedną osobę w bezpiecznym miejscu.

Ma kłopoty, bo... nieważne. Potrzebuję twojej pomocy.

- Nie ma sprawy. Kiedy chcesz...
- Jutro rano. Powiedzmy o siódmej.

Zakończyła rozmowę, odwróciła się i zobaczyła, że Angel siedzi w kącie na podłodze z kolanami pod brodą.

Podniosła wzrok na Micki.

- Słyszałam, co mówiłaś. Chcesz mnie przenieść.

– Tak.

– Ale mi się tu podoba.

– Na dłuższą metę nie będziesz tu bezpieczna.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– On wróci.

– Kto? Zach? – Micki pokręciła głową. – Nie, nie wróci.

– Obiecał mi.

– Dla niektórych, w tym dla Zacha, obietnice niewiele znaczą, Angel.

– Nie. – Angel uniosła brodę, która jednak, jak zauważyła Micki, lekko drżała. – Wróci. Wiem to.

Micki zrobiło się szkoda dziewczyny. Rozumiała ją. Sama przeżyła niemal wyłącznie rozczarowania w związku z mężczyznami – z wyjątkiem jednego, ale on też ją opuścił, choć nie z własnej winy.

Kobieta nie ma innego wyjścia i z czasem po prostu musi się uodpornić. Nie zamierzała jednak dzielić się tą mądrością z Angel. Podeszła do niej i wyciągnęła rękę.

- Może masz rację. Chodź, zamówimy tę pizzę.

Angel przyjęła pomocną dłoń i wstała.

- Na pewno mam. Przekonasz się.

# Rozdział 52

PIĄTEK, 19 LIPCA

GODZINA 7:02

Kiedy następnego dnia rano Micki i Angel przyjechały pod dom Jacqui, w drzwiach przywitał je Alexander. Za nim stała zaniepokojona mama.

Chłopiec rzucił się na Micki.

– Wsyskiego najlepszego, ciociu Mysko!

Złapała go na ręce i zakręciła nim.

– Dziękuję, kochanie!

Wyswobodził się z jej objęć.

– Zrobiłem ci laurkę. Się świeci i ma zdjęcie Tomka! Sam psykleiłem!

– Może przyniesiesz i pokażesz? – zaproponowała Jacqui.

Pokiwał głową i pobiegł. Nagle zatrzymał się i odwrócił.

– I upiekliśmy tort! Waniliowy z posypką. Duuuuzo posypki.

– Mniam – odparła Micki. – Nie mogę się doczekać.

– Dobra, to psyniosę!

– Nie, nie – szybko zareagowała Jacqui – tortu nie przynoś. Na razie pokaż cioci tylko laurkę, dobrze?

Potem uśmiechnęła się do Angel.

– Witaj, mam na imię Jax.

Angel odwzajemniła uśmiech, a Micki dokończyła prezentację. Po chwili wrócił Alexander z laurką i zaciągnął Angel o swojego pokoju, żeby pokazać jej zabawki z Parowozem Tomkiem.

– Dziękuję, że się zgodziłaś, Jax – zwróciła się Micki do przyjaciółki, gdy zostały same. – Jestem ci ogromnie wdzięczna.

– Miła dziewczyna. – Jax ściszyła głos. – Czy wszystko w porządku? Wydajesz się... zestresowana.

Micki zmusiła się do uśmiechu.

– Nie, nie, wszystko dobrze. Mój partner, ten, o którym ci opowiadałam, wczoraj wieczorem postanowił odejść. Akurat kiedy śledztwo nabiera rozpędu.

Jacqui wzięła ją za rękę.

– Przykro mi, Micki. Podał jakiś powód?

Micki pokręciła głową, zaskoczona własnym rozgoryczeniem.

– Nie potrafi sobie poradzić.

– Zrobiło się głośno o waszej sprawie. Nadal brak śladu po tych zaginionych dziewczynach?

– Przepraszam cię, ale nie wolno mi o tym rozmawiać.

– A ona? – Pokazała w kierunku, z którego dochodziła paplanina Alexandra. – O co z nią chodzi?

– To dobra dziewczyna. Nie miała lekko w życiu.

– Rozumiem.

– Na to liczyłam.

– Powiedziałaś, że... ktoś jej szuka. Chcę się tylko upewnić, że nic nam nie grozi. Chodzi mi o Alexandra – dodała pośpiesznie. – Wiesz dobrze, że pomogłabym ci bez względu na wszystko.

– Wiem. Tobie, Alexandrowi i Angel nic nie zagraża. – Zamilkła, po czym dodała: – Nigdy świadomie nie naraziłabym was na niebezpieczeństwo.

Jax ją uścisnęła.

– Mogłabyś zostać. Przynajmniej na tort.

– Naprawdę muszę lecieć. Odłóż mi kawałek.

Jacqui pokiwała głową i otworzyła Micki drzwi. Wyszła z nią na schodki.

– Bądź ostrożna, dobrze?

– Będę, przecież wiesz. – Micki zatrzymała się i odwróciła. – Jax, Angel jest wyjątkową osobą. Jest inna.

– Co to znaczy? – spytała Jacqui, marszcząc czoło.

– Po prostu nie jest zwyczajną dziewczyną. Mówię to, na wypadek gdyby... Chodzi o to, że inaczej patrzy na świat.

– Damy sobie radę.

– W razie czego dzwoń. – Pokręciła głową. – Jestem strasznie nadopiekuńcza. Dobrze, że nie mam dzieci, bo chyba nigdy bym ich nie wypuszczała z domu.

Jax roześmiała się. Potem się pożegnały, Micki wsiadła do samochodu i po chwili jechała już w stronę Ósemki.

Zadzwonił telefon. Odebrała.

– Detektyw Dare.

– Mówi Parker.

– Już ze sobą nie współpracujemy, agencie Parker. Nie mam nic do powiedzenia.

– Dzwonił do ciebie.

– Oczywiście, że dzwonił.

– Ponieważ byliście partnerami.

Zauważyła, że w jego głosie zabrakło typowego dla niego zadowolenia z siebie.

– Czego chcesz, Parker?

– Pomyślałem, że zechcesz zapoznać się z oficjalną wersją zdarzeń, zanim zameldujesz się w Ósemce.

– Ależ z ciebie przyzwoity człowiek. A ja myślałam, że jesteś skończonym kutasem.

– Nie zapominaj, że to Harris zrezygnował, nie ja. Nie potrafił pogodzić się z prawdą...

– A jak ona brzmi?

– ...która bywa nie po myśli i niepociągająca.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Każdy dysponuje tylko takimi informacjami, jakie są mu potrzebne do działania – nie zapominaj o tym.

– Nie ułatwiasz.

– Wczoraj wieczorem ojciec Harrisa miał atak serca – mówił dalej Parker, nie zwracając uwagi na słowa Micki. – Harris kupił bilet na najbliższy lot do Kalifornii. Major Nichols został powiadomiony. Minie trochę czasu i Harris postanowi nie wracać do służby.

– Czy to prawda, że Zwiastuna Ciemności nie można pokonać?

– Zostanie ci przydzielona kolejna Szóstka...

– Co takiego ukrywasz?

– ...chyba że ty też chcesz się poddać.

– To nie w moim stylu.

– Wiem doskonale. Między innymi dlatego cię wybraliśmy.

– A dzisiejsza akcja? Będziesz na niej?

– Ja – nie. Będą inni.

– Szóstki?

– Powodzenia i żegnam.

– Chwileczkę! Nie zależy ci? Nie próbowałeś przekonać go, żeby zmienił zdanie? Nie powiedziałaś mu, że go potrzebujemy?

– A czy ty mu to powiedziałaś?

Przełknęła ślinę.

– Tu nie chodzi o to, co zrobiłam albo czego nie zrobiłam.

Przez chwilę milczał. Kiedy się odezwał, usłyszała zmęczenie w jego głosie.

– Posłuchaj, szykuje się wojna, którą trzeba wygrać. Nie mogę przejmować się losem jednego zagubionego żołnierza.

– Jednego żołnierza? To chyba nieco zbyt dramatyczne, nie sądzisz?

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, bo Parker się rozłączył.

# Rozdział 53

PIĄTEK, 19 LIPCA

GODZINA 19:20

Angel siedziała na kanapie z wtulonym w nią Alexandrem. Z kuchni dobiegało stukanie w klawisze komputera – to Jacqui pracowała nad referatem do szkoły. Kończyła studia online, uczyła się, żeby zdobyć uprawnienia nauczycielskie. Angel przyszło do głowy, że mogłaby zrobić przez internet dyplom ze sztuki, ale uznała, że to nierealny pomysł. Musiałaby kupić komputer, załatwić dostęp do sieci i jeszcze mieć gdzie korzystać z jednego i drugiego. Nie, nie ma na to szans.

Obraz w telewizorze zamigotał. Angel zamrugowała i skupiła spojrzenie na ekranie. Pokazywali jakieś opuszczone budynki

Dziwne, pomyślała. Minęło tyle lat od Katriny, a one nadal stoją puste i popadają w ruinę.

Poczuła mrowienie w boku i poprawiła się na kanapie. Bok odzywał się przez cały dzień. Był to nie tyle ból, co osobliwe... łaskotanie, jakby tatuaż dawał o sobie znać. Jakby domagał się uwagi.

Zamknęła oczy. Coś się w niej zmieniało, czuła w sobie niemal fizyczny ruch. Miała poczucie... kompletności.

Nie bała się go, choć chwilami myślała, że może powinna. Oglądała kiedyś horror, w którym wewnątrz ciała bohaterki zamieszkiwał obcy. Jak przez mgłę pamiętała, że tamta postać miała podobne doznania, jak ona teraz.

Z zamkniętymi oczami powiodła palcami po miękkich lokach chłopca. Po raz pierwszy bok zaczął ją boleć w dniu urodzin. Po tej okropnej imprezie w bractwie. Od tamtej pory dręczył ją z mniejszymi lub większymi przerwami. Co innego druga rzecz, ta, która w niej rośla – tę poczuła



dopiero wczoraj, podczas rozmowy z Zachem. Rano, gdy Zander wziął ją za rękę, uczucie przybrało na sile.

Jasność, uzmysłowiła sobie. Oto powód, dla którego nie czuła strachu: klarowna świadomość, że teraz, w tej chwili, dokładnie tu jest jej miejsce. Z tymi ludźmi.

Nigdy wcześniej nie czuła takiej pewności. Tak jakby wszystko, całe osiemnaście lat, które dotąd przeżyła, prowadziło do tej chwili.

– Śpi jak suseł.

Otworzyła oczy. Jacqui stała w drzwiach prowadzących do kuchni, patrzyła na syna i uśmiechała się. A w jej uśmiechu było morze miłości. Matczynej miłości.

Miłości, jakiej Angel nigdy nie zaznała i nie zazna. Poczwała ból.

– Lubi cię – zauważyła Jacqui.

– A ja jego. Jest naprawdę wyjątkowy.

– No pewnie. – Uśmiechnęła się. – Ale to oczywiste, że tak myślę, bo przecież jestem jego mamą.

Ona nie wie.

– Szkoda, co? – Jacqui pokazała brodą na telewizor. – Piękna stara szkoła.

Angel przeniosła spojrzenie na ekran. Kościół i szkoła Najświętszego Serca Jezusa. Opuszczone i zabite deskami. Czarno-białe graffiti na ścianach z czerwonej cegły. Plac zabaw z połamanymi huśtawkami i przewróconymi zjeżdżalniami. Ogrodzenie z siatki, tabliczki „wstęp wzbroniony”.

– Gdzie to jest? – spytała Angel.

– W Lower Ninth.

– Jak to możliwe, że nikt nie wyremontował tego budynku?

– Bo to pewnie nie takie proste. Rzecz rozbija się o koszty, lokalizację. Trudno zapełnić szkołę, kiedy brakuje dzieci. – Cmoknęła językiem. – Sądzę, że właścicielem nadal jest archidiecezja. Widać, że ktoś skosił trawnik.

Angel wpatrzyła się w obraz na ekranie. Zapiekl ją bok, aż się skrzywiła.

– Co się stało?

– Czasem pobolewa mnie w boku. To nic takiego.

Jacqui podeszła do niej i położyła jej dłoń na czole.

– Nie masz gorączki.

– Nie, nie mam temperatury, kiedy boli. – O mało nie jęknęła przy kolejnym ukłuciu. Naraz w jej głowie pojawił się obraz Micki.

Spojrzała na Jacqui z nadzieją.

– Myślisz, że wszystko w porządku u Micki?

– Na pewno. – Jacqui uśmiechnęła się łagodnie; Angel zauważyła, że tak samo uśmiecha się do Alexandra. – Micki to twarda sztuka. Nic jej nie będzie.

– A jeśli... – przerwała, na chwilę zacisnęła usta, i dokończyła – ...tym razem okaże się zbyt miękka?

Jacqui lekko zrzęda mina.

– Dlaczego pytasz?

– Bo ją lubię – padła prosta odpowiedź. – I nie chcę, żeby coś jej się stało.

– Nie martw się. Nic jej nie będzie.

– Jak się zaprzyjaźniłyście?

– Przygarnęła mnie, kiedy byłam całkiem sama.

– Zupełnie jak ja.

– Nie do końca. Bo ja włamałam się do domu jej sąsiada. To znaczy, próbowałam się włamać. No i byłam w ciąży z Alexandrem.

Angel zmarszczyła czoło.

– Co się stało z jego ojcem?

– To już opowieść na inną okazję – odparła Jacqui i odchrząknęła. – Micki mogła mnie przymknąć, ale zamiast tego pomogła mi. Zawdzięczam jej wszystko, co mam.

Kolejne ukłucie w boku.

– Położę się – stwierdziła Angel.

– Zaczekaj, zabiorę Alexandra i zaniosę go do łóżka.

Jacqui podeszła, wsunęła dłonie pod bezwładne jak szmaciana lalka ciało śpiącego synka i podniosła go. Ten zaś jęknął przez sen i wtulił się w nią.

– Chciałabym mieć mamę – powiedziała Angel.

– Nie masz?

– Jestem sierotą. Znalaziono mnie pod drzwiami kościoła. – Angel zobaczyła, że Jacqui walczy ze łzami, i szybko odwróciła głowę, bojąc się, że sama też się rozpłacze. Popatrzyła na budowlę widoczną na ekranie telewizora. – Kto wie, może nawet tego kościoła?

\*\*\*

Angel poderwała się ze snu. Serce tłukło się jej w piersi. Stojąca na szafce nocnej lampka rzucała miękką poświatę, która nieco rozświetlała ciemności. W mieszkaniu panowała cisza. Angel leżała na kołdrze. Usiadła i z jej piersi zsunął się notatnik.

We śnie ktoś ją wzywał. Wołał pomocy. Potrzebował jej.

Sięgnęła po ołówek i zaczęła rysować, wykonując szybkie, nerwowe ruchy. Skupiła się na obrazach ze snu. Dłoń zwinnie poruszała się po kartce. Krzywa linia, prosta linia. Tu kreskowanie, tam rozmazanie. Lekkie cieniowanie.

Postać zaczęła nabierać kształtów. Kobieta. Wyje z bólu. Wyciąga ręce.

Angel zasłoniła usta dłonią. Tą, która wzywała pomocy we śnie, była Micki.

# Rozdział 54

SOBOTA, 20 LIPCA

GODZINA 1:15

Zach siedział sam na ławce stojącej przy promenadzie Moon Walk i wpatrywał się w wody Missisipi, widoczne w kręgach świateł rzucanych przez holowniki, barki i latarnie. Największy refleks należał do księżyca, dużego i jasnego tej nocy.

Kupił bilet na poranny lot. Powrót do Kalifornii. Do domu, do rodziny, do tego, co dobrze znane.

Splótł palce obu dłoni. Prawdę mówiąc, wcale nie chciał wyjeżdżać. Nie chciał zostawiać ani tego miejsca, ani marzenia, które od dawna pielęgnował w sercu.

Pragnął odkryć, kim jest. I dlaczego matka go porzuciła.

Zamiast tego dowiedział się, c z y m jest. Mieszkańcem i dziwolągiem. Jego wyjątkowe zdolności to po prostu mutacje.

Mutacje. To przecież oczywiste. W głębi duszy musiał podejrzewać, jaka jest prawda. Ale wołał nazywać je darami. Wyjątkowymi zdolnościami.

Parker nie wyprowadzał go z błędu, a nawet utwierdzał w mylnym przekonaniu bajeczką o superbohaterach. Wiedział doskonale, jak zaskarbić sympatię Zacha. Nic dziwnego.

Brat matki. Wuj Parker. Chuj, nie wuj! Okłamał go. Zmanipulował. Rodzina, jedna krew. A jak się zachował? Jakim trzeba być człowiekiem?

„Punkt krytyczny. To moment, po osiągnięciu którego impet zmian staje się nie do zatrzymania”.

Jakich zmian? Takich, w wyniku których świat przeistoczy się w miejsce pełne mroku i strachu? Przecież to już się dzieje. Nie, Parker i jego osobliwi towarzysze po prostu próbują ratować własne tyłki. Chcą wykorzystać Zacha

i jemu podobnych do tego, by ocalić w ł a s n ą rasę przed wyginięciem.

To jednak nie jego rasa. I nie jego walka.

Zaklął pod nosem. Nie potrafił wyrzucić słów Micki z myśli. Jej oskarżeń. O to, że wywiesza białą flagę i pokazuje, że jest infantylnym egoistą.

Nieudacznikiem.

Wprawdzie nie użyła tego słowa, ale dała mu to do zrozumienia. Według niej na pewno zasłużenie.

A niech sobie uważa, co chce. Jego to już nie dotyczy.

Pokręcił głową. Do diabła z tym!

Zadzwoniła komórka.

– Zach – odebrał.

Nie „detektyw Harris” ani „agent Harris”, tylko po prostu „Zach”.

– To ja, Angel.

– Angel? Wszystko w porządku?

– Obiecałeś. Przyrzekłeś, że wrócisz.

– Wiem. Ale miały miejsce pewne... wydarzenia, których nie zrozumiesz.

– Mówisz jak każdy dorosły, któremu tak naprawdę nie zależy.

Nie przypuszczał, że jej słowa zranią go aż tak głęboko.

– Przykro mi, że tak myślisz.

– Jesteś taki sam jak wszyscy.

Dołączył do grona tych, którzy ją zawiedli.

– Nie możesz odejść.

– Nie rozumiesz.

– Micki cię potrzebuje.

– Micki jest silna, Angel. Silniejsza ode mnie.

– Masz w sobie więcej siły, niż ci się wydaje.

– Przykro mi.

– Micki ma kłopoty. Przyśniła mi się. – Głos zaczął jej drżeć. – Grozi jej niebezpieczeństwo.

Wyprostował się.

– Jakie niebezpieczeństwo?

– To się wydarzy dzisiejszej nocy. Znalazła się w samym środku tego...  
wszystkiego.

– Nie jest sama, osłaniają ją. Skąd wiesz...

– Widziałam. Dzieje się ze mną coś dziwnego. To, co wcześniej było zamazane, zrobiło się wyraźne. Elementy układanki wskakują na swoje miejsce.

– Gdzie jesteś?

– U Jacqui, przyjaciółki Micki.

Nie znał Jacqui. Mick nigdy nie opowiadała mu o swoich przyjaciółkach i na pewno nigdy nie wymieniła przy nim imienia Jacqui.

– Ma synka. Słodki chłopak. Też jest wyjątkowy, ale ona jeszcze o tym nie wie.

– Angel, zostań tam, gdzie jesteś, dobrze? Rób, co ci kazała Micki. Ona...

– Ona ma dziś urodziny, Zach.

Poczuł się, jakby ktoś sprzedał mu kopniaka w brzuch. Popatrzył w prawo, w stronę budynku dawnego browaru.

– Ona tam jest. Z nim, Zach. Z n i m.

Zerwał się na równe nogi.

– Gdzie jest? W którym klubie?

– Nie wiem.

Migające światła Kudzu zdawały się go wabić.

Jest w Kudzu, pomyślał, to pewne. Poprosiła, żeby wysłali ją tam jako tajną agentkę, a jeśli się nie zgodzili, poszła jako zwykła policjantka. Zrobiła to z powodu tego, co Zach jej powiedział.

Sama, bez niego. Bez jego wyjątkowych zdolności.

– Będę przy niej za pięć minut, Angel. Dopilnuję, żeby nic się jej nie stało.

– Nie opuszczaj jej, Zach. – W głosie Angel zabrzmiała gwałtowna nuta.

– Twoim obowiązkiem jest ją chronić.

– Nigdzie się nie ruszaj. I bądź bardzo, bardzo ostrożna.

\*\*\*

Siedem minut później Zach przekroczył próg klubu. Ocean głów. Sami młodzi ludzie. Podskakują do pulsującego rytmu muzyki. Stroboskopy. Zapach potu. I seksu.

Jego wzrok od razu spoczął na Mick. Nie sposób było jej nie zauważyć. Kręciła się pośrodku parkietu, unosiła w górę ręce i falowała biodrami. Wyglądała kilka lat młodziej i porażająco seksownie. Miała na sobie dopasowaną bluzkę z dużym dekoltem, dzinsy opięte jak legginsy i do tego kowbojki.

Wysokie buty założyła na pewno po to, by ukryć w nich broń. Bo kto jak kto, ale Wściekły Pies nie mógł pójść na taką akcję nieuzbrojony.

Odrzuciła głowę do tyłu, wygięła szyję i przeczesła włosy palcami. Wabiła. Kusila.

Skutecznie. Otaczało ją stadko mężczyzn. Tańczyli z nią i dokoła niej. Każdy liczył, że to właśnie jemu się poszczęści. Zach przeniósł spojrzenie na bar. Kenny podawał drinki, opierał się na kontuarze i flirtował z jakąś blondynką. Od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na Mick. Przypatrywał jej się tymi swoimi osobliwymi oczami o płynnych źrenicach.

Miał co do niej własne plany.

Zach zaczął przeciskać się między imprezowiczami. Tańczyła tyłem do niego i zobaczyła go, dopiero gdy zatrzymał się tuż za jej plecami. Odwróciła się i zamarła. Przez jej twarz przemknęło zaskoczenie.

Zach zaczął poruszać się do jej rytmu. Powtarzał ruchy Micki, przybliżając się do niej. Czuł bijące od partnerki ciepło, a woń perfum, których używała, wypełniła mu nozdrza.

Położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie, przylgnął do niej i falował razem z nią. Byłoby to wyjątkowo zmysłowe, gdyby Zach nie skupiał się na ratowaniu Micki życia.

Pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Niespodzianka.

– Co tu robisz?

Była zła, gniew przenikał do tonu jej głosu i wprawiał słowa w drżenie.

– Zostaję. Przynajmniej do rana – dodał. – Potrzebujesz mnie.

– Nie pochlebiaj sobie.

Zacisnął palce na talii partnerki.

– Wszystkiego najlepszego, Mick.

– Skąd wiesz?

– Od Angel. Zadzwoiła do mnie. – Puścił ją i wycofał się. Nawet na chwilę nie wyszła ze swej roli. Posuwistym ruchem podeszła do kolejnego adoratora i zatańczyła z nim kilka sekund, po czym zmieniła go na innego, z którym krótko poflirtowała.

Aż znów nadeszła kolej Zacha. Przyciągnął ją do siebie.

– Nerwus cię obserwuje.

– Kto taki? Ach, Kenny.

Mocno wciągnął zapach jej perfum.

– Mmm...

– Już z nim rozmawiałam. Ale może warto jeszcze raz.

Odkleiła się od niego i podeszła do baru. Odprowadził ją wzrokiem i kiedy tak za nią patrzył, zorientował się, że w klubie jest silna obsada Ósemki. Detektyw Stacy Killian, przyjaciółka Mick, dołączyła do niej przy barze. Zaczęły się śmiać. Psiapsiółki wyszły zaszaleć. Samotny McConnell przy barze, sączący piwo, miał na wszystko oko.

Zach powiódł spojrzeniem po sali. Brak Parkera, Truebella i Eliego. Dranie. Rzucili Mick lwom na pożarcie.

Lwu, poprawił się. Jednemu. Takiemu o dziwnych oczach i nieustannych skurczach mięśni ramion i szyi.

Zawibrował telefon Zacha. Ten sam numer, co wcześniej. Odebrał.

– Angel?

Cisza w słuchawce, a potem:

– Kto mówi?



Kobięcy głos – ale nie Angel – z nutą desperacji.

– Zach Harris. A pani to... – Naraz zrozumiał. – Jacqui? Przyjaciółka Mick?

– Tak, ale skąd...

– Proszę chwilę poczekać. Znajdę miejsce, gdzie jest ciszej. – Wszedł na taras i stanął z boku. – Przepraszam za to. Mówi Zach, partner Mick.

– Partner? Ale myślałam... Zobaczyłam ten numer i pomyślałam, że stało się najgorsze...

– Czy z Angel wszystko w porządku?

– Angel zniknęła. Obudziłam się. Wydawało mi się, że słyszę, jak się kręci. Odczekałam kilka chwil, a potem wstałam i poszłam do niej. Zostawiła wiadomość.

– Proszę przeczytać.

– „Wiem, gdzie są”. – Głos jej drżał. – „Muszę im pomóc. Proszę, nie złość się”.

– To wszystko?

– Tak...

– Gdzie pani mieszka?

– Słucham?

– W której części miasta?

– W Gentilly Terrace, ale dlaczego...

– Prawdopodobnie jest w drodze.

– Ale skąd Angel miałaby wiedzieć, gdzie pan i Micki jesteście?

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Zadzwoiła do mnie, mówiła, że martwi się o Mick. Jak daleko ma pani do Dzielnicy Francuskiej?

– Piechotą to spory kawałek. Ale autobusem... – Zamilkła, jakby w myślach układała trasę. – Jest środek nocy, nie wszystkie linie kursują, a Angel nawet nie wie, gdzie jest najbliższy przystanek!

Kobięta podniosła głos, a nutę desperacji zastąpił histeryczny akord. Zach próbował ją uspokoić, co nie było łatwe, zważywszy że kiedy wybrzmiała histeria, zaczęła narastać panika.

– Jacqui, czy ma pani samochód?

– Tak. O Boże, niech pan zaczeka... – Rzuciła telefon i zaczęła rozpaczliwie czegoś szukać. Po chwili przyłożyła słuchawkę do ucha. – Kluczyki zniknęły!

Żołądek podszedł mu do gardła. Angel sama w mieście. Pozbawiona ochrony. Akurat dzisiaj, w sobotę, siódmy dzień tygodnia.

– Co robić? Alexander śpi, nie mogę...

– Proszę się nigdzie nie ruszać – powiedział stanowczym tonem. – Jadę do pani. – Nie sprzeciwiła się ani nie zapytała po co. Poprosił o adres i podała mu go. Zakończył połączenie i wrócił do środka.

Micki znów szalała na parkiecie. Wyczuła obecność Zacha, odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się, nadal doskonale odgrywając swoją rolę kusicielki, uwodzicielki, zalotnicy.

Ale wiedział, że zżera ją ciekawość. Widziała przecież, że rozmawiał przez telefon i wyszedł na taras. Być może dostrzegła też napięcie, które malowało się na jego twarzy.

Wczuł się w rolę odrzuconego kochanka u kresu wytrzymałości i gwałtownym gestem przyciągnął ją do siebie.

Stała na palcach, zarzuciła mu ręce na szyję i szepnęła do ucha.

– Kto dzwonił?

Skubnął ją w ucho i odparł:

– Nie tutaj.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do korytarza prowadzącego do toalet. Postawił ją pod ścianą, oparł dłonie po obu stronach jej ciała i przywarł do niej.

– Jacqui – mruknął.

Zesztywniała.

– Co się stało?

– Spokojnie, nic takiego. – Przesunął ustami po jej szyi i uśmiechnął się, kiedy poczuł, że dostała gęsiej skórki. – Musimy dalej grać. Nie chcemy przecież, żeby ktoś nas przejrzał. – Jeszcze kilka pocałunków i skubnięć. –

Angel wzięła samochód Jacqui i...

Kątem oka zobaczył, że z damskiej toalety wychodzi Amanda, barmanka, którą poznał podczas poprzedniej wizyty w klubie. Postanowił działać: wpił się w usta Mick i złożył na nich długi, głęboki pocałunek.

Z początku była zaskoczona i próbowała się opierać, ale po chwili zareagowała zgodnie ze scenariuszem swojej roli. Poddała mu się całkowicie.

Odkleił się od jej ust i powiedział:

– Zostawiła wiadomość. Niewykluczone, że jedzie tutaj.

– Tutaj? Ale...

Znów ktoś szedł – i znów pocałowali się dla uspienia podejrzeń.

– Wiadomość była niejasna. Jadę do Jacqui...

Położyła dłoń na jego piersi i zwinęła ją w pięść razem z koszulą.

– Ja pojedę. To w końcu moja...

– Nie – zamknął jej usta pocałunkiem. – Spró... – cmok – buję... – cmok – ją... – cmok – zna... – cmok – leżć...

Dwie wyraźnie podpite dziewczyny weszły do korytarza i widząc ich, nagle się zatrzymały.

Micki położyła obie dłonie na piersi Zacha i odepchnęła go od siebie.

– Odczep się, zboku!

Zrobił krok do tyłu i przyjął pozycję, jakby chciał odeprzeć atak.

– Masz nierówno pod sufitem, wiesz?

– Myśl sobie, co chcesz. Tylko nie zbliżaj się do mnie.

– Z przyjemnością. Wariatka! – rzucił i ruszył w stronę drzwi, udając obrzydzenie.

– I nie dzwoń do mnie! – krzyknęła za nim. – Ani mnie nie nachodź! Nigdy!

Czyli: zadzwoń, jak tylko będziesz coś wiedział. Bo pożałujesz!

Zach zatrzymał się, spojrzął przez ramię i odparł:

– Niech cię głowa nie boli. Z nami koniec.

# Rozdział 55

SOBOTA, 20 LIPCA  
GODZINA 2:05

Micki ochlapała twarz zimną wodą. Ręce jej się trzęsły. Nogi miała jak z waty. Musi wziąć się w garść. Angel opuściła mieszkanie Jacqui, naraziła się na niebezpieczeństwo.

Zach ją znajdzie. Musi.

Ale to, że teraz wypuściła go z klubu samego, było wbrew jej instynktowi.

Miała zadanie do wykonania. Zach – nie. Formalnie rzecz biorąc, Zach nie miał już nic wspólnego ze śledztwem. To samo Angel, przynajmniej oficjalnie.

Micki nabrała wody w dłoń i raz jeszcze ochlapała sobie twarz. Potem oderwała kawałek ręcznika papierowego. Nie musiała już chronić Zacha, już za niego nie odpowiadała. Przestał być jej partnerem. Był jedynie wielkim wrzodem na...

Kłamca. Micki przyjrzała się sobie w lustrze i wzdrygnęła się, widząc nagą prawdę w odbiciu. Nadal drżała w środku. Wciąż płonęła. Czuła dotyk jego ust, gdy wpijały się w jej wargi i przesuwały po szyi, wywołując rozkoszne dreszcze i sprawiając, że stwardniały jej sutki.

Weź się, cholera, w garść, Micki, i to już, natychmiast! Pocałunki to tylko element scenariusza. Oboje odgrywali swoje role i nic więcej. Ale trzeba przyznać, że jest świetnym aktorem...

Przypomniała sobie, że nazwała go magikiem. Rzeczywiście był czarodziejem.

„Jestem dobry w łóżku”.

„Nawet przez chwilę się nad tym nie zastanawiałam”.

„Dopiero będziesz”.

Sukinkot, wszystko przewidział.

Raz jeszcze spojrzała na siebie w lustrze. Tym razem z determinacją. Zanurzyć się w roli. Przekonać Kenny’ego, który wkrótce przeobrazi się w Zwiastuna Ciemności, że to ona ma być jego kolejną ofiarą.

Kilka chwil później Micki dowiedziała się, że już po wszystkim.

– Jak to: wyszedł? – zdziwiła się. – Dokąd?

– Skończył zmianę – odparła barmanka.

– Ale obiecał, że zaczeka na mnie. – Zrobiła nadąsaną minę i lekko przeciągnęła sylaby. – Mam urodziny.

– Dać ci dobrą radę? – Kobieta uniosła brew, ale nie czekała na odpowiedź. – Trzymaj się od niego z daleka. Kenny nie zna litości.

Micki spojrzała na nią, udając konsternację.

– Jak to?

– Zabujasz się, a on ci złamie serce.

– Ale on mi się bardzo podoba. Mam urodziny. Chcę, żeby był moim prezentem.

Barmanka roześmiała się i pokręciła głową.

– Sama tego chciałaś. W drodze do domu Kenny czasem wpada na śniadanie do Who Dat Coffee Café. Może uda ci się go tam złapać.

Micki nie marnowała zatem czasu. Znalazła Stacy.

– Idę za Kennym – zakomunikowała. – Barmanka powiedziała, że mógł pójść na śniadanie.

– I co jeszcze! Mac za nim poszedł.

– To nawet lepiej. Będę miała wsparcie.

– Trzymamy się planu. Zostajemy tu do rana.

– Sorry, Stacy, nie da rady.

– Micki, do ciężkiej cholery. – Ściszyła głos. – Narażasz się.

– Nic mi nie będzie. Mam odznakę, broń i pomoc Maca. – Zawahała się.

– To nasz człowiek, Stacy. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale jestem o tym przekonana. Kiedy go namierzę, zadzwonię do ciebie i sprowadzimy

chłopaków.

Dwie minuty później Micki szła już ulicą Dzielnicy Francuskiej. Znała Who Dat, nocny bar, lubiany wśród miejscowych, w tym również przez policjantów. Znajdował się przy jednej z osiedlowych uliczek, raczej na uboczu.

Szybko przebierała nogami. Jeżeli ktoś ją obserwował, na pewno zorientował się, że jest zupełnie trzeźwa i doskonale wie, dokąd zmierza.

Kiedy od knajpki dzieliło ją tylko pół przecznicy, zwolniła, złapała oddech, nastroszyła włosy i poprawiła bluzkę. Modliła się, żeby Kenny tu był i, spragniony seksu, przystał na jej towarzystwo.

Modlitwy zostały wysłuchane. Kenny siedział przy barze nad talerzem pełnym jajecznicą na boczku. Micki rozejrzała się za Makiem, ale nie zauważyła go. Dotarło do niej, że jest sama. Powinna zatem mądrze to rozegrać. Powiadomić Stacy i resztę zespołu. Ale miała Kenny'ego na widelcu. Był jej.

Podeszła po cichu i usiadła na stołku obok niego.

– Cześć.

Przeszył ją ostrym spojrzeniem.

– Co tu robisz?

– Wyszedłeś bez pożegnania. – Położyła dłoń na jego udzie i zaczęła powoli masować. Poczula, że zadrzał. – A przecież była między nami taka chemia...

– Tak?

– Mmm. – Zataczała palcami niespieszne kręgi.

– Gdzie twoja przyjaciółka?

– Została w klubie. – Micki posłała mu uśmiech. – Stara nudziara.

– Faktycznie. – Zamilkł na chwilę, po czym odpowiedział jej uśmiechem. – Wybieram się na imprezę. Masz ochotę pójść ze mną?

– No jasne.

Wstała i zachwiała się na nogach. Chwycił ją za łokieć i pomógł zachować równowagę.

– Nie za dużo wypijaś?

Zachichotała.

– Może. Ale dam radę, jeśli mnie potrzy masz.

– Nie ma sprawy.

– I wiesz co, zanim pójdziemy, skoczę na siku, co?

– Zaprowadzę cię.

– Sama trafię, głuptasku.

– Nie chcę, żebyś się przewróciła.

– Okej. – Zachichotała i oparła się pokusie przewrócenia oczami na idiotyczną dziecinność swojego zachowania. – Skoro nalegasz.

– Nalegam. – Objął ją w pól, a ona wsparła się na nim, pozwalając się prowadzić. Im bardziej będzie się wydawała bezbronna, tym bardziej pewny siebie będzie się czuł. I tym większe zaskoczenie.

Pojedyncza łazienka. Kiepsko. Liczyła na rząd kabin – wtedy poszłaby do ostatniej i nie byłoby sły chać, jak dzwoni do Stacy.

Odepchnęła go figlarnie.

– Zostań.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Nigdzie się nie wybieram.

Zamknęła drzwi na zasuwkę i wyjęła telefon schowany w biustonoszu.

*Mam go – napisała. Zaprosił mnie na impreze. Nie widze Maca.*

*Nie ruszaj się stamtąd. Już jadę – nadeszła odpowiedź.*

*Spróbuj zyskać na czasie, ale nie obiecuje.*

Zapukał do drzwi.

– Wszystko w porządku, mała?

– Chwileczkę – odparła i pospiesznie spuściła wodę. Odkręciła kran, a potem włączyła suszarkę do rąk.

Czekał na nią pod drzwiami.

– Sorki – rzuciła. – Musiałam napisać do przyjaciółki.

– Po co?

– Wkurzyła się, że wsiąkłam.

Zaprowadził ją do samochodu. Czarny, sportowy.

– Niezła fura.

– Dzięki.

Otworzył drzwi po stronie pasażera. Wsiadła i ustawiła nogi tak, by mieć łatwy dostęp do ukrytej w bucie broni. Zastanawiała się, kiedy Kenny wykona ruch – i co zrobi.

Zajął miejsce za kierownicą.

– Czemu twoja przyjaciółka się wkurzyła?

– Przez te dziewczyny.

Odpalił silnik, ale nie ruszył.

– Te, które zaginęły?

Pokiwała głową.

– One też świętowały urodziny.

Wykrzywił usta w gadzim uśmiechu.

– I nie boisz się?

– A powinnam?

Wyciągnął rękę, dotknął policzka Micki i zmusił ją, by spojrzała na niego. Gdy to zrobiła, natychmiast uświadomiła sobie swój błąd. Jego ciemne oczy o płynnych źrenicach zdawały się ją wciągać. Poczula się ociężała, wrażenie bezwładu opanowało kończyny, zamrowiło w palcach i otumanilo.

– Oczywiście, że nie, kochanie. Nikt cię nie porwie. Jesteś ze mną.

Micki próbowała zamrużyć, odwrócić wzrok, przerwać połączenie. Ale nie mogła tego zrobić. Miał hipnotyzujące spojrzenie. Takie jak Zach, kiedy złamał obietnicę i wykorzystał na niej swoje zdolności.

Lecz wzrok Kenny'ego odróżniał się tym, że był mroczniejszy. Przytłaczający. Tłamsił jej wolną wolę.

A więc tak to zrobił, pomyślała. Tak zmusił Miller i Putnam do opuszczenia mieszkania bez walki.

– Kochanie?

– Tak? – usłyszała własny głos, jakby dobiegał z dna studni.



– Wyglądasz na zmęczoną. Może lepiej oprzyj głowę i odpocznij.  
Obudzę cię, kiedy dotrzemy na imprezę.

Chciała zaprotestować. Chciała walczyć. Ale zamiast tego posłusznie oparła głowę i zamknęła oczy.

– Grzeczna dziewczynka – mruknął. – Słodkich snów.

# Rozdział 56

SOBOTA, 20 LIPCA

GODZINA 3:00

Jacqui mieszkała w dzielnicy, w której stały zarówno domy jednorodzinne, jak i bloki oraz budynki biurowe. Zach zaparkował przed jej blokiem, jednym z najmniejszych w okolicy, i wysiadł. Nawet w bladym świetle latarni było widać, że najlepsze lata osiedle miało już za sobą.

Znalazł właściwy numer i zadzwonił. Uchyliła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

– Zach – przedstawił się krótko. – A pani... ty to Jacqui?

Potwierdziła skinieniem głową i otworzyła mu. Trzymał ją za nogę mały chłopiec, wyraźnie zaniepokojony, zresztą tak jak jego matka.

– To jest Alexander.

– Witaj, Alexandre – powiedział Zach.

Chłopiec spojrzał na niego z poważną miną.

– Znajdzie pan Angel?

– No pewnie, stary – odparł i zwrócił się do Jacqui: – Mogę zobaczyć tę wiadomość?

Zaprowadziła go do niewielkiej kuchni.

– Proszę. – Wskazała na leżący na stole otwarty notatnik.

Zeszyt Angel. Napisała wiadomość na stronie z rysunkiem tatuażu.

Serce z wewnętrznym płomieniem. Stworzenie ze skrzydłami. Gwiazdozbiory – siedem konstelacji.

Siódemka.

Wszystko to wyglądało bardzo znajomo. Nie dlatego, że widział ten rysunek już wcześniej. Chodziło o inne miejsce. Gdzieś...

Mieszkanie Putnam. Porozrzucone produkty żywnościowe: majonez,

przetwory, masło orzechowe, dżem, mleko, jajka. Pośrodku rozbita butelka keczupu. Proste, ale na tyle czytelne, by pobudziło pamięć.

Przeczytał wiadomość: „Wiem, gdzie są. Muszę im pomóc. Proszę, nie złość się”.

– I co o tym myślisz?

– Wygląda na pismo Angel.

Wyciągnął rękę, ale nie dotknął kartki. Na wypadek gdyby okazało się, że to jednak nie ona napisała te słowa. I nie wyszła z własnej woli.

Przesunął dłonią nad notatnikiem. Wyczuł energię. Emanowała z kartki, łaskotała w dłoń, nadgarstek, przedramię. Zamknął oczy. Angel była spanikowana, rozgorączkowana i zdecydowana.

Ocalić dziewczęta.

Liczba mnoga.

Nie Mick. Chodziło jej o Miller i Putnam.

Angel jakimś sposobem domyśliła się, gdzie są przetrzymywane uprowadzone studentki.

Zach odwrócił stronę i nagle nogi się pod nim ugięły. Rysunek. Na nim Mick. Potworna mina, krzyk bólu. Dokoła ciemność. Pochłania ją.

Powód, dla którego Angel do niego zadzwoniła.

Przesunął dłonią nad kartką. Angel siedzi na łóżku. Jest przerażona. Boi się o bezpieczeństwo Micki. Postanawia zadzwonić do Zacha.

Wszystko to już wiedział.

Za jego plecami Jacqui jęknęła ze strachu.

– Mój Boże, czy to Micki?

Prędko odwrócił kartkę. Nie chciał przysparzać Jacqui dodatkowych zmartwień.

– Dlatego Angel do mnie zadzwoniła. Przyśniło jej się, że Micki coś grozi.

– A grozi?

– Niedawno się z nią widziałem. Była cała i zdrowa. – Szkoda, że nie czuł tej pewności, która teraz biła z jego głosu. – Ma solidne wsparcie.

Jacqui potarła ramiona, jakby nagle przeszedł ją zimny dreszcz.

– Ten rysunek... coś okropnego. Skąd mógł się wziąć taki sen?

Zach nie odpowiedział, lecz skierował rozmowę na temat Angel.

– Chcę, żebyś się skupiła. Chodzi o te zaginione studentki. Sądzę, że Angel udało się odkryć, gdzie są przetrzymywane.

– Ale jak mogła... Nie rozumiem...

– Zostaw to mnie, dobrze? Porozmawiajmy o Angel. Kiedy widziałaś ją po raz ostatni?

– O siódmej, może wpół do ósmej. Tak, mniej więcej wtedy. Bolał ją bok.

Tatuaż. Zach zerknął na rysunek.

– Mów dalej.

– Zaniepokoiłam się, ale powiedziała, że czasem tak ma.

– Gdzie wtedy była?

– Na kanapie. Siedziała z Zanderem. On spał, a ona oglądała telewizję. Ja byłam w kuchni.

– Co oglądała?

– Program na PBS. O Katrinie.

– O huraganie? – spytał, marszcząc czoło.

– Tak. – Nerwowo zagryzła dolną wargę. – O miejscach, które ucierpiały podczas powodzi i od tamtej pory stoją opuszczone.

Opuszczone. Ależ oczywiście. W takim miejscu łatwo ukryć dwie dziewczyny, których szuka całe miasto.

– Co to za miejsca?

– Nie wiem. Siedziałam w kuchni i...

– Weź głęboki oddech – powiedział łagodnie, patrząc jej w oczy. – Przypomnisz sobie.

Nabrała dużo powietrza, potem powoli je wypuściła i pokiwała głową.

– Nie wiem, o czym była mowa wcześniej w programie, ale kiedy do niej przyszedłam, pokazywali opuszczony kościół i szkołę.

– Gdzie?

– W Lower Ninth.  
– Jak się nazywał kościół?  
– Nie pamiętam!  
– Zastanów się, Jacqui. To ważne.  
– Na pewno katolicki, bo mówiłam, że pewnie właścicielem nieruchomości nadal jest archidiecezja.  
Tatuaż Angel. Serce z płonącym ogniem.  
– Najświętszego Serca Jezusa – powiedział.  
– Tak! Skąd wie...  
– Myślę, że tam pojechała. Masz komputer?  
– Już daję.  
Wyjęła laptop z torby, otworzyła klapę i aż krzyknęła.  
– To ten kościół! Widocznie Angel sprawdzała, jak tam dojechać.  
Zach odwrócił urządzenie w swoją stronę. Lepiło się od energii Angel.  
– Bez dwóch zdań. Jadę za nią.  
– A ja? Co mam robić?  
– Po prostu zostań tu. Jeżeli Mick zadzwoni, opowiedz jej o naszej rozmowie, żeby była na bieżąco.  
– Może to ja powinnam do niej zadzwonić.  
Położył jej dłonie na ramionach i spojrzał prosto w oczy.  
– Telefon mógłby ją zdradzić. Zresztą nawet nie wiemy, czy kościół to nie fałszywy trop.  
– Masz rację. Angel mogła coś sobie ubzdurać.  
– Cieszę się, że rozumiesz. – Zabrał ręce. – Spokojnie, nie denerwuj się. Zadzwonię, jak tylko będziemy mieli wracać. Tymczasem ty i Zander powinniście się przespać.  
– Obawiam się, że w takiej sytuacji żadne z nas nie zmruży... – Zamilkła i rozejrzała się. – Gdzie Zander?  
– Był tu przed chwilą – odparł Zach.  
– Zander, gdzie jesteś? Odpowiedz mamie.  
Cisza. Zach zmarszczył czoło.

– Mógł się gdzieś schować i pójść spać. Dzieci czasem tak robią, prawda?

– Alexander! – krzyknęła i pobiegła do drugiego pokoju. – Natychmiast odpowiedz!

Nadal cisza. Zajrzeli pod łóżka, do szaf i wszędzie tam, gdzie mógł się ukryć trzylatek.

Jacqui zaczęła panikować.

– Jest środek nocy... Przecież stał tu obok nas!

– No więc właśnie. Nie mógł wyjść tak, żebyśmy go nie...

– O mój Boże!

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Drzwiczki dla psa. Poczul, że serce mu stanęło.

– Czy wcześniej się zdarzało, że...

– Tak. Ale kazałam mu przyrzec, że nigdy więcej tego nie zrobi... – Urwała, bo nagle uświadomiła sobie, jak głupio to brzmi. – Zamykam je na zasuwkę, na wszelki wypadek.

Ale zasuwka była podniesiona. Jacqui krzyknęła przerażona.

– Moje dziecko! – Zaczęła się trząść i niewiele brakowało, a wybuchłaby płaczem. – Jest całkiem ciemno. Coś może mu się stać!

– Masz latarkę?

– Tak.

– To idź po nią. Ja mam drugą w aucie. Poszukamy Zandera.

– A Angel...

– Będzie musiała zaczekać – odparł Zach i poczuł na ramionach ciężar czasu. – Nie mógł daleko odejść.

# Rozdział 57

SOBOTA, 20 LIPCA

GODZINA 3:35

Angel stała na stopniach schodów prowadzących do opuszczonego kościoła. W ciemności budynek wyglądał jak kadłub gigantycznego statku. Cały czarny, żadnych świateł, tak jakby całe dobro dawno opuściło to miejsce.

Ściągnęła ją tu jakaś siła. Prowadziła, mówiła, któredy jechać, była niczym wewnętrzna nawigacja. Zabezpieczona kłódką brama ustąpiła pod dotknięciem dłoni.

Ta siła doprowadziła ją również do tej chwili. Przez całe życie słyszała jej zew. Szukała tego czegoś. Odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”. Celu.

Oto on. Cel, do którego została stworzona. Przyczyna, dla której różniła się od innych dzieci. Powód, dla którego śniły jej się symbole, na przykład serce, i to, że poczuła, że musi trwale naznaczyć nim swoje ciało.

Ból w boku się nasilił. Tatuaz zaczął pulsować, naśladować rytm serca. Odwróciła głowę w kierunku, z którego wiał wiatr, i wzdrygnęła się. Mieszkało tu coś cuchnącego.

Wyczuła obecność Gwen Miller i Patricii Putnam. Poczowała ich rozpacz. Przyjęła płynącą od nich falę strachu. O dziwo, zamiast napełniać lękiem, oba te doznania zdawały się pobudzać ją do życia.

Moje przeznaczenie, pomyślała. Wejść, uwolnić więzione, wyjść.

Powiodła wzrokiem wzdłuż ścieżki prowadzącej do drzwi świątyni, a potem spojrzała na zajmującą sporą przestrzeń szkołę po prawej. Zamknęła oczy. Skupiła się. Ujrzała drogę, którą musi pokonać.

Ominęła kościół, skręciła pod zniszczoną wiatę i znalazła się przed wejściem do szkoły. Stała otworem. Czekwała na nią.

Weszła do środka. Drzwi zamknęły się z hukiem, aż podskoczyła

i obejrzała się za siebie.

Następnie ruszyła przed siebie biegnącym po łuku korytarzem. Po obu stronach w nieregularnych odstępach znajdowały się drzwi do klas. Dotknęła tatuażu i wyobraziła go sobie. Kościół był sercem, Najświętszym Sercem, a klasy gwiazdozbiorami.

Szła przed siebie. Chaos zatrzymany w czasie. Poprzewracane ławki i krzesła, porozrzucane książki. Splesniałe pozostałości nie wiadomo już czego.

To, co dawniej było miejscem nauki, teraz wyglądało jak krajobraz Sądu Ostatecznego, rozprawy nad ludzkością.

– Jest tu kto?! – zawołała. Odpowiedziała jej cisza. – Gwen! Patricia!

Usłyszała słaby jęk. Dochodzący znikąd lament, który mieszał się z szumem krwi w jej głowie.

– Gdzie jesteście?! – krzyknęła. – Przyszłam was uwolnić!

– Tutaj! – odpowiedział głos. – Jesteśmy tutaj!

Ruszyła w kierunku, z którego dobiegało wołanie. Przedzierała się, najszybciej jak mogła, przez krajobraz zniszczenia.

– *Witaj, moja droga.*

Zatrzymała się. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Głos rozbrzmiewał w głowie i zarazem odbijał się potężnym echem od ścian budynku.

– *Czekałem na ciebie.*

Obróciła się powoli, przeszukując ciemność.

– Kim jesteś?

– *Znasz mnie.*

Głos wirował dokoła niej, spowijał ją, brzmiał znajomo i jakimś sposobem działał na nią zniewalająco i uspokajająco.

– Nie – odparła odważnie. – Nie znam cię.

– *Angel* – zrugął ją głos – *nie możesz się mnie wyprzeć.*

– Skąd znasz moje imię?

– *Stąd, że cię stworzyłem.*



„Stworzyłem”? Tak jakby zrodziła się wskutek eksperymentu w laboratorium. Jakby była potworem Frankensteina.

– Pokaż się, skoro cię znam.

Czekała. W ciemności nic się nie poruszało. Cisza stawała się coraz gęstsza. Podjęła przerwana wędrowkę.

– Gwen, Patricio! Gdzie jesteście?

– Tutaj! – krzyknęły przez łązy. – Pomóż nam! On się zbliża.

Angel znalazła klasę z zamkniętymi drzwiami. Zajrzała przez okienko i zobaczyła porwane studentki. Siedziały przytulone do siebie i przykute do ściany. Były przerażone, ale żywe.

Miała rację.

Oto jej przeznaczenie.

Drzwi były metalowe, trzymały się na zardzewiałych zawiasach i były osadzone w pękniętej ramie. Nie powinno być trudno je wyważyć. Raz, drugi. Poczowała ostry, piekący ból w ramieniu. Zorientowała się, że płacze. Podjęła trzecią próbę. Drzwi jęknęły i zaczęły ustępować.

Dzięki Bogu, pomyślała, dzięki...

Nagle uświadomiła sobie, że nie jest sama. Czyjaś obecność. Krążyła wokół niej, pieściła ją tak, jak wyobrażała sobie pieszczoty kochanka. Dostała gęsiej skórki i stanęły jej włosy na karku. Coś się w niej przebudziło.

– *Jestem twoim przeznaczeniem, Angel.*

– Wynoś się z mojej głowy.

– *Nie możesz się mnie wyprzeć.*

Wtedy do niej dotarło: to ta rzecz, która ją prześladowała, która zabiła Brite i próbowała zgładzić Zacha. Rzecz, o której szeptali Eli i pozostali – której tak bardzo się bali.

Obudził się w niej potężny strach, a wraz z nim instykt samozachowawczy. Co też jej przyszło do głowy? Przecież nie jest dość silna, by to zrobić. Jest zdecydowanie za słaba.

Ta rzecz się roześmiała.

– *Masz pełne prawo się bać, najdroższa Angel.*

To było coraz bliżej i coraz silniejsze. Zamykało ją w objęciach.

– *Nie ciekawiło cię, dlaczego zawsze odstawałaś? Z mojego powodu.*

– Nie.

– *Jesteś częścią mnie.*

Zrobiła krok do tyłu i z całej siły kopnęła drzwi. Jej nogę przeszył ból silny niczym porażenie prądem. Mimo to wymierzyła kolejnego kopniaka, i jeszcze jednego, aż w końcu drzwi wyrwały się z zawiasów i wpadły do środka.

– *Oddychaj mną, słodka dzieciно. Jestem wszędzie.*

To prawda. Wirująca energia. Bezkresna. Mroczna. Ciężka od swej mocy.

– *Z pewnością czujesz, jak coś się w tobie budzi. Jak nabrzmięwa życiem.*

*To ja. W tobie, Angel.*

– Czego ode mnie chcesz?

– *Niewiele. Po prostu odwróć się i odejź. Opuść to miejsce.*

– Nie rozumiem! – krzyknęła.

– *Uratuj siebie. Odejź stąd.*

Zrozumiała. Spojrzała na dwie płaczące dziewczyny. Zostawić je, pozwolić im umrzeć, samej zachowując życie.

– Dlaczego? – szepnęła.

– *I tak nie możesz im pomóc. Jestem zbyt silny. Przecież wiesz.*

Rzeczywiście, wiedziała. Nie знаła tych dziewczyn. I nie mogła podjąć walki z tą rzeczą, ponieważ była ona zbyt silna.

Zaczęła się trząść tak gwałtownie, że zadzwoniła zębami. Dreszcze zdawały się mieć źródło gdzieś bardzo głęboko w jej wnętrzu.

Zrodził się w niej opór.

– Nie.

Przeszył ją ból. Zgięła się wpół i upadła na kolana.

– Nie – powtórzyła. – Nie zro...

Coś ścisnęło jej żołądek. Wydała z siebie przeraźliwy krzyk, a potem

zwymiotowała. Po chwili zrobiła to po raz drugi. Łzy popłynęły jej po policzkach. Poczowała mrowienie na całym ciele, jakby miliony pajaków próbowały wdrzeć się pod skórę.

– Proszę – jęknęła. – Proszę... przestań...

– *Powiedz tylko...*

Wtedy ból zniknie, a ta rzecz uwolni ją i pozwoli uciec.

– ...*tak*.

Szept, słodki jak letni deszcz, wabił. Powiedz to. Zgódź się. Odejdź.

– *Nie... będziesz... cierpiąca...*

Otworzyła usta, ale zamiast: „tak”, wyartykułowała imię.

– Eli – szepnęła. – Eli... – powtórzyła głośniej. – Zach... pomóżcie mi.

Budynek jęknął, podłoga się zatrzęsała. Potwór porwał Angel. Objął ją ciemnością, oplótł jak wąż i ścisnął. Zabrakło jej tchu w piersi.

– *Głupia. Naprawdę sądzisz, że mogą mnie pokonać?*

Nie była w stanie oddychać. Biła się z rozpaczą i walczyła o powietrze.

– *Idą po ciebie. Umrą razem z tymi dwiema.*

Myśli Angel wypełnił wizerunek Eliego. Skąpany w świetle wysiadał z samochodu. Kiedy obraz okrzepł, uczepiła się go ze wszystkich sił. Potem pomyślała o Zachu. O jego uśmiechu i życzliwości. I o Micki. O Jacqui i małym Zanderze. Nie znali jej, a jednak wyciągnęli do niej pomocną dłoń. Przyjęli ją.

Poczowała, że narasta w niej wściekłość. Jeżeli stwór zrobi im krzywdę, Angel znajdzie sposób na to, by zapłacił.

Potwór roześmiał się na tę niewypowiedzianą groźbę.

– *Sądziłaś, że z nią zostaniesz. Że się tobą zaopiekuje. Ale nie, ona wkrótce umrze. Z twojego wyboru.*

Złość osiągnęła apogeum i przemieniła się w czystą nienawiść.

– *Obiecał ci wizytę w muzeum sztuki. Nie pójdzie z tobą, bo będzie martwy.*

Nienawiść wykrzesowała siłę – siłę, której Angel dotąd nie znała. Jakby obudził się w niej lew.

Potwór poluzował uchwyt.

– *Przetrwałaś drwiny, szyderstwa i odrzucenie dla... tego? Chcesz tu umrzeć, oddać życie za kobiety, których nawet nie znasz? Czy tak ma wyglądać twoje przeznaczenie?*

Przybywa odsiecz. Micki, jej bracia: Eli i Zach.

– *Ocal życie swoje i przyjaciół. Odejdź i pozwól umrzeć tym dziewczynom.*

Zrozumiała, że ta rzecz manipuluje nią, by dostać, czego chce, kontroluje za pomocą jej własnych emocji.

Dlaczego? Czego od niej chce?

– *Zrób to, Angel. Odejdź.*

– *Nigdy* – wychrypiała bezczelnie.

– *Wobec tego zaczekamy. I przekonamy się, czy zmienisz zdanie, widząc ich cierpienie.*

# Rozdział 58

SOBOTA, 20 LIPCA

GODZINA 3:55

Zach i Jacqui przeczesywali okolicę, ale poszukiwania Alexandra nie przynosiły rezultatów. Matka chłopca odchodziła od zmysłów.

– Wracajmy – zaproponował Zach najbardziej uspokajającym tonem, na jaki było go stać. – Może poszedł do domu i czeka tam na nas.

– Tak myślisz? – spytała tonem pełnym nadziei.

– To bardzo prawdopodobne.

Wrócili więc, Jacqui prawie biegiem. Kiedy zobaczyła swój budynek, wykrzyknęła ze szczęścia. Alexander siedział na ganku w towarzystwie wysokiego blondyna.

Eli.

– Alexander!

– Mama! – Zbiegł po schodkach i rzucił się jej w ramiona.

– Dzięki Bogu! – Mocno przytuliła i wyściskała synka, a potem zmarszczyła brwi i powiedziała: – Nigdy więcej tego nie rób! – Lekko nim potrząsnęła. – Mogło ci się coś stać. Ktoś mógł cię zabrać albo zrobić ci krzywdę!

– Posedłem sukać Angel – zaszlochał. – To moja psyjaciółka.

Wzięła go na rękę.

– Wystraszyłeś mnie, syneczku.

Zach przeniósł spojrzenie z Jacqui na Eliego i popatrzył w jego jasnoniebieskie oczy. Mężczyzna wykrzywił usta w delikatnym uśmiechu.

– *Przyszedłem ci pomóc.*

– *Nie potrzebuję twojej pomocy* – pomyślał Zach i zmrużył oczy – *Wynocha z mojej głowy.*

Jacqui przerwała tę milczącą wymianę uprzejmości.

– Nie wiem, jak panu dziękować.

– Nie ma za co – odparł Eli, wstając. – Dobrze, że akurat ja go znalazłem.

– Gdzie był?

– Na przystanku autobusowym.

– Mój Boże. – Ścisnęła chłopca tak mocno, że aż jęknął. – Mieszka pan w okolicy?

– Kawalek dalej. – Machnął ręką. – Kilka razy widziałem was we dwoje, więc kiedy zobaczyłem, że mały jest sam, zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. Nie chciał ze mną pójść, ale przekonałem go.

Eli spojrzał na Alexandra.

– Pamiętaj, co ci mówiłem, Zander. Słuchaj mamy. Ulica nie jest dla takich maluchów jak ty.

Zander pokiwał głową i wyprostował się, choć broda nieznacznie mu zadrżała.

– Psyzekam.

Jacqui lekko ściągnęła brwi.

– Położę go spać. Dziękuję panu, panie...

– Po prostu Eli.

– Dziękuję ci, Eli – powtórzyła i spojrzała na Zacha. – Dziękuję wam obu.

Zach skinął głową.

– Jesteśmy w kontakcie.

Gdy tylko Jacqui zamknęła za sobą drzwi, Zach zwrócił się do Eliego.

– Wynoś się z mojego życia. Nie potrzebuję ani ciebie, ani Parkera, ani profesora.

– Potrzebujesz nas – czy ci się to podoba, czy nie – jeśli chcesz ocalić Angel i Micki.

– Co o nich wiesz?

– Wszystko poza tym, gdzie ich szukać. Wyjaśnię po drodze.

Zach zawahał się, po chwili jednak otworzył drzwi zaparkowanego przy chodniku taurusa i obaj wsiedli. Zach włączył silnik, ale nie ruszył.

Spojrzał na Eliego.

– Wiesz, co się dzieje, ale nie wiesz gdzie. Jak to możliwe?

– Nie rozumiesz, Zach. Zakładasz, że inni potrafią to samo, co ty. Wcale tak nie jest.

– Wyczuwanie myśli, wspomnień i emocji, wpływanie na innych po to, żeby dostać darmowego drinka, przekonywanie dziewczyn tak, by nie potrafiły odmówić – to wszystko sprytne sztuczki. Ale gdyby nie Angel, też nie wiedziałbym, gdzie ich szukać.

– Szczególną zdolnością Angel są sny i przeczucia. Dlatego jest nam potrzebna. – Eli spojrzał na Zacha. – Ciebie też potrzebujemy.

– Jasne – mruknął. – Do czego? Z moimi tanimi sztuczkami mogę być najwyżej waszą maskotką.

– Już to mówiłem, ale powtórzę: nie zdajesz sobie sprawy z własnej wartości. Owszem, Angel to prorokini. Ty zaś jesteś tropicielem. To unikalna zdolność, nawet pośród Pełnych Blasków.

– Tropicielem? Co to, u diabła, znaczy?

– Znaczenie jest całkiem dosłowne. – Zamilkł na chwilę, dając Zachowi czas na dodanie dwa do dwóch. – Potrafisz wytropić Zwiastuny Ciemności. I to nie tylko te pomniejsze, lecz także najważniejszego: Pradawnego.

– Chwileczkę, powoli. „Pradawny”?

– Pradawny. Pierwotny. Pierwszy. Wszystko ma swój początek.

Zach prychnął.

– Jak wąż w raju.

– Dokładnie tak. Wąż, Lucyfer, Szatan, smok, niszczyciel. Przewija się pod różnymi postaciami we wszystkich kulturach i religiach.

Zło na świecie – przyjął do wiadomości fakt jego fizycznego istnienia i nie zamierzał spierać się o szczegóły dotyczące tego, która jego postać była najpierwsza. Nie pora na to.

– Nic wielkiego, po prostu poszedłem śladem energii.

– Przeciwnie: to coś niezwykłego. Czujesz jego energię, reagujesz fizycznie na jego obecność. Widziałeś, jak zaatakował Brite. Ja tego nie potrafię. Lester też nie. Zach, posłuchaj, to naprawdę wyjątkowy dar.

Zach zacisnął dłonie na kierownicy, próbując przyswoić to, co usłyszał od Eliego.

– Skoro nie odbierasz energii Zwiastuna Ciemności, to dlaczego bałeś się dotknąć Angel, która miała z nim kontakt?

– Widziałeś, co się wydarzyło, kiedy próbowałeś przekazać Parkerowi wiedzę o Zwiastunie. Wprawdzie wyszliście z tego bez szwanku, ale może się skończyć dużo gorzej: Zwiastun może wykorzystać Angel, żeby dobrać się do nas.

– Kiedy poszedłem do Kudzu, nic nie poczułem. Żadnej energii.

Eli lekko uniósł kąciki ust.

– Owszem, poczułeś... brak energii. Założę się, że był bardzo wyraźny. Cisza jak makiem zasiał. Bo widzisz, oni nie są w stanie ukryć się przed tobą. Gdyby nie ty, nie byłoby nas tutaj. Nie mielibyśmy szansy powstrzymać ostatecznego przeobrażenia. Parker nie zwerbował cię bez powodu. Liczył, że odziedziczyłeś tę wyjątkową zdolność, o której mowa, po swojej matce. – Zamilkł na chwilę. – Właśnie dlatego cię potrzebujemy.

– Ona też była tropicielem.

– Tak. Bezwzględnie wiernym naszej sprawie.

– Ale nie waszej rasie – odpalił Zach. – Skoro popełniła „grzech śmiertelny” i związała się z człowiekiem.

– Zakochała się. Nie mnie to osądzać. – Położył Zachowi dłoń na ramieniu. – Rozumiem, że masz wątpliwości. Odpowiem na wszystkie pytania, obiecuję. Ale obawiam się, że w tej chwili liczy się czas.

Angel. Mick. Obie go potrzebują.

Przełknął pytania, które cisnęły mu się na usta – niczym żółć podchodząca do gardła – kiwnął głową i ruszył.



# Rozdział 59

SOBOTA, 20 LIPCA

GODZINA 4:05

– Obudź się, kochanie. Jesteśmy na miejscu.

Micki uniosła powieki i zobaczyła ciemność. Jej myśli opuściły świat snów i zanurzyły się w koszmarze chwili. Powróciła świadomość tego, co się stało i gdzie jest. Oraz z kim.

Miał pistolet. Mierzył jej w głowę.

Sięgnęła po broń i odkryła, że została rozbrojona. Mężczyzna się roześmiał.

– A to niespodzianka, co?

Usiłowała nadal grać, mimo że Kenny wpatrywał się w nią oczami o osobliwych źrenicach i czuła krztuszącą woń rozkładu.

– O co ci chodzi?

– Jesteś policjantką – powiedział. – Michaela Dare. Detektyw.

Super.

– Znalazłeś odznakę...

– I telefon. Nawiasem mówiąc, masz niezłe cycki.

– Wal się.

Roześmiał się i przycisnął lufę do jej skroni.

– Wsiadaj. No już.

– Gdzie jesteśmy?

– Zaraz się dowiesz. – Zawahała się, na co on rozciągnął usta w niemal groteskowym uśmiechu. – Wszyscy już są. W tym osoba, na której tak ci zależy.

– Kto taki?

– Wsiadaj. Chyba że wolisz zaprzyjaźnić się z ołowiem.

Musiała robić, co jej kazał – tylko tak miała szansę go pokonać. Otworzyła drzwi i wysiadła.

Opuszczony kościół. Pozostałość po Katrinie. To zawęża wybór. Przesunęła wzrokiem po okolicznych zabudowaniach. Postawiłaby na Lower Ninth.

Szturchnął ją pistoletem.

– Pora na imprezę. Panie przodem.

Micki powoli ruszyła przed siebie. Czekwała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Kenny szedł tuż za nią, przez cały czas czuła dotyk lufy między łopatkami.

– Sprytnie nas rozpracowałaś.

– Nas?

– Nauczyciela i mnie.

„Nauczyciela”? Przez chwilę nie wiedziała, o kim mowa, dopóki nie dotarło do niej, że barman ma na myśli Zwiastuna Ciemności.

– Nazywasz go nauczycielem? Nie bestią ani potworem?

– Zamknij się.

– Bo tym właśnie jest: potworem. Zabija cię.

Mocno dźgnął ją pistoletem, tak że aż się potknęła. Zakłęła w myślach, że okazała słabość.

– Posiłki są już w drodze.

– Kłamiesz. Przeczytałem twoje wiadomości i odpowiedziałem w twoim imieniu. Napisałem tej drugiej glinie, że pomyliłaś się co do mnie i pojechałaś do domu.

– To nie przejdzie. Śledzą mój telefon i...

– Nie masz już telefonu. Poza tym, zanim dojadą, będzie po wszystkim.

– Będziemy martwi?

– Tak. – Przeszedł go potężny dreszcz. – Muszę to z siebie wyrzucić.

Przypomniała sobie, co Parker mówił o procesie przeobrażania się człowieka w Zwiastuna Ciemności – że ostateczne wygaszanie światła jest nie do zniesienia.

Postanowiła spróbować innej taktyki.

– To nie może się dziś wydarzyć. Jest sobota, ale nie ostatnia...

– Nauczyciel obiecał, że to się stanie, kiedy zbiorę cztery kobiety.

I mam cztery.

Cztery? Miller i Putnam, teraz ona – to razem trzy, chyba że...

Angel.

Zaparlo jej dech. Zaczęła gorączkowo myśleć. To znaczy, że Zach już tu jedzie. Ale co może zrobić bez broni i wsparcia?

Muszę odzyskać pistolet, postanowiła.

W miarę jak zbliżali się do kościoła, Kenny oddychał z coraz większym trudem. Częściej się potykał i coraz mocniej wbijał Micki lufę w plecy.

– Nie musisz tego robić – odezwała się. – Jeszcze nie jest za późno.

Nie odpowiedział. Weszli po schodach i zatrzymali się pod drzwiami świątyni.

– Otwieraj!

Usłyszała krzyk w tej samej chwili, w której przekroczyła próg kościoła. Wrzask przerażonych kobiet. Kobiet, którym ktoś zadaje ból. Torturuje.

– Ty sukinsynu! Gdzie one są?

Micki odwróciła się. Barman stracił piękną buźkę. Ból wykrzywił mu oblicze, a źrenice powiększyły się tak, że przypominały ciemne, puste jamy.

Początkowe przerażenie ustąpiło opanowaniu.

– Oddaj mi broń – powiedziała – a sprawię, że przestanie cię boleć.

Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz.

– Zamknij się.

– Już nie musisz nikogo krzywdzić, Kenny. Wiem, że kiedyś byłeś dobrym człowiekiem. Zanim omamił cię Zwiastun Ciemności. Przypomnij sobie.

Spojrzał na nią tymi swoimi dziwnymi oczami i dostrzegła w nich przeblisk jego dawnego ja. Wstąpiła w nią nadzieja.

Wyciągnęła do niego rękę i odezwała się błagalnym tonem:

– Nie rób tego. Pomóż mi je uratować.

Wpadł w drgawki.

– Za późno.

– Nigdy nie jest za późno. Nadal masz w sobie dobro. Widzę je!

– Nauczycielu, wyrwij je ze mnie! Błagam cię! – zawył pełnym udręki głosem, aż włosy stanęły jej dęba. Mimo to dalej naciskała, wpatrując mu się w oczy, ale nie zapominając o broni, którą trzymał w ręku.

– Kenny, zostało w tobie dobro. Proszę, nie rób tego.

Rzuciło nim. Skóra zaczęła mu falować tak, jakby żyjące w nim stworzenie próbowało przebić się na wolność. Przewrócił oczami najpierw w jedną, potem w drugą stronę. I nagle zmarł.

Po chwili odezwał się, odzyskawszy kontrolę nad ciałem:

– Światło nie może wygrać. Spójrz tylko na to miejsce, na ten świat. Zepsucie na każdym rogu, w każdym zakątku globu.

Zmienił mu się głos. I zachowanie. Tak jakby ciało Kenny’ego zajął nowy lokator.

Zwiastun Ciemności.

– Istnieje dobro – odparła niepewnie. – Istnieje miłość, życzliwość i...

– ...i wujkowie, którzy lubią sadzać swoje małe siostrzenice na kolanach, podczas gdy matki i babki odwracają głowę.

Micki poczuła mdlący zapach tytoniu i whisky. Powróciły wspomnienia: spocone dłonie, gorący, przyspieszony oddech tuż nad uchem, płaczliwe prośby o to, by przestał.

Naraz Micki zabrakło tchu. Próbowwała nabrać powietrza i jednocześnie usiłowała odegnąć wspomnienia.

– Michaelo, ty nie wierzysz w świat pełen dobra.

– To... nieprawda.

– Ach, racja, spotkałaś Hanka, swego najdroższego zbawcę.

Wzdrygnęła się. Imię Hanka zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo.

– Co o nim wiesz?

– Zmarł na zawał. – Wykrzywił usta w ohydny uśmiech. – Tak ci powiedzieli, prawda? A przecież nie chorował na serce.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś Hanka? – Mimowolnie zrobiła krok do tyłu.

– Jak to się mogło stać w tym tak pełnym dobra świecie?

– Ty sukinsynu! Ty...

– Czemu niewinnych karze się surowo, zdeprawowani zaś cieszą się wolnością? – Jego głos zmienił się w głos Hanka. – Egzekucje, zanieczyszczenia, chciwość...

Nie poruszył się, a jednak Micki miała wrażenie, jakby zbliżał się do niej z każdej strony. Jego głos kłuł jej uszy.

– ...głodujące dzieci, epidemie. – W następnej chwili z ust Kenny'ego popłynął głos wuja Beau, prosto z koszmarów Micki, bełkotliwy od alkoholu i chropawy od perwersyjnej żądz. – Pamiętaj, Michaelo, że to nasz mały sekret.

– Przestań! – wrzasnęła, zwierając dłonie w pięści. – Ty draniu! Zabiłeś go!

– I co chcesz z tym zrobić?

– Zabiję cię. Jakoś, jakimś sposobem doprowadzę do twojego zniszczenia!

Roześmiał się. Jego śmiech rozszedł się upiornym echem w murach opuszczonej świątyni.

– Widzisz, Michaelo? A jednak wierzysz w ciemność. W potęgę zła. W przemoc i brutalną siłę. Żyjesz nią każdego dnia.

– Mick!

– Nie podchodź! – krzyknęła. – On ma mój...

Kenny zadrzał i odwrócił się w stronę Zacha. Micki wykorzystwała sposobność i rzuciła się, by odebrać mu broń. Padł strzał. Micki poczuła, jak kula przebija jej pierś i wybucha. Jak energia pocisku rozchodzi się po ciele.

Wpadła na barmana i powaliła go na ziemię. Rozległ się huk kolejnego wystrzału. Tym razem kula trafiła w głowę. Wrażenie, jakby rozpadła się na milion lśniących kawałków.

– Nie! Mick!

Histeryczny krzyk Zacha miesza się z szumem krwi w uszach i bulgotem towarzyszącym oddechowi. Ktoś spycha z niej barmana.

– Mick, nie... Trzymaj się, kochanie...

Unosi się nad własnym ciałem. Spogląda z góry na Zacha, który przykładła jej dłoń do piersi. Spomiędzy palców wypływa krew.

– Pomocy! – krzyczy płaczącym tonem. – Niech ktoś mi pomoże!

Kenny się wykrwawia. Znów jest przystojny, jego twarzy nie wykrzywia już ból.

Nie ma dla niego ratunku. Dla niej też nie.

– Wróć, Mick. Nie możesz umrzeć. Nie możesz! Ty cholerny uparciuchu!

Otwiera oczy. Widzi jego twarz. Łzy na policzkach. Próbuje się uśmiechnąć, żeby wiedział, że poradzi sobie bez niej...

Szum krwi cichnie.

Zimno. Strasznie zimno.

– Zostaw ją, Zach.

Głęboki głos. Całkowicie opanowany.

– Nie mogę.

– Idź po Angel i pozostałe.

– Nie. To moja wina... – Głos więźnie mu w gardle. – Ona chyba... czy ona...

– Idź, ja się nią zajmę. Inni nadchodzą.

Rozbłysk światła. Ciepłe i oślepiające. Jak jaskrawy kokon. Zaprasza do środka. Żeby pocieszyć, żeby utulić, żeby pomóc się odrodzić.

Zach odchodzi od niej. Ona podąża za nim, woła go. Nie, nie może go zawołać. Nie ma głosu. Nie ma ust. Nie ma strun głosowych ani płuc. Jest energią.

Unosi się nad miejscem akcji. Płaczące kobiety: Angel na podłodze, wije się z bólu, krzyczy, żeby Zach uciekał i ratował swoją skórę. Zach walczy z niewidzialnym wrogiem, który rzuca nim jak szmacianą lalką.

A ona nic nie może zrobić. Jest bezsilna.

– Micki, wróć.

Nie! Zach jej potrzebuje. Angel jej potrzebuje.

Światłne wstęgi wiją się dokoła niej, odciągają ją. Walczy z nimi. Jak mogłaby ich zostawić? Jej powołanie to... bronić i służyć. Bez niej...

– Michaelo, potrzebujemy cię. Wybraliśmy cię.

Zach podbiega do Angel, chroni ją. Jest ludzką tarczą, emanuje światłem. Przez chwilę blask jest oślepiający, potem szybko traci na jasności, aż zapada całkowita ciemność.

Wstęgi miłości i akceptacji ponownie ją odnajdują, otaczają ją, osłabiają jej opór. Powoli sprowadzają ją z powrotem do uszkodzonego ciała.

Jeszcze jedno spojrzenie. Ostatnie pożegnanie.

Postaci otaczają Zacha i Angel. Jest ich wiele. Pulsują tak silnym, oślepiającym światłem. Jasność wypełnia wszystkie zakamarki i szczeliny.

Dom, myśli Micki. Hank czeka na nią.

Otwiera oczy. Pochyla się nad nią postać. Piękna. Opalizująca.

– *Czy jesteś aniołem?*

– *Mniej więcej. Nazywam się Eli.*

# Rozdział 60

PONIEDZIAŁEK, 22 LIPCA

POŁUDNIE

Zach stał w drzwiach do sali. Postać Mick tonęła we wpadających przez okno promieniach słońca. Światło łagodziło jej rysy, sprawiało, że zamiast jak twardy glina wyglądała jak anioł.

Siedziała na łóżku i oglądała *News at Noon*.

„Podczas brawurowej akcji nowoorleańskiej policji detektyw Zachary Harris...”.

Wyczuła jego obecność.

Kiedy na niego spojrzała, uśmiechnął się i powiedział:

– Cześć.

– Cześć.

Podszedł do łóżka.

– Udało nam się.

Uniosła brew.

– T o b i e się udało. Zostałeś prawdziwym bohaterem.

Przysunął sobie krzesło.

– Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co pokazują w telewizji.

Oboje jednocześnie popatrzyli na ekran.

„...policjantka biorąca udział w akcji została postrzelona. Przewieziono ją do szpitala. Jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo”.

Zach zamrugał i w jednej chwili wydarzenia sobotniej nocy powróciły do niego spiętrzoną falą: odgłosy wystrzałów, moment, w którym ciałem Micki szarpnęło i upadła, to, jak trzymał ją w ramionach i nie potrafił zatamować krwotoku, poczucie bezradności.

Spojrzał na nią bez uśmiechu.



– Myślałem, że cię stracę, Mick.

Milczała przez dłuższą chwilę, a kiedy się odezwała, mówiła cicho, ale dobitnie.

– Umierałam, Zach. A raczej... umarłam.

Nie wiedział, co zrobić ze wzrokiem. Nie mogła przecież poznać całej prawdy.

– Domyślałam się, że mogłaś mieć takie wrażenie, ale...

– Nie. – Pokręciła głową. – Czułam, jak wypływa ze mnie krew, a serce powoli przestaje bić.

– Rzeczywiście straciłaś mnóstwo krwi. Zemdlałaś.

– Lekarze nie mogą się nadziwić, w jaki sposób wróciłam do zdrowia. Rana wlotowa, trajektoria pocisku... Nie powinno mnie być wśród żywych, nie mówiąc o tym, że po takim postrzale siedzę na łóżku i rozmawiam z tobą jak gdyby nigdy nic. Mówią, że to cud.

Głos zaczął jej się łamać. Zach wziął ją za rękę i przypomniał sobie te chwile, w których Eli podniósł bezwładne ciało Micki i otoczył je sobą, umieścił w kokonie najpiękniejszego światła, jakie Zach kiedykolwiek widział.

– Wydaje mi się, że... chyba nie zasłużyłam na cud.

Coś ścisnęło mu gardło.

– Zasłużyłaś, Mick. Na ten i na tuzin kolejnych.

Zalśniły jej oczy. Szybko odwróciła głowę.

– Tuzin? Przy tobie będę potrzebowała dużo, dużo więcej.

– Nie wstydź się płaczu, Mick.

– Nie płaczę. – Wyprostowała się i uniosła brodę. – Wściekły Pies nie płacze. Wściekły Pies rozszarpuje.

Mocno ścisnął jej dłoń.

– Przepraszam, że przeze mnie cię postrzelił.

– Czy ktoś to nagrał i wrzucił na YouTube?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– No to mam szczęście – powiedziała, ale tę próbę sarkazmu zepsuło

drżenie w głosie.

– Kenny nie żyje. Ale to wiesz, prawda? Najpierw strzelił do ciebie, a potem sam się zabił.

Pokręciła głową i odwróciła ją w stronę okna.

– Jak myślisz, Hollywood, dlaczego to zrobił?

– Kto wie? Może zdał sobie sprawę, że nie ma wyjścia?

Popatrzyła na niego.

– Moim zdaniem chciał zrobić to, co słuszne. Bo nadal miał w sobie dobro.

– I to mówi cyniczna twardzielka, Michaela Dare, która dostrzega dobro w innych.

– Kiedy umierałam, miałam wizję. Zobaczyłam anioła, który objął mnie skrzydłami.

Zach wstrzymał oddech. Nie powinna pamiętać Eliego – ani pozostałych Strażników Światła, ani Zwiastuna Ciemności. To samo Miller i Putnam. Ich wspomnienia powinny sprowadzać się do strachu i chaosu, do tego, że Kenny porwał je i torturował. Do zaników przytomności i przeblysków świadomości. I wreszcie: do tego, że zostały uratowane.

Angel stanowiła wyjątek. Była wtajemniczona.

– To było... piękne – mówiła Mick. – Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. Nic więcej nie pamiętam. – Spojrzała mu w oczy. – Czy coś mnie ominęło?

Miał przed oczami obraz, na którym Angel znajduje się w szponach Zwiastuna Ciemności. Poczul jego obezwładniającą, duszącą obecność. Przypomniał sobie własny strach, gdy Zwiastun zwrócił się przeciwko niemu, kiedy Zach podjął próbę uratowania Angel.

– Zach?

Zamrugnął szybko, posłał Mick swój firmowy uśmiech zadowolonego z siebie cwaniaka i poczuł do siebie odrazę za to, co musiał jej teraz powiedzieć.

– Tylko moja błyskotliwa akcja. To, że uwolniłem Miller, Putnam

i Angel. Wezwałem wsparcie i karetkę.

Ściszyła głos.

– A Zwiastun Ciemności?

– Uciekł. – To akurat prawda. Lester i jego armia przegnali tę rzecz, posługując się siłą światła. Przypomniawszy sobie, co Truebell powiedział, kiedy było już po wszystkim: „Ciemność, Zachary, nie może istnieć tam, gdzie jest światło”.

Ale Zwiastun wróci, wróci silniejszy. Będą czekali na niego, będą przygotowywali się na jego nadejście.

Patrzyła na niego dziwnym wzrokiem, zamyślona, ze ściągniętymi brwiami. Uśmiechnął się.

– Chyba zorientował się, że dostał łomot. Bo wiesz, potrafię być groźny.

Pokręciła głową.

– Był tam. Czuję go, on... przejął kontrolę nad ciałem Kenny'ego i...

Urwała i zaczęła masować nasadę nosa.

– Co takiego, Mick?

– Wiedział o mnie wszystko. Rzeczy z przeszłości. Jak to możliwe?

– Nie wiem.

– Jesteś pewien, że nic więcej się nie działo? Mam takie dziwne poczucie...

Ścisnął jej dłoń, a potem puścił.

– Mam coś dla ciebie.

– Tak? – Przyjrzała mu się podejrzliwie. – Gdzie?

– Zaczekaj. – Podeszedł do drzwi, wystawił głowę na zewnątrz i dał znak pielęgniarce. – Już.

– Co ty kombinujesz, Hollywood? – spytała, patrząc na niego spode łba.

Podeszedł do okna i podciągnął żaluzje. Pielęgniarka poprawiła Micki poduszkę i ustawiła kroplówkę, rurki i monitory tak, żeby można było przesunąć łóżko pod okno.

– Dla ciebie, Mick.

– Co? Widok na parking?

– Spójrz tam. – Pokazał palcem.

Kiedy ich zauważyła, zaparło jej dech w piersiach. Jacqui trzymała bukiet kwiatów. Alexander ścisnął w rączce pęk balonów i podskakiwał z radości. Angel machała własnoręcznie zrobioną tabliczką z napisem: „Prędko zdrowiej”.

A za nimi, prawie jak nowy i gotów do jazdy, stał...

– Mój chevrolet? – spytała z niedowierzaniem i popatrzyła na Zacha. – Jak to zro... Przecież miał być gotowy dopiero na...

Urwała i pokręciła głową. Na jej ustach powoli zakwitł uśmiech.

– Już zawsze tak będzie, prawda? Ja zerem, ty – bohaterem. O ile z nami zostaniesz.

– Zostanę, partnerko. Wygląda na to, że nieprędko się mnie pozbędziesz.

# Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność licznym osobom, dzięki którym mogła powstać *Siódemka*. Seria o Strażnikach Światła chodziła mi po głowie od dawna, toteż moja rodzina, znajomi, agenci i asystenci spędzili z nią, tak jak ze mną, sporo czasu.

Szczególne podziękowania należą się moim asystantkom: Misty Dixon i Peg Campos; koleżankom po piórze: Alex Kavie i J.T. Ellison; oraz czytelniczkom wczesnej wersji tekstu: Deb Carlin, J.T. Ellison i Kathy Kirby. Dziękuję również mojemu agentowi Scottowi Millerowi oraz wszystkim w Trident Digital Media & Publishing – stanowicie wspomniały zespół! Na koniec słowa podziękowań oraz wyrazy nieustającej miłości kieruję do męża i synów – moich osobistych Strażników Światła.

[1] Tydzień po ataku Katriny w strzelaninie na moście Danzigersa funkcjonariusze policji zabili dwie osoby i ranili cztery. Wszystkie ofiary były czarnoskóre i żadna z nich nie popełniła przestępstwa. Centrum Kongresowe Moriala posłużyło jako nieoficjalny punkt ewakuacyjny, nad którym jednak policja straciła kontrolę – tę przejęły gangi; w punkcie brakowało jedzenia, wody, leków, szerzyła się za to przestępczość. Podobna sytuacja miała miejsce w ośrodku sportowym Superdome; dochodziło do napaści, gwałtów, rabunków, trzy osoby straciły życie; na terenie obiektu panowały tragiczne warunki sanitarne (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] *Brite* to inna pisownia słowa *bright*, czyli jasny, a *knight* to rycerz, zatem wróżka nazywa się „Jasny Rycerz”; nawiasem mówiąc, *knight* wymawia się tak samo jak *night*, czyli noc.

[3] Ariel Castro porwał i przez wiele lat więził w swoim domu trzy młode kobiety. Został ujęty w 2013 roku.

[4] Dębowa, Wierzbowa, Świerkowa.

Tytuł oryginału: The Final Seven

Copyright © 2016 Erica Spindler

Copyright for the Polish Edition © 2017 Edipresse Polska SA

Copyright for the translation © 2017 Jacek Żuławnik

Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska

Redaktor inicjujący: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),

Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Agnieszka Betlejewska

Korekta: Ewa Mościcka

Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN –

[www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Skład i łamanie: Master, Łódź

Biuro Obsługi Klienta

[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)

mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)

tel.: 22 584 22 22

(pon.–pt. w godz. 8.00–17.00)

[www.facebook.com/edipresseksiazki](http://www.facebook.com/edipresseksiazki)

[www.instagram.com/edipresseksiazki](http://www.instagram.com/edipresseksiazki)

ISBN 978-83-8117-032-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.